

- Kim był morderca patrona szkoły w Konstantynowie? — str. 1 i 7
- Pomysł contra Słowacki — str. 12
- Komu zależy na obronie Józefa Stalina? — str. 11
- Perfidna kradzież psa — str. 6

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 18 (1570)

ROK XXXI

30 KWIETNIA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ



Foto: Grzegorz Gałasiński

Nad uroczystością w Konstantynowie wisiało pytanie: dlaczego zabito Bolesława Ścibiora?

Patron

RYSZARD BINKOWSKI

Człowiek, który od maja 1945 r. pełnił funkcję prezesa Zarządu Głównego ZMW RP „Wici”, nie kierował się w życiu sprawami ambicjonalnymi. Kiedy w sierpniu dogadano się z przedwojennym zarządem, w wyniku kompromisu został sekretarzem nowo powołanych władz „Wici”, bo chodziło mu o jedność wiejskiego ruchu młodzieżowego. Przyszłość widział w sojuszu z młodzieżą robotniczą i inteligentką. „Bo tylko to — pisał w numerze 12 „Wici” — zapewni Polsce demokratyczne oblicze, pomoże jej odegrać właściwą rolę w wielkiej rodzinie narodów słowiańskich, które pod przewodnictwem Rosji Radzieckiej muszą przeobrazić Europę i świat po myśli naszych ideałów”.

W myśl tych ideałów na zaproszenie Antyfaszystowskiego Komitetu Młodzieży Radzieckiej gościł w Moskwie i Leninogradzie. A na co dzień dbał o

to, aby w internatach łódzkich szkół, gdzie mieszkała młodzież chłopska, nie zabrakło takich delikatesów, jak zupa kartoflana, konserwy i marmolada. Latem wysyłał wagony młodych zniwiarzy na Ziemię Odzyskaną, aby zebrać chleb dla głodujących miast.

Człowiek, który był jednocześnie posłem do Krajowej Rady Narodowej oraz zastępcą sekretarza generalnego NKW PSL, działał w zasadzie bez obawy. Miał zginąć już we wrześniu 1945 roku podczas manifestacji z okazji rocznicy wybuchu wojny, ale wyjechał wcześniej spod Rogowa i zamach się nie udał.

Jego duże pięciopokojowe mieszkanie przy ul. Juliana Tuwima w Łodzi zawsze było pełne ludzi, on sam zaś był tam gościem, znajdując się najczęściej w rozjażdżach. W ten sposób stawał się nieuchwytny dla tych, co źle mu życzyli.

Ale 5 grudnia 1945 r. znalazł

Ludzie, przecież to pogrzeb! Gdzie naprawdę są szczątki Stanisława Ignacego Witkiewicza?

Syn powrócił do matki

MAREK KOPROWSKI

14 kwietnia 1988 roku wiosna zamieniła się w śnieżną zimę. Tego dnia spadło 30 cm śniegu. (Najajutrz — tak jak i w przeddzień — było bezchmurnie i bardzo ciepło). Momentami widoczność ograniczała się do dwóch metrów. Ludność — przyodziana wiosennie, a zaskoczona nagłym atakiem zimy — wleciała szyje w postawione kolnierze letnich kurtek i paltołków, a płytkie półbuty chłupotały w szarej mazi rozdeptanego śniegu, pijąc mokrość, a nierzadko góra nabierając zimne blocki. Gole głowy posiwity placki śniegu, siakały nosy, chrypiały gardła, nikt jednak nie zrejterował w ciepłe, suche hotele, poczekalnie dworcowe bądź knajpy.

Taka pogoda przywitała nas Zakopane o 5 rano. Brnęliśmy przez zasnieżone perony razem z Grzegorzem Gałasińskim i kilkoma jeszcze towarzyszami podróży, aby schronić się w smutnej poczekalni dworca autobusowego. Do gorącej herbaty mieliśmy jeszcze dobrą godzinę.

Taka pogoda towarzyszyła u-

roczystościom pogrzebowym Stanisława Ignacego Witkiewicza. Po 49 latach sprowadzono prochy artysty z cmentarza prawosławnego we wsi Jezioro (okręg rówieński, w ZSRR), aby złożyć je na starym cmentarzu zakopiańskim na Pękowym Brzyzku, w grobie matki, Marii Witkiewiczowej.

Zartowano, iż ta zaskakująca zmiana pogody jest ostatnim szatańskim figłem Witkiewicza, wypłatą tysiącom Polaków, którzy zjechali na uroczystość z całego kraju. Jego chichotem zza grobu.

Kim był St. I. Witkiewicz, nazwany przez siebie Witkacym,

wie każdy, a jak nie wie, niech się dowie. Przytoczmy jednak krótką charakterystykę postaci, zamieszczoną we wspomnieniach Jerzego Mieczysława Rytarda, przyjaciela „Stasia” — jak go nazywano.

„A więc: (...) filozof — teoretyk estetyki — malarz — alkoholik — narko-

pionych łukach, a nad nimi równie łagodnie położony dwuspadowy dach. Świeżo pomalowany na pastelowo tynk, białe okna, odświeżony stylowy pakkan. W podwórzu zielenią się młode świerczki, krawężniki pościagnięte wapnem, na maszcie łopocze biało-czerwona flaga.

Dla młodzieży podwójne święto, bo chociaż dziś piątek, to nie ma zająć. A symbolem tego święta jest zatknięta na froncie budynku druga flaga o barwach narodowych i lśniącą czerwoną tabliczką z imieniem patrona, które dziś zostanie oficjalnie nadane szkole. Patronem jest Bolesław Ścibior, pierwszy kierownik Szkoły Powszechnej nr 3 w Konstantynowie, bo tak się ona wówczas nazywała. Była pierwszą szkołą w pracy nauczycielskiej człowieka, którego w 1945 r. zamordowano w łódzkim mieszkaniu.

Ulica Lutomska 4 to teren dawnego Przedmieścia. Bolesław Ścibior przeżył wiele lat patrząc na życie jego mieszkańców, odmierzane porami roku, głosem syreny fabrycznej, beczenie kóz na placu targowym, pracą na drobnych poletkach za opłotkami. Dzisiaj wszędzie coś się buduje, szkoła również czeka na nowy budynek, ale coś z dawnego kolorytu jeszcze zostało. Tyle, że nie ma czasu na podziwianie, bo każdym gościem zajmuje się troskliwie największa ozdoba tej szkoły —

Relacja ze spotkań i rozmowa z autorem „Malowanego ptaka”.

Liczy się tylko życie

MACIEJ ŚWIERKOCKI



Foto: Grzegorz Gałasiński

Kiedy w 6 numerze „Odgłosów” z 6 lutego 1988 roku pisałem po raz pierwszy o Jerzym Kosinińskim i jego twórczości, nikt jeszcze nie przypuszczał, że przyjazd Jerzego Kosinińskiego do Polski nastąpi tak szybko. Pisarz odwiedził Polskę w pierwszych dniach kwietnia 1988 roku.

Wizyta Jerzego Kosinińskiego w Polsce towarzyszyło ogromne zainteresowanie, choć jak sam podkreślił, jego książki są w kraju praktycznie zupełnie nieznane. Podpisał wiele umów wydawniczych, a więc już niedługo będziemy mogli zapoznać się z jego dorobkiem w przekładach polskich. Jednak to nie literatura była głównym tematem licznych wystąpień Jerzego Kosinińskiego na spotkaniach z potencjalnymi czytelnikami. Spotkania te, w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki, organizowała ambasada Stanów Zjednoczonych w Warszawie. Pisarz mówił przede wszystkim o sobie, o swoim stosunku do Polski, Polaków, kultury polskiej i żydowskiej, o celach i zamiarach Fundacji Dziedzictwa Polsko-Żydowskiego Ameryki, której jest prezesem, a której polską siedzibą został wybrany Kraków (ściślej Kazimierz, dzielnica Krakowa).

Marzeniem Jerzego Kosinińskiego jest, aby obok krakowskiego centrum Fundacji powstały również jej odpowiednie agendy w innych miastach Polski, posiadających zabytki i pomniki kultury i cywilizacji polskich Żydów, a stanowiących bezspornie nasze wspólne dziedzictwo duchowe i intelektualne.

— My, Żydzi polscy — mówił Jerzy Kosiniński — obecni w historii Rzeczypospolitej od tysiąca lat, nie możemy i nie chcemy odciąć się od naszej przeszłości, od naszych korzeni. Jesteśmy w takim samym stopniu Polakami, jak i Żydami, Żydami, jak Polakami. Posiadamy wspólną tradycję, zwyczaje, upodobania, humor, bo współistnieliśmy obok siebie przez dziesięć wieków, razem tworzyliśmy kulturę, mimo różnych zakrętów historii razem pracowaliśmy w jednym kraju, a niejednokrotnie razem ginęliśmy. I teraz, choć wielu z nas rozproszyło się po całym świecie, jesteśmy do siebie podobni, jesteśmy z sobą związani, wywołujemy się bowiem z tego samego pnia kulturowego i obyczajowego. Czy wicie państwo, że w Ameryce tylko Polacy i Żydzi z Polski noszą portfele? Kiedy moja żona pyta mnie, po co mi portfel, odpowiadam: Moja droga, ja nie mogę z tego zrezygnować. Stoi za mną tysiąc lat tradycji! A aktorzy, reżyserzy Hollywoodu — dziełki z nich ma polsko-żydowskich przodków. A wiecie państwo, skąd pochodzi ich humor? Z Polski, z Polski właśnie.

Swoje głębokie poczucie przynależności kulturowej podkreślał Jerzy Kosiniński wielokrotnie. Jego przywiązanie do tradycji i kultury polskiej nie zostało także zatarte na zakrętach krzywych dróg historii. Pytany o swoje reakcje na niechęć i niezrozumienie dla niego recenzje i artykuły publikowane w polskiej prasie w latach sześćdziesiątych, o wydarzenia roku 1968, pisarz odpowiadał:

— To oczywiście niezrozumiałe i dziwne, że przez trzydzieści lat nie mogłem odwiedzić kraju, w którym się wychowałem, w którym zostali pochowani moi rodzice, w którym ukształtowała się moja osobowość. Nie mam jednak o to pretensji do nikogo, tak potoczyły się dzieje. Jeśli można mówić o winie, leży ona po stronie historii, a nie jakichkolwiek nazwisk.

Jerzy Kosiniński głosi apologię życia. Martyrologia, cierpienia, śmierć należą do historii — nie należy o niej zapominać, ale nie można ograniczać się jedynie do składowania kwiatów na płytach nagrobkowych. To, co liczy się naprawdę, to życie, życie należy gloryfikować, opisywać i sławić, za jego piękno, za przebogą różnorodność, za dobro, jakie dzięki niemu stałe się naszym udziałem. Autor „Malowanego ptaka” pisze o tym w swoich książkach, mówił o tym także na spotkaniu 14 kwietnia 1988 roku w Instytucie Filologii Angielskiej na Uniwersytecie Łódzkim.

— Byłem w Oświęcimiu kilka lat po wojnie, kiedy był jeszcze ciepły, kiedy nie przestał jeszcze być Oświęcimm. Teraz chcę zrobić coś dla tych, którzy zostali. Mówimy o powstaniu w getcie warszawskim, o bohaterstwie i męczeństwie, ale zapominamy jednocześnie na

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Górczyński,

Andrzej Debarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasinski.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,

Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył

Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.

Strykowski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa-
Książka-Ruch” Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie
zamówionych reklam i zastrzeżeń
sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
złokształowane w miastach wojewódzkich
i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-
Książka-Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach —
Instytucje i zakłady pracy
złokształowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” —
opłacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla
Indywidualnych prenumeratorów —
osoby fizyczne zamieszkałe
na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” —
opłacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 3. Dla
Indywidualnych prenumeratorów
zamieszkałych w miastach —
siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-
Książka-Ruch” — opłacają prenumeratę
właścicielami dla miejsc zamieszkania
prenumeratora. Wpłat dokonuje się
użytkując blankietu „wpłaty na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 3. Prenumerata ze zleceniem
wysyłki za granicę przyjmują RSW „Prasa-
Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictwa ul. Towarowa 28
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem
wysyłki za granicę — do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 10 października —
poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Łam. 1292, S-10.

Przegląd prasy

Stenogram szóstego posiedzenia Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa opublikowano w kolejnym wydaniu specjalnym „RADY NARODOWEJ” (6). Dyskutowano o reformie gospodarczej i polityce kadrowej. W polemicznej atmosferze zdarzały się dość skrajne wypowiedzi. Na przykład prof. Zbigniew Wierzbicki stwierdził:

„Musimy zdać sobie sprawę, że ludzie w Polsce są zmęczeni socjalizmem; trzeba to powiedzieć; są zmęczeni socjalizmem. I to również należy wziąć pod uwagę, jeśli chce się rzeczywiście przeciwdziałać skutecznemu apatii i frustracji”.

Socjologowie z Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu odpowiedzieli prowadzący obrady Wojciech Jaruzelski:

„Zdziwiła mnie wypowiedź prof. Wierzbickiego — o zmęczeniu Polaków socjalizmem. Przypuszczam, że to nie jest w ogóle chodzi o zmęczenie Polaków? Bo socjalizm jest u nas od czterdziestu, a alkoholizm, brud, balaganiarstwo, kłótnie, nękania nas od stuleci. Przy tym, jak wiadomo, te dołaczki prawie nie występują np. ani w socjalistycznej NRD, ani w socjalistycznej Czechosłowacji. A „polski kociol w piasku”, a „polskie Wirtschafte” czy „polski most” — te określenia pojawiły się znacznie wcześniej niż socjalizm. Trzeba więc te sprawy widzieć obiektywnie, z umiarem. Analizować je przede wszystkim w kategoriach wielkiego obowiązku, zarówno naszego pokolenia i pokoleń następnich. Jak przeciwdziałać te sprawy, to między innymi własne rzutuje również na obraz socjalizmu, który dla milionów stał się ustrojem wielkiej szansy, awansu społecznego i cywilizacyjnego”.

Do tej samej sprawy nawiązał także Władysław Baka. Wyraził on wątpliwość, czy naprawdę wiemy, czego chce nasze społeczeństwo. Powiedział między innymi:

„Mam wrażenie, że socjalizm nie ma ustrojowej alternatywy, która wkomponowana byłaby w system myślenia Polaków; w każdym bądź razie odnosi się to do przeważającej ich większości. Potrzebna jest — jak się wydaje — bardzo głęboka refleksja nad naturą tych trudności, jakie przeżywa socjalizm, nie tylko zresztą w naszym kraju. (...) Liczne przykłady wskazują, że ludzie wolą liberalizm, wymagają, stopniowo odpowiedzialność i mierny standard życia (ale z zapewnieniem pewnego bezpieczeństwa socjalnego), od sytuacji, w której mamy do czynienia z zaostrzeniem kryteriów funkcjonowania i mechanizmów ekonomicznych, z ograniczeniem funkcji opiekuńczych do rzeczywiście niezbędnego zakresu, mimo że wiązałoby się to z wyższym poziomem życia jednostek i grup bardziej wydajnych i efektywnych. Na potwierdzenie tej hipotezy można przytoczyć przykłady takich zakładów pracy, które już wprowadziły wysocze efektywne systemy motywacyjne, silnie różniące wynagrodzenia w zależności od wyników pracy i w których w ciągu ostatnich dwóch lat nastąpił odwrót od tych systemów w kierunku egalitaryzmu. Po prostu w miarę upływu czasu ludzie wracali w stare koleiny. Jak to wyjaśnić?”

Zabierając ponownie głos, prof. Z. Wierzbicki wyjaśnił, co miał na myśli. Jego wstępna wypowiedź miała charakter uproszczonej i może wymaga pewnej interpretacji.

„Oczywiście, przez «zmęczenie socjalizmem» rozumiałem pewne zjawiska życia codziennego, zwiastujące w przypadku kobiet, które rzeczywiście mają u nas nielubny żywot. To, co mówił prof. Baka, jest interesującym już poglądem, częściowo socjologicznym, i może warto byłoby kiedyś i nad tym się zastanowić, bo nie jest obojętne dla polityki społecznej, jakie jest przeciętne nastawienie społeczeństwa do zjawisk życia, które utożsamia się z ustrojem, choć może nieśluszenie. Ja nie sięgałem tu w tak wysokie regiony”.

Nie wszyscy dyskutanci mówili na temat. Członek Rady Prymasowski, genetyk i fi-

zjolog drzew leśnych, prof. Maciej Gierlich stanowczo wypowiedział się w kwestii zawieszono go podreżnika.

„Podreżnik pornograficzny o myślnym tytule «Przygotowanie do życia w rodzinie» został przez Ministerstwo Edukacji Narodowej zawieszony. Zawieszenie to mało. Podreżnik musi być wycofany. Musi być wprowadzony zakaz jego używania. Zakaz urzędowego demoralizowania młodzieży. Jak na razie, licea nie dostały żadnej instrukcji w sprawie tego podreżnika. Podreżnik jest używany przez pedagogów na lekcjach przygotowania do życia w rodzinie. Jest on nadal dostępny w księgarniach”.

Zachęcam do przeczytania wszystkich wystąpień na styczniowym posiedzeniu Rady Konsultacyjnej. Świadczą one o dużym zróżnicowaniu poglądów i postaw.

PLURALIZM RELIGIJNY

Spółeczeństwo polskie jest zróżnicowane pod wieloma względami. Nie każdy sobie uświadamia, że mamy również bogatą mozaikę wyznaniową. Poza Kościołem rzymskokatolickim, w którym ochrzczono około 34 mln Polaków, działają w naszym kraju 42 inne kościoły i związki wyznaniowe. Przedstawili je w tygodniku „ARGUMENTY” (nr 14, 15 i 16) Gustaw Radon.

Oto aktualne liczby członków kościołów i stowarzyszeń nie-rzymskokatolickich: Polski Autokatolicki Kościół Prawosławny — 850 tys. osób, Kościół Ewangelicko-Augsburski w PRL — 91 037, Świadkowie Jehowy — ponad 50 tys., Kościół Polskokatolicki w PRL — 49 300, Kościół Starokatolicki Mariawitów w PRL — 24 615, Kościół Awentystów Dnia Siódmego w PRL — 8 997, Polski Kościół Chrześcijan Baptystów — 6 146, Kościół Chrystusowy w PRL — 4 800, Kościół Ewangelicko-Reformowany w PRL — 4 500, Kościół Metodystyczny w PRL — 4 280, Kościół Katolicki Mariawitów w PRL — 3 860, Zrzeszenie Wolnych Badaczy Pisma Świętego w Polsce — 2 705, Wschodni Kościół Starobrzeczowy — 2 627, Świecki Ruch Misyjny „Epifania” — 2 074, Mużulmański Związek Religijny w PRL — ok. 2 tys., Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego w PRL — 1 590, Kościół Wolnych Chrześcijan — 1 332, Chrześcijańska Wspólnota Zielonoświątkowa — 850, Nowoapostolski Kościół w Polsce — 814, Kościół Chrześcijan Dnia Sobotniego w Polsce — 505, Protestantka Wspólnota Regionu Bieszczadzkiego — 461, Stowarzyszenie Badaczy Pisma Świętego w Polsce — 436, Stowarzyszenie Buddyjskie Karma Kagyu w Polsce — 302, Stowarzyszenie Buddyjskie Zen Czogie w Polsce — 250, Stowarzyszenie Zboru Chrześcijan w PRL — 205, Karaimski Związek Religijny — 200, Związek Buddystów Zen „Sangha” w Polsce — 180, Jednota Braci Polskich — 151, Stowarzyszenie Buddyjskie „Kandzeon” — 119, Kościół Jezusa Chrystusa Świętych dni Ostatnich (Mormoni) — 90, Stolica Apostolska w Jezusie Chrystusie — 90, Wspólnota Religijna — Lektorium Rosierucia — Filia Międzynarodowej Szkoły Różokrzyża — 67, Związek Adżapa Jogi — 66, Związek Badaczy Biblii w Polsce — 60, Brahma Kumaris Raja Yoga — 50. Poza tym istnieją małe związki o charakterze lokalnym skupiające razem kilkadziesiąt osób: Ewangeliczne Stowarzyszenie Modlitwy; Stolica Boża i Barankowa Apostołów w Duchu, Alfa i Omega, Początek i Koniec; Stowarzyszenie Chrześcijańskiej Nauki; Uczniowie Chrystusa; Zbór Panmonistyczny.

W wykazie tym — nie wiem dlaczego — brakuje Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego. W końcu 1985 roku liczył 17 078 wyznawców. Nikt nie wie, bo nie można tego wiedzieć, które wyznanie jest prawdziwe? Czy w ogóle istnieje prawdziwa religia? W tych sprawach, a także innych, potrzebna jest tolerancja i

DWIE PARTIE

Obie partie — Socjalistyczna Partia Równości i Socjalistyczna Partia Liberalna — miałyby charakter socjalistyczny i wyrażałyby interesy klasy robotniczej. Pierwsza dążyłaby do zwiększenia roli egalitaryzmu ekonomicznego, kontrolnej działalności państwa i funkcji budżetu państwowego jako narzędzia redystrybucji dochodów społeczeństwa. Natomiast druga dopuszczałaby większe nierówności dochodowe i majątkowe oraz większą swobodę działalności gospodarczej. Społeczeństwo zdecydowałoby podczas wyborów o dopuszczeniu jednej lub drugiej partii do władzy.

„Każda partia dokonywałaby zmian aparatu władz centralnych i ich powiązań z przedsiębiorstwami i instytucjami stosownie do postanowień programów akceptowanych przez społeczeństwo w czasie wyborów, a rola Sejmu jako najwyższej władzy przedstawicielskiej w państwie istotnie by się zwiększyła”.

Z propozycją tą polemizuje w krótkim komentarzu Marian Stępień. Jego zdaniem, ważniejszym problemem jest uczy-nienie PZPR w pełni zdolną do pokierowania reformami.

ZDROWY ROZSADEK

Na temat zdrowego rozsądku ironizuje w dwutygodniku załogi Elektrywni Belchatów „ME-GAWAT” (nr 5) prof. Jan Szczepański, z którym rozmawiał Stanisław K. Kuśmierzek. „Moja recepta na zdrowy rozsądek była wyznaczona klasowo: chłopięce dzieci uczyły się zdrowego rozsądku pasąc krowy. Ponieważ zajęcie to zanika szybko, więc zanikają także

zasoby zdrowego rozsądku. Zdrowy rozsądek jest zastępowany doktrynerstwem, wiedzą praktyczną, wiedzą naukową, wiedzą potoczną — ale to wszystko nie to, o co chodzi. Zdrowy rozsądek jest przejawem mądrości życiowej”.

Autor wielu raportów zapytany, dlaczego nie zrealizowano tylu trafnych rozwiązań, odpowiedział następująco:

„Zacznę od paradoksu: gdy jedna piąta pracowników zatrudnionych w warszawskim budownictwie była analfabetami, Warszawa rosła jak na drogach. Teraz, gdy przeważającą część pracowników ma wykształcenie ponadpodstawowe, budownictwo przechodzi ciężki kryzys. To nie znaczy, że analfabetyzm jest czynnikiem podnoszącym intensywność i wydajność pracy, ale znaczy, że dobra oświata funkcjonująca w społeczeństwie, w którym nie ma dla niej «miejsca», staje się dysfunkcyjna i działa na szkodę społeczeństwa. (...) Bezsilność i bezużyteczność raportów sporządzanych przez ekspertów polega na tym, że w walkach interesów argumenty rzeczowe liczą się bardzo mało”.

Jan Szczepański jest emerytowanym profesorem socjologii, ale pełni około awansu funkcję społeczną. Między innymi jest członkiem Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa. Do przedstawionego tam opracowania „Od diagnoz do działań” dodaje:

„W stanie kryzysu — jeśli wierzyć publicystom — Polska znajduje się od początku XVIII wieku, i wystarczy przejechać naszą prasę po 1945 roku, by przekonać się, że kryzys występował u nas stale. W ciągu 75 lat życia przeżyłem wiele tych polskich kryzysów, przy czym najgorszy, bo połączone z masowym bezrobociem i nędzą, był kryzys lat 1929-1932, w porównaniu z którym dzisiejsze kryzysowe życie jest luksusem”.

Niektórzy nasi rodacy nieźle sobie radzą za granicą. Na temat polskich artystów w USA ciekawie opowiada w miesięczniku „RES PUBLICA” Andrzej Czesot:

„Ci, którzy byli dobrzy w kraju, robią tu kariery. Do «New York Timesa» robi rysunki chyba sześciu Polaków, można powiedzieć, że prawie opanowaliśmy to pismo, jedno z najstarszych na świecie. I z tego domu na Brooklinie, gdzie teraz siedzimy i gadamy, aż trzech tam rysuje. Właściwie niesamowite. Zrobiła się w tym domu taka polska kolonia”.

A w Polsce dyskutujemy i reformujemy. Zgłaszane są coraz śmielsze koncepcje polityczne. W miesięczniku „ZDANIEM” (nr 2) Paweł Bożyk i Marian Guzek proponują utworzyć w miejsce obecnej PZPR

NA WŁASNY RACHUNEK

Byle nie otepliać!

Jak sięgnę pamięcią, nasza powojenna propaganda dopatrywała się przyczyn demoralizacji zachodnich społeczeństw w opisach i obrazach scen okrucieństwa i przemocy w środowiskach masowego przekazu, a także w filmie fabularnym. Wskazywano, sądząc, że słuszenie, iż nadużywanie tzw. mocnych wrażeń, czy to w dziedzinie przedstawiania przestępczości czy spraw seksu, prowadzi do stopienia wrażliwości młodego pokolenia, które staje się podatne na oddziaływanie wzorów negatywnych. Obwiniano przy tym, chyba też słuszenie, komercyjną pogoną za sensacją, prowadzącą do spły-cenia zainteresowania społeczeństwa poważniejszą problematyką, a także do znieczulicy moralnej.

Nie wiem czy państwo zauważyli, że w naszej prasie od dość już długiego czasu tego rodzaju uwagi i rozstrząsanie na temat upadku moralnego zachodnich społeczeństw jakby osłabły, rejestruje się co najwyżej fakty, ale raczej nie docieka przyczyn. Czy można by z tego wyciągnąć wniosek, że oblicze kapitalistycznych mediów rozjaśniło się moralnie, że technicznie ono cnotami powagi i odpowiedzialności, a miejsce opisów morderstw i zbrodni zajęły artykuły przyrodnicze z życia drobnoustrojów, zamiast seksu natomiast serwuje się tam zbiorowe modły?

Oczywiście rzecz w czym innym, że mianowicie teraz również w naszych książkach i pismach, na naszych ekranach i scenach zatriumfowały przypadłości nie tak dawno temu gromko potępione. Dziś nawet film według Rodziewiczówny lub Dobrzyńskie-go nie obeszłby się bez kilku wyuzdanych scen łóżkowych.

Pamiętam bowiem spora dezorientację, czy komercjalizacja powinna wyrugować wszelką ideologię albo czy ideologia okrucieństwa i pornografii wolno uznać za nieszkodliwą igraszkę, umilającą wypocinek po wytężonej pracy. Rozumiem, że między przestępstwem, a nawet skrajnym rozwiązaniem obyczajów erotycznego nie wolno stawiać znaku moralnej równości, można jednak zastanawiać się nad psychologicznymi skutkami nieustannego oswajania młodego pokolenia z tym, co powinno budzić grozę lub dreszcz podniecenia, byle nie otepliać nerwów.

Niepokoi mnie więc zwiększająca się częstotliwość drastycznych obrazów zmasakrowanych zwłok, na coraz powszechniej kolorowym teleekranie. Zapewne w serwisie międzynarodowej wymiany informacji coraz wyżej się ceną sceny wyrzucania zwłok z samolotu na płytę lotniska albo obgryzanie ludzkich wierzgających jeszcze kończyn przez krokodyla lub rekina, czy wrzescie wyraz twarzy skazanka tuż przed egzekucją i śmiertelne drgawki pod prądem elektrycznym. Dawniej, żeby móc to zobaczyć, trzeba było zostać katem lub despotycznym władcą, a dziś mamy to za niewielkie pieniądze wszyscy, łącznie z najmłodszymi i stajemy się coraz dumniejsi z postępów cywilizacji oraz demokracji.

Ktoś może powie, że w archaicznej epoce trudnej dostępności radia i kina oraz łatwiejszej kontroli nad uczestnictwem dziecka w korzystaniu z tych wynalazków, nasi tzw. milusińscy najpierw obrywali skrzydła muszkom, potem rozplaszczali żaby rzucając w nie kamieniami, a później wdrapywali się na drzewa, by strącać ptasie gniazda, dziś zaś nawet o muchę trudno dzięki niezawodności chemii, w każdym razie, jak się twierdzi, z takich i owakich dzieci wyrastali tzw. porządni ludzie (wolałbym zresztą nie rozstrząsać tego określenia).

Otóż zawsze tak było, że jedni wyzybiali się złych skłonności dzieciństwa, inni natomiast brnęli z wiekiem w coraz gorsze, a zależało to z reguły od zespołu oddziaływań wychowawczych. I właśnie środki przekazu oraz film, od których w praktyce niezmierznie trudno jest izolować dzieci, stały się przecież istotną częścią systemu wychowawczego.

W swoich niepokojach chętnie uległbym autorowi pewnej korespondencji zagranicznej, w której przekazuje on, jak kilkoro małolatów po obojętnym przekartkowaniu magazynów kryminalnych i pornograficznych zaczęło z najwyższym napięciem przegłądać komiks z tematyką science fiction. Napiętny ich do przesy-tu tym co niewskazane — zdaje się radzić nam nasz euforyczny podróżnik. A więc przedwcześnie obojętność seksualna miałaby być pozytywnym rezultatem oswajania dziecka z pornografią? Być może autor jest impotentem i nie docenia radości dostarczanych przez życie płciowe, chce więc innych też zniechęcić, żeby samemu czuć się różnie?

Na obecnym etapie naszego życia społeczno-gospodarczego, kiedy zdecydowane wprowadzanie reformy ekonomicznej stało się najpilniejszą koniecznością, wszelkie ograniczanie działania praw popytu i podaży wydaje się niektórym nierealne — nie na czasie i nie na miejscu. A jednak upieram się przy tym, że już teraz trzeba o tym myśleć, jak chronić najsłabsze wychowanie społeczne i życie kulturalne przed ślepym dyktatem czynnika zysku...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Na niepokornych wiceprezydentów Kalisza zawsze znajdował się sposób. Jednego oskarżono, że zgwałcił w Ratuszu sprzątaczkę... — reportaż MARKA TRUSZKOWSKIEGO.

— Otrzymałem zaproszenie na mszę w bazylice. Przechodzący przez trzy punkty kontroli. Przy drugim jestem głośno czu-nikiem do metalu. Msza trwała ponad trzy godziny. Ale widziałem papieża z odległości 2 metrów — korespondencja RYSZARDA LENCZEWSKIEGO z Rzymu.

— Bohaterka tej opowieści nie ma jeszcze pięciu lat. Postanowieniem sądu ma pojechać do Belgii, do matki, która porzuciła ją trzy lata temu. Ociecie jest w rozpaczy, gotów na wiele ofiar — reportaż ANDRZEJA KAROLCZAKA.

— Nowy Jork jest bardzo nieamerykański. Jest czymś niezwykłym w skali świata. Ameryka jest parterowa. Nowy Jork jest wysoki. Ameryka jest ciepła i życzliwa, Nowy Jork potrafi być chłodny i obcy. Ameryka nie jest tak różnorodna jak Nowy Jork, gdzie co piąty mieszkaniec urodził się poza granicami Ameryki — mówi znany publicysta GRZEGORZ WOZNAK.

— Ta podróż była rekordowa pod kilkoma względami. Po pierwsze, trwała tak krótko jak żadna dotąd chyba eskapada artystyczna: półtora dnia jazdy autokarem w jedną stronę, półtora pobytu na miejscu i półtora z powrotem — korespondencja MAŁGORZATY KARBOWIAK z Rotterdamu.

— Szaleństwo ogarnia ludzi, gdy nadchodzi czas wyprzedzący „Harrods”. Prawdziwy rekord ustanowił pewien księgowy, który dystans od drzwi głównych do mieszkającego się na drugim piętrze działu porcelany pokonał w ciągu 13 sekund — list MARKA BRZEZIŃSKIEGO z Londynu.

JAN WYKA — poeta, prozaik, publicysta, działacz polityczny, urodził się 1 III 1902 r. Każde z powyższych określeń stanowi osobną kartę w jego biografii. Studiował polonistykę i germanistykę na UI. Członek ZMS „Życie” i KPP. W 1937 r. walczył w Hiszpanii, zaś w latach 1940—41 był żołnierzem Polskich Sił Zbrojnych we Francji i Anglii. W Londynie (1945 r.) pełnił też funkcję sekretarza przedstawieli Rządu Tymczasowego. Po powrocie do kraju był redaktorem „Chłopskiej Drogi” (lata 1945—46). Twórczość poetycka Jana Wyki oscyluje między notacją wydarzeń z jego bogatej biografii a lirycznym osobniczym tonem nie pozbawionym wszakże szerszej, uogólniającej egzystencjalnej optyki.

JAN WYKA

Wstęp

(Ścisłe tajne)

Komunikuje nieśmiertelny denuncjator
(kolnierz zmięty, podniesiony,
chroni od słoty i ulew dudniących):

Autor tragicznego poematu
uprawia praktyki nieprawomyślne,
niematerialistyczne, niedialektyczne.

Gdy zegar na Starym Mieście
łączy złote wskazówki,
nadchodzi ciepła północ.

Godzina strącanych głów:
Ożarówskich, Ankiewiczów, Kossakowskich,
godzina sędziów i sądzonych.

Wtedy —
w mieszkaniu ustronnym, zacisznym,
zbiera ów poeta poległych,
zamordowanych,
zaginionych i zapomnianych.

Na dwu rogach anonimowej ulicy
stoją łączniczki-kazetempówki
warszawskie, długowłose, milczące,
liryczne, cierpliwe i męczne.

2.

Komunikował nieśmiertelny denuncjator.
Tę twarz, tę twarz już znamy.
Warszawska, tuzinkowa, piegowata,
trwalsza od krwi krzepnącej,
mocniejsza od czującego serca.

Napiętnowany tajną adnotacją,
wędruje poemat od biurka do biurka.
Karteczka z nierównymi literami
zwiastuje wyrok zaoczny.

Wyrok na skazańców:
Oddać ich od nowa milczącym ostępom.
Winni zginąć po raz wtóry.

Wyrok na poemat:
Dołączyć pętlę jedwabną,
tkaną magicznymi niemi.
Uduścić!

3.

Za chwilę kurtyna powłóczyście uskokczy,
nie dajcie jednak wiary grze i szczerości,
To nie teatr — dramat się dzieje,
dramat lekający się słońca i Warszawy.

Kilkanaście miesięcy od zgonu wielkiego
prawodawcy,

a na pandektach socjalistycznych harcuja
duchy przewrotne.
Ślepcy przewodzą sądowi, głuchoniemi są
strażnikami.

Skazańcy uszlachetniają przestępstwa,
przestępcy ogłaszają anatemy.

Biletu mi nie sprzedano, podstawiając
krzesło, mówili:

Udawaj, że nie rozumiesz,
może i ty prześpisz wyrok.

Ballada o zaginionym poecie

I. ŚWIT

Las ma dwie twarze, twarz więzienną —
tam budka czujki z okiem luf,
druga: liryczna — pachnie ziemią,
żywica jodeł — człowiek zdrow.

Po majach strażnik butem stąpa
w obronie twych zdobytych praw,
słoneczny promień, złota słomka,
przeprowadza się przez okno wpław.
Wystuka ściśle odwach czas ci,
odmierzy wiosnę, słońca marsz,
najdroższy sztandar lśni na maszcie,
wyrokiem zgjęty milcząc masz.

Tu szept przychylny druków bliskich,
współczując świeci oko gwiazd,
a nagle krzyk i szcęk, i błysk,
i zgrzyt, co męką twą się pasł.

Szalonym cedrom kora pęka
i kusi róży dzikiej pierś,
czeremchy gęsta, wonna wnęka
szeleści bluzką, prosi wejść.

Dwoistość, orzech obcych krain,
wygina myśli ostrej kiel,
młyn męką strąty się przycail,
hyś w skałę tępiej skargi melli.

Las ma dwie wargi: jedną ludzi,
że przepych kiści złoży w wiersz,
drugą, jak głębie pustych studzien,
ćudni złowieszco wzdłuż i wszcz.

Wśród olch i drutów chodzą co dzień,
czwigać własną hańbę człek.
Prawo orzekło, że on zbrodzień,
więc się dla myśli mowy zrekł.

Wydal m.in. tomy poezji: *Hiszpańska Warszawa* (1953), *Kompozycja rojeń* (1961), *Fleśń o Saragossie* (1967), *Mity okrzęne* (1981), *Wiersze wybrane* (1983); opowiadania: *Zapiski na karteluszach* (1967 t. II 1983), *Z notatnika rewolucjonisty* (1984), *Szare i czerwone*. Jest autorem poematu dramatycznego „O północy”, który został niedawno przedstawiony przez W. Siemion w Domu Literatury. Z fragmentami poematu, dedykowanego przez Autora „ofiaram stałnizmu” pragniemy też zapoznać naszych Czytelników.

Zresztą tu Prawo było srogie
jak mężnych Rzymian ciężki miecz,
rękopis czekał ślepy ogień,
a myśl na mroz goniono precz.

O świcie koralowej zorzy
kosmyk na przyczy sennych bóli,
on brzozom-muzom tekst przedłożył
i w szelest liści frazy wplół.

Uwierzył, że wicherów membrana,
której batutą nie jest bat,
oddźwiękiem wzruszeń kołysana,
przepelni głosem ludzkim wiatr.

I jęk, i szept powiewu wessie
kształtami liter drżący liść,
gałęzie olch wtórując w lesie
pozwolą pieśni drogą wyjść.

Zagładać pod powieki froskom,
do okien pukać, trwożąc zmierzch,
przepytać chłopów dole oschłą,
by smutek z gnuśnych kątów pierzchl.

Cierpienie jak kochankę tulić,
usta skrwawione gasić z łyzy,
wtoczyć się marszem w gąsienic ulic,
by bój rozpalić, wzniecić krzyk.

Spać jak rybitwa w srebrne szyby,
gdzie lyska złość, tuczony karp,
dziobu sztyletem łuskę przybić,
zdobywszy nagiąć prężny kark.

Po bitwie brzozom cesać kosy
i przejść przez domu biały brzeg,
by okna gładził chór dwugłosy,
lżąc jedną na świt kalii ściel.

A jeśli, jeśli straż podola
przećciąć płynący dźwięk i pęd,
a jeśli, jeśli kajdan koła
myśli śpiew wtłoczą w uścisk pęt.

to kłutwy, żale dróg nie sięgną,
zostaną w borze, lecz gdy świt
z jarzenia spłynie widnokręgu,
lasy odbiją połysk krwi.

II. POŁUDNIE

W południe gorycz słońca żółta
biega po lśnących czubach wierzb,
a ty machorki wytocz kółka
i w słońca żar odległy wierz.

Biada, gdy uśmiech zwieść cię zdoła,
nachylisz piersi zgrzanej brzeg.
Uwaga: to parzy trucizną smoła,
tu pomsta śliska jadem wrze.

Ten olbrzym w butach, w których słońce
oświeca las, jak w locie dysk,
i zrzuca w trawy złoto lśniące,
w powiekach ukrył kuli błysk.

Twarz przybliżając, głosem igra,

po lzie tenora dręczą bas,
to fujareczkę wgnania w sidła,
to grobem neką, strąca głaz.

Akompaniament, piękny cytat,
z Lenina wydrze nokturn, ton,
czerwienią wzruszy, dniem, co świta,
i porad-dobrych da ci brom.

Gdy jeszcze mało, szloch: Partio!
uratuj duszę, skłoń go, by
(ci twarogłowi serce martwią)
potulnym stał się, kruchym był.

Gdy trwasz — oczerni, byś uwierzył,
że brud cię zmiesił, w namul gnie,
że w glinie grząskiej, w bagna dzieży
pobity toniesz już na dnie.

Dla łatwej kaźni — obok stanie
morderca, złodziej, oszust, drań
i musztry się rozpocznie taniec,
a ty — na bacność przed nią stań.

Po prawej — lotrzyk, twój kolega,
mówi, że od cie lepszy lotr,
on lże i kłania się, ulega,
przykład szlachetny, model — ot!

Czyżby wbrew partii? Sprzyja ustroń,
korytarz kręty, tajny kąt,
miesiące lampa parzy snu skroń,
pożegnaj świt, nie wyjdiesz stąd.

Cóż, że towarzysz go potępiał?
Noc śmierć przechowa, płatków spad.
Myśl jego twarda, dzika, śpiewa,
jak jastrząb, swej ofierze rad.

Upadek, klęska? — Nie — to żarty,
tak, siak czy owak minie wynik,
kamiennej woli trzon uparty
przyginać grzbiet oporny zwykl.

III. WIECZÓR

Wieczorem miesiąc snopki chmurek
podkłada pod złotawy sierp,
po ziemi mroki krążą bure,
oddech stłamszony mrozem ścierpl.

On przy miesięcznej świecy drzeniu
list niemy do swej żony śle.
Pisać nie wolno. W skrach się mienia
cienie spalone w świecy żdźbłę.

Czy syn przychodzi? Mały synek
ma włos strzyżony, ciepły ptak,
i mógłby ojca ogrzać krztynę
przy boku kładąc się na wznak.

Niedozwolone światło marzeń,
co pomyślałeś — zdmuchnij, zgaś.
To niebo na gwiazd szalach waży
milczących snów kojącą masę.

Z tej ziemi

Ci wstrętni intelektualisci

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Prasa doniosła triumfalnie, że w Belwederze odbyła się tradycyjna już uroczystość wręczenia nominacji profesorskich. Przybyło nam profesorów: 17 zwyczajnych i 38 nadzwyczajnych. Takie uroczystości odbywają się co jakiś czas. Przybywa pracowników nauki. Dziś raczej się już nie używa — lub bardzo rzadko — pojęcia: uczone. W nauce postępuje rozdrobnienie. Nazywa się to wąską specjalizacją. Coraz więcej ludzi zajmuje się coraz drobniejszymi sprawami. Może tak i trzeba.

Proszę nie myśleć, że zazdroścę profesorom. Nic podobnego. Nic we mnie nie ma z owego szewca — o którym pisał dawno temu Melchior Wańkowicz — który zazdrościł kanonikowi, że został prałatem. Właściwie powinienem cieszyć się z tego, że nam przybywa profesorów, ale się nie cieszę. Raczej się martwię. No, bo gdy tak patrzę na ten proces mnożenia ludzi utytułowanych, to jakoś nie widzę z tego większych korzyści. Może jestem krótkowidzącym, może nie umiem dostrzec rodzącej się potęgi naszej nauki, która kraj nasz wydzwignie na niebawem wyżyny techniki, nauki, przemysłu, gospodarki, kultury. Może to moja wina... Ale jakoś nie widzę tego, a przeciwnie, nadal widzę, że borykamy się z trudnościami, które jakby nie chciały być mniejsze. I już choćby dlatego nie mogę zazdrościć profesorom i intelektualistom w ogóle, gdyż wiem, że ludzi mamy zdolnych, którzy słęczą nad skomplikowanymi problemami, a kraj nadal tkwi w kryzysie. Musi im być cholernie ciężko. I czy więcej będziemy mieli profesorów, docentów i adiunktów, czy mniej, to jakoś nie ma to żadnego — no powiedzmy większego — znaczenia dla powszedniej praktyki.

Socjologzy niedawno zbadali wstępnie świadomość inteligencji o jej położeniu. Otóż za typowych przedstawicieli uznano profesorów wyższych uczelni, literatów, lekarzy i księży. Nieliczni do inteligencji zaliczyli artystów, a jeszcze bardziej nieliczni „ludzi

związanych z aparatem władzy”, czyli — mówiąc po polsku — urzędników państwowych. Nauczycieli jakoś nikt nie dostrzegł i to jest dla mnie najgroźniejszy objaw. No, bo jeśli nauczyciel będzie znajdował się u nas — w świadomości inteligencji — poza inteligencją, to można się tylko głęboko zatroskać nad przyszłością Polski. Silne, dobrze zorganizowane państwo musi się miedzy innymi — a może nawet przede wszystkim — opierać na dobrze wykształconym nauczycielu i dobrze opłacanym, właściwie ustawionym w hierarchii społecznej. Nie wiem nawet, czy autorytet nauczyciela nie jest dla przyszłości Polski ważniejszy od autorytetu profesora wyższej uczelni. W powszechnym odbiorze, oczywiście, w społecznej świadomości. A tak przecież nie jest.

Absolwenci szkół podstawowych stanęli przed trudnym wyborem dalszej drogi. Jest ich 528 000 i czeka na nich 556 000 miejsc w szkołach średnich i zawodowych. Wybór to trudny, bo na całe życie. Ale w istocie nie tak bardzo, gdyż system oświaty mamy otwarty i jak kto się pomyli w wyborze swojej drogi życiowej, to jeszcze może sobie to naprawić, zmieniając kierunek nauki. Gorzej, że z tego tak mało wynika dla przyszłości kraju. Nigdy bowiem nie wiadomo, co da młodym ludziom szczęście za parę lat? Jaki zawód będzie nadzwyczaj popłatny, czy nadal modna będzie emigracja „za chlebem”?

Nie jest bowiem dobrze, gdy zdolny konstruktor rzuca pracę w fabryce i zakłada prywatne przedsiębiorstwo. O nim, jego przedsiębiorczości, dobrze to świadczy, o przedsiębiorstwie złe. Pokażcie mi jednak takich wspaniałych ludzi, którzy dorobili się na wynalazkach. Jeśli znajdzie się kilku, to i tak nie zmienia to ogólnego obrazu. U nas bowiem nie można się dorobić wiedzą czy talentem, gdyż zarówno zawistni przyjaciele, jak i odpowiednio urzędy stoją na straży tego, aby nikt się zbyt szybko nie wychylał. Nade wszystko kochamy równość. To znaczy, żeby inni mieli tak samo mało, jak mają nieudacznicy i asekuranci.

Telewizja polska w programie 2 pokazała reportaż z Łodzi o młodym chłopcu, który zajmuje się sprzedażą „Expressu Ilustrowanego” w kawiarniach i restauracjach. Sprzedaje po cenach wyższych niż rzeczywiste gazeta kosztuje i zarabia dziennie... do 2500 złotych. Czyż ten młody człowiek musi się uczyć, aby w przyszłości o jego zarobkach decydowała wiedza? Czyż rzeczywiste o wysokości czyichś zarobków decyduje jego wiedza, kwalifikacje, czy tylko miejsce pracy?

Jan Szczepański niedawno w „Trybunie Ludu” wyliczył nie rozwiązane problemy, bez rozwiązania których gospodarka nie ruszy z miejsca. Między innymi napisał tak:

„Kolejnym problemem jest pieniądź, płace i ceny. Mówiąc zaś wprost — pieniądź nie jest pieniądzem, płace nie są płacami, a ceny nie są cenami. Wszystkie trzy są fikcjami planisty.”

Jest to chyba najbardziej lapidarne i brutalne odkrycie prawdy. I jeśli tej sytuacji nie zmienimy, to wszystkie nasze piękne zamierzenia też będą tylko fikcją marzycieli. Jeśli na przykład przemysł nie zacznie być chłonny na innowacje, czyli nie będzie poządał wręcz postępu, to będziemy się cofali zamiast rozwijać. Ale po co w fabryce mają być ciekawi i mają poządać postępu? Wiadomo przecież, że lepiej jest robić zgodnie z oczekiwaniami, niż się narazić niebezpiecznymi „eksperymentami”. Niby jest samodzielność, ale zawsze dobrze wychodzi ten, kto się umie zaasekurować. Nie wychylać się! — oto nadal obowiązujące hasło.

Przez wiele lat tworzyliśmy taki system działania, w którym „góra” wiedziała, co i jak robić, a „dół” miał to solidnie wykonywać. Tak powstał szlifierczony system biurokratyczno-nakazowy. Jego korzenie tkwią w stalinizmie. Do dziś nie przezwyciężyliśmy do końca tego systemu. Biurokracja odradza się szybko i nieustannie. Urzędowanie jest istotą stylu życia nad Wisłą. Jan Szczepański nazywa nasze społeczeństwo — urzędującym i trudno mu odmówić racji. Ludzie po prostu odczyli się tego, że coś może od nich zależeć, jeśli nawet rzeczywiście od nich zależy. Świadomie rezygnują z tego, bo przywykli do tego, że inni — powołani — za nich to zrobią. Samorządność przymiera nie tylko dlatego, że władzy jest niewygodna. Czasem przymiera z braku nawyku samorządnego działania, z przyzwyczajenia, z wygodnictwa.

Co zrobić, żeby było inaczej? Zacytuje jeszcze raz Jana Szczepańskiego z „Trybuny Ludu”. „Jakie są możliwości przekształcenia społeczeństwa urzędującego w społeczeństwo działające? Moim zdaniem wymaga to głównie przekształcenia w sferze gospodarki. A mianowicie: przywrócenia jednostce możliwości i obowiązku dbania o własne sprawy, uczynienia z tego jej obowiązku. Zatrudnienie w gospodarce nie powinno być „wzięciem na utrzymanie”, lecz tylko okazją do tego, by obywatel zarobił sobie na ubranie, buty, wyżywienie, mieszkanie.”

Tak mało, a tak wiele jednocześnie. Proponuję sobie przemyśleć te sprawy choćby świętując 1 Maja — święto ludzi pracy a nie ludzi zatrudnionych!

man — erotoman — (w trzy ostatnie „specjalności” wkładał dużo witalistycznego, eksperymentatorstwa, stosowanego zaciekle na sobie i na bliźnich) — powieściopisarz — dramaturg — znakomity imitator o kapitalnym aktorsko-blażeńskim zacięciu — prestidigitator intelektualny — gentleman — prekursor wielu zagadnień i zjawisk kulturalnych.

Był on (...) przy tym (...) człowiekiem pełnym, głębokiego tragizmu wewnętrznego, który wyrażało, podkreślając go jeszcze tym wydatniej — tło poturęjczy, złożone z naszego rodzimego świnstwa, kółnictwa, pływaczki i niedorozwoju kulturalnego.

Co do owego alkoholizmu, erotomanii i narkomanstwa, nawet wśród przyjaciół Witkacego zdania są podzielone. Bowiem Jerzy Eugeniusz Plomienicki, arcypryjaciół (pierwszej kategorii) widzi to inaczej:

„Przypisywano mu np. nalogowe eksperymentatorstwo na złozeniach płciowych, co było wierutnym igrasztwem i brudną potwarzą, dalej chorobliwą, bezustanną narkomanię, którą uprawiał rzeczywiście tylko okresowo, w celach czysto doświadczalnych (...); przypisywano mu również orgiastyczne pijaństwo chociaż było ono u Witkacego jedynie stanem przelotnym; posądzano go o amoralny demonizm i sadyzm w stosunku do ludzi, słowem o jakieś lucyferyczne właściwości charakteru, chociaż ci, którzy go znali tak blisko jak ja, mogli z najczystszy sumieniem traktować wyniośle ową sensacyjną aurę legendotwórczą, czy po prostu rozpasanie plotkarską, jaka osnuwała osobę St. I. Witkiewicza”.

Warto przytoczyć również słowa Tadeusza Kotarbińskiego, które uzupełniają mozaikę opinii, ale jej nie dopełniają, bowiem fenomenowi Witkacego nie da się zbadać ani opisać do końca. Jest on, jak każda prawda, zbyt złożony i wymknie się najbardziej dociekliwemu badaczowi. Kotarbiński pisał w „Przeglądzie Filozoficznym” z 1946 roku:

„Rozrostły, dorodny mężczyzna. Czoło ogromne, subtelne, profil Erazma z Rotterdamu... W całym sposobie bycia znamiona niezwykłości, dziw, zaburzenia norm... Natura niewątpliwie genialna. Gdybyś ten człowiek, tak uśpiantale i tak wielostronnie uzdolniony, przeszedł był w okresie młodzieńczym dobrą, solidną szkołę... Może byłby pozostał po sobie dzieło o wartości nieustraszonej. Opublikowana filozoficzna jego produkcja jest emblematem jakiejś ogromnej możliwości...”.

Trumnę z prochami (czy to były rzeczywiście prochy — o tym za chwilę)

Artysty wystawiono na widok publiczny w hallu Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza. Nie kończący się strumień ludzi przeciągał w milczeniu wokół trumny, oddając artyście ostatni hołd. Przeważała zdecydowanie młodzież. Wartę honorową pełnili górale ze Związku Podhalan, pospółu z członkami zespołu Teatru. Jacyś ozdabiali znakomite portrety wykonane w dyjnyj „Firmie Portretowej”, a także rysunki pochodzące z kolekcji prywatnej, niestety, nie ujawniono, czyje.

Wieniec i wiązanki kwiatów otoczyły trumnę kolorowym ogrodem. Znalazła się również wiązanka łódzka, złożył ją osobiście Andrzej Parucel — artysta, założyciel Biura Przewodników po Sztuce i Kulturze — instytucji artystycznej, powołanej niedawno w naszym mieście. Przedem Andrzej konferował przez chwilę z ministrem Aleksandrem Krawczukiem, zainteresował profesora programem artystycznym Biura, pisaniem, które wydaje i uzyskał jakiegoś tajemniczego ministerialnego zapewnienie. Jakże — nie chciał zdradzić.

W sąsiadujących z teatralnym halliem salonach śpiąco życie towarzyskie. Należną chwilę powagę zostawiono za oszklonymi drzwiami, tu słyszeć było od czasu do czasu śmiechy i żarciki. Nie każdy wszakże dostać się mógł na salony Przepustkę stanowił bardzo ładny i pomyślowy plastycznie znak Teatru wpinany w łapę, wreczany osobiście przez dyrektora sekcji zakopiańskiej — Andrzeja Dziuka. Otrzymywali je artyści, dziennikarze, ludzie zasłużeni i

wszyscy godni tego wyróżnienia. Posiadacze owego giletu wylapywali łakome i zazdrosne spojrzenia pominiętych, zdarzały się nawet propozycje transakcji finansowych.

Wracamy jednak (dzięki znaczkowi) do salonnów. Najwięcej gości z Krakowa, bo najbliższe, a wśród nich większość stanowią aktorzy. Pannie grają główne role, świadome obecności dzieł i obiektów. Aparaty fotograficzne strzelają bez przerwy, szmerzą kamery filmowe, wideomani pracują bezgłośnie. Takiej ilości fotografów w gromadzie jeszcze nie widziałem. Najbardziej obfotografowano i obfilmowano państwa Turowiczów.

Gospodarze podają herbatę, Andrzej Dziuk — choć zamyślony i skupiony — znajduje chwilę dla każdego. Mimo niewątpliwego przemęczenia przygotowania i samą uroczystością, jak zawsze niezwykle uprzejmy, dystyngowany i dyskretnie wszechobecny.

Towarzystwo miesza się w ciągłym ruchu. Fotoreporterzy polują na ciekawe zestawienia osobowe, na rodzajowe scenki. Pojawiają się starsi państwo, krewni Witkiewicza. Czereda dziennikarzy rzuca się w ich stronę. Wysoki mężczyzna w grubych okularach opowiada o ekshumacji zwłok w Jeziorach:

— Nie znalazłono żadnych szczątków Stanisława, choć dokładnie przekopano mogiłę. Nasypało więc ziemi z tamtego miejsca w stalową trumnę, tę włożono w trumnę dębową i przywieziono do Zakopanego.

Syn powrócił do matki

Później dopiero telewizja pokazała odnalezioną w grobie obrączkę i kawałek paska z metalową sprzączką.

Na marginesie: podobno (mniej więcej) dwa lata temu, Jacek Kryszkowski, związany ze znaczną formacją artystów „Łódź Kaliska”, dokonał symbolicznej ekshumacji zwłok i przewiezienia ich do kraju. Udokumentował to mapką własnoręcznie narysowaną i nocnymi zdjęciami zdarzenia. Posiadał pomoc na to świadków. Całą akcję opisał we własnym piśmie „Halo, halo”. Twierdzi, że jest w posiadaniu szczątków Witkacego, ale czy to „prawda, tego nikt nie wie, bowiem jedynymi z wielu wyróżników „Łodzi Kaliskiej” są: świadome fałszowanie faktów, prowokacja, imitatorstwo i błazenada. Jacek Kryszkowski, w każdym razie, przysięga, że tym razem to najprawdziwsza prawda.

W salonie coraz tłoczniej: atmosfera, mimo pełnej swobody i luzu, jest jednak na swój sposób uroczysta. Unosi się nad głowami zebranych i powoduje krótsze lub dłuższe stany zadumania u tych i owych gości salonu. Najbardziej przejęci są górale odpoczywający po nieruchomym czuwaniu przy trumnie.

Brakuje jednak ludzi ważnych, tuzów polskiej sztuki i kultury, tych, którzy spowodowali, że Witkacy przemówił swą twórczością do narodu. Bo nieobecność innych, zamykających drogę jego dziełom, jest oczywista i usprawiedliwiona. Być może smażą się w kotłach polskiego piekła — i dobrze im tak.

Znaleźli się natomiast tacy, co z trudem hamowali przyrodzoną potrzebę bycia numerem jeden w każdym gronie, tzw. dusze towarzyskie, brylujące zawsze i wszędzie ku utrapieniu i wściekłości pechowych sąsiadów przy stole. Ci muszą być tam, gdzie należą, pokazać się i zaznaczyć swą obecność ostentacyjnym kabotyństwem. Tyle, że im się wydaje, iż są pożądanymi, wręcz niezbędnymi. A szczególnie odradzając zachowywał się pewien chłopak z Krakowa, młody scenarzysta filmowy, który twierdził, że przyjechał „z potrzeby serca”, a naprawdę chciał skorzysta z okazji, by załatwić jakiś swój mały interesik. Wyczuł go chyba Andrzej Dziuk, bowiem pominał przy rozdawaniu znaczków, choć nie wiedział o tym, o czym ja wiedziałem, bo mam nieszczęście znać owego „arcybódziarza”, jakby powiedział Witkacy. Lażło potem to „po ludziach” i napraszało się o znaczek z oczami pełnymi wazeliny i uległości.

Takich z rzeczywistej potrzeby serca przybyłych, było bardzo dużo — jest to budujące i optymistyczne. Tym bardziej że to głównie ludzie młodzi i bardzo młodzi.

Pół godziny przed wyprowadzeniem trumny zostaliśmy grzecznie poproszeni o wyjście na zewnątrz. Zespół Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza pożegnał się ze swym patronem długą chwilą zadumy.

Na zewnątrz śnieżyca lepiła z nas bałwany, jakby niebo pozbyło się chłodu wszystkich niewyspanych zapasów. Czekaliśmy cierpliwie, robiąc zdjęcia wszystkim i wszystkiemu dookoła. Nie opodał, na koźle pojazdu zaprzęgniętego w dwa dorodne rumaki, siedział nieporuszony niczym wódz indiański — stary góral. Pojazd ten, to zabytkowy, zwany z góralską „fasiąg”, z plecionymi bocznymi burtami, na żelaznych obręczach. Kiedyś, gdy nie było innych wozów, woziło się tym ludźmi do Chabówki, na sprężynowych, skórzanych siedzeniach, osłoniętych budą rozciągniętą na kablach. Pojazd ten pamięta Sabale i jego rodzinę, która się nim (pojazdem) woziła. Informacje te podał nam stary góral z kozła „fasiąga”, Władysław Sobczak. Powiedziano o nim, że pamięta Witkiewicza, że jako doręcznik woził artystę po Zakopanem. Zdażyły już napisać o tym niektóre gazety, choćby „Kurier Polski”. Nie zadano sobie je-

dnak trudu, by zapytać o to starego gazdę. A myśmy zapytali. Odpowiedział wtedy:

— Ano, wicie, może ta i woziłem. Tyla różnych ludzi się woziło. Tera to już nie pamintom.

— A ile macie lat?

— Siedemdziesiąt losiem, wicie.

Stary góral przynajmniej jest szczery, nie udaje. Gdyby Witkiewicz zmarł był bliżej naszych czasów, legion ludzi, którzy go znali, powiększałby się w miarę wzrostu sławy i popularności genialnego artysty. Tak to się ma (miało) z Edwardem Stachurą, Mariem Hlaską, Czesławem Miłoszem, teraz Jerzym Kosińskim. Nagle wszyscy z tamtych pokoleń ich znali! Jak w ZBoWiD-zie: im dalej od wojny, tym liczniejsze zastępy członków. Stary góral przynajmniej jest szczery, nie udaje.

Przed Teatrem im. Stanisława Ignacego Witkiewicza tłum gęstnieje. Śnieżyca też. Ale oto wynoszą górale trumnę. Ponad głowami ludzi unosi się prawdziwy gąszcz aparatów fotograficznych. To jest zupełnie niezwykły widok. Pobliższe dachy, płoty i drzewa oblepione są ludźmi. Kondukt rusza. Robi się wielkie zamieszanie. Iamia się ustaloną z góry szlaki, tłum rozdziela tych, którzy mieli iść przodem, rozlewa się wokół pojazdu z trumną, wypełnia szczerne alejki, trawniki zasypałe śniegiem i dojeżdża do ulicy Chramcówki. W trakcie marszu udaje się jakoś poustawić szyki według obowiązującego kanonu. A więc na czele zjednoczone kapele góralskie, grające muzykę na żalobną nutę. Niepowtarzalnie piękne jej brzmienie długo jeszcze dźwięczy w uszach. Niby podobna, a przecież inna od zwyczajnych „zbożničkih”. Tesknica, zawoźdząca, a harda jakaś i surowa w równym rytmie basetli, jak dusza górala: wolna i nieokiełznana. Za orkiestrą fasąg, za nim Rodzina i Bardzo Ważne Osoby. Dalej — jak leci. Po obu stronach, szpalerem, idą górale ze Związku Podhalan w strojach odświętnych, z czarnymi kokardami i GORP-owcy, ubrani jak do akcji ratowniczej. Pilnują porządku na trasie. Dziesiątki mikrofonów rejestrują wspaniałą muzykę pogrzebową. Aparaty strzelają nieustannie.

Tłum powiększa się, zgarnia stojących na chodnikach. Górale obliczają kondukt na 10 tysięcy osób. Na Równi Krupowej pochód zatrzymuje się. To symboliczne pożegnanie Witkacego z górami, niewidocznymi zza nawisów ciężkich od śniegu chmur.

Dochodzimy do starego kościółka przy ul. Ko-

ścieliskiej. Tam czeka jeszcze kilka tysięcy ludzi. Przy bramie wejściowej na teren przykościelnego parku tworzy się gigantyczny zator. Wszyscy napierają, lecz wejść mogą tylko „odznaczni”. Nie jest to łatwe, choć pilnujący porządku wylawiają z ciżby posiadaczy znaczków. Wśród porządkowych, dzielna dziewczyna, Julia Wernio, reżyser Teatru Witkiewicza, odpięła męźnie oblegający tłum. Nawet w takim rozgardiaszu nie rozstała się z taktem i kulturą, nie uległa hysterii i emocjom. Charakteryzuje to wszystkich ludzi Teatru, mocujących się w różnych miejscach z rozognionymi przeżyciem ludźmi. Górale i GORP-owcy dostosowali się do swych młodszych towarzyszy i imponowali stanowczym spokojem. Niektórzy z gapiów forsowali drewniany płot, wylapywano ich i tą samą drogą wracano na należne im miejsce, mówiąc niekiedy z nie tajonym zdumieniem: „ludzie, przecież to pogrzeb”.

Tymczasem trumnę wniesiono do kościółka. Krótkie nabożeństwo żałobne odprawił ksiądz Józef Tischner. Orszak oficjeli oczekiwał na zewnątrz. Wystawione z kościółka głosniki nie zadziały. Panowała cisza, jeśli nie słuchać szemrania tłumy. Nad okolicą unosił się w pewnej chwili przejmujący dźwięk sygnaturki, mądrego dzwonu kościelnego. Po nabożeństwie trumna w asyście kapeli popłynęła na góralskich ramionach w ementarz. Wtedy puszczono tłum z ulicy na teren przykościelnego parku. Przed nim był jeszcze brama ementarna. Kto nie zdołał wejść wcześniej, mógł ulec stratomianiu przez zdecydowany na wszystko tłum. Z trudem udało się zamknąć oba skrzydła żelaznej furii. Przeciśnięci do prętów oczekiwali cierpliwie na swoją kolej, słuchając przemówień wygłaszanych nad mogiłą. Tutaj nagłośnienie nie zawiodło, słyszeć było głosy mówców daleko na ulicy. Ks. Józef Tischner odprawił odpowiednią celebrę. Przemawiał minister Aleksander Krawczuk, potem Wojciech Zukrowski, następnie wiceminister Kultury i Sztuki Ukrainy. Najpiękniejsze przemówienie, bardzo poetyckie i wzruszające, wygłosił sekretarz Związku Pisarzy Ukrainy — Jurij Szerbak. Mówił po ukraińsku i po polsku, otrzymał duże brawa.

Wreszcie trumna spoczęła w grobie. Fotografujący zupełnie oszaleli. Pstrykali wnętrza dołu, zasypanych, nakładanie płyty, okładanie darnią, przykrycie drugą płytą i formowanie się góry kwiatów. Uroczystość dobiegła końca. Ludzie zaczęli zlać z drzew, z okalającego ementarz kamiennego muru i wszystkich naturalnych i sztucznych wznieścień i podwyższeń.

Prochy syna spoczęły w grobie matki.

Na jej płycie nagrobnej widniał napis: „Tu spoczywa Maria Witkiewiczowa 1853—1931 matka Stanisława Ignacego Witkiewicza 1885—1939 pochowanego w Jeziorach na Polesiu w przekonanu, że prochy jego tu spoczywać powinny — wspólny nagrobek”. Tak się też stało. Jak powiedział Aleksander Krawczuk: „syn powrócił do matki”.

Na zakończenie trzeba dodać, że ogromną pracę w przygotowaniu i przebiegu uroczystości wykonał członkowie zespołu Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza. Rozwieszali w mieście czarne chorągwie, nagłaścili ementarz, przygotowywali dom pogrzebowy, kierowali pracą górali, brali na siebie szarzę tłumy, zadbał o wszystko; nie nie umknęło ich oczom i uszom. Oddali tym największy hołd swemu Patronowi, wolnemu, niezależnemu, wielkiemu Artystcie, który teraz, już z bliska, śledzić będzie ich lot ku Sztuce.

MAREK KOPROWSKI



Państwo Turowiczowie



Andrzej Dziuk



Foto: Grzegorz Galasiński



Foto: Konrad Turowski

ze str. 1

Liczy się tylko życie

przykład o getcie łódzkim. (Jerzy Kosinski przypominał, że przed wojną ludność Łodzi nie miała w połowie stanowili Polacy pochodzenia żydowskiego) Zapominamy o tym, że tu ocalało potężne liczące tysiące istnień ludzkich. A o tym pamiętać trzeba z równym pietizmem jak i o tych, którzy odeszli.

I to jest właśnie główny cel Fundacji, której prezesuje pisarz. Poruszając kwestię cmentarza żydowskiego w Łodzi Jerzy Kosinski podkreślił, że czas niszczy kamienie, lecz nie może zniszczyć pamięci, że Żydom w Ameryce nie wolno odwrócić się od swojej cywilizacji, której korzenie znajdują się tu, w Polsce, na jej cmentarzach, w jej muzeach, w jej kulturze i tradycji.

Warto przypomnieć, że w Łodzi pochowani zostali rodzice pisarza. Jerzy Kosinski podczas wojny utracił część członków swojej rodziny, rodzice zmarli jednak wiele lat później, matka w 1972 roku. Jerzy Kosinski chodził w Łodzi do szkoły, a po jej ukończeniu rozpoczął studia na wydziale socjologii UL, gdzie studiował m.in. pod kierunkiem prof. Józefa Chalasińskiego, osiągając zresztą znakomite wyniki w nauce. Miał nawet rozpocząć pracę w Polskiej Akademii Nauk. Wizyta pisarza w Łodzi, mieszkanie, w którym „narodziła się jego wyobraźnia”, stanowiła zatem okazję do wspomnień i spotkań z przyjaciółmi lat młodości, którzy licznie przybyli zarówno do łódzkiej PWSFTiT, jak i na Uniwersytet Łódzki.

W środę wieczorem (13 kwietnia) po wizycie na cmentarzu i w domu brata, mieszkającego na stałe w Łodzi, Jerzy Kosinski urządził wraz ze swymi dawnymi przyjaciółmi wznuszający wieczór wspomnień.

W czasie pobytu w Polsce Jerzy Kosinski udzielił wielu wywiadów reporterom radiowym i telewizyjnym, prasie (m.in. w czwartek, 14 kwietnia odbyła się w Muzeum Sztuki konferencja prasowa z jego udziałem), był bohaterem licznych spotkań i wystąpień publicznych. Jest nie tylko znakomitym pisarzem, ale błyskotliwym, swobodnym i żarliwym mówcą, pełnym werwy i humoru.

Życie jest najwyższą wartością i dlatego należy oddawać mu cześć, warto jest nawet mitologizacji. Dobrze jest to, co życiu służy. Przekonuje o tym Jerzy Kosinski nie tylko swoją twórczością, ale przede wszystkim swoją własną postawą, swym osobistym przykładem. Będziemy mieli jeszcze okazję przekonać się o tym, gdyż pisarz zapowiedział swój następny przyjazd do kraju, prawdopodobnie jesienią 1988 roku. Pozostaje tylko życzyć mu szczęśliwego urzeczywistnienia wszystkich swoich planów... i oczekiwać na rychłe pojawienie się na naszym rynku księgarskim pierwszych powieści.

Nie od rzeczy będzie dodać, że Jerzy Kosinski nie zapomniał o Wydawnictwie Łódzkim. Tuż przed wyjazdem autora „Malowanego ptaka” podpisana została umowa z pisarzem Jerzym Kosinskim z pewnością wzbogaci ofertę wydawniczą łódzkiej oficyny.

Rozmowa z Jerzym Kosinskim

— Czy zamierza pan ingerować w polskie przekłady pana książek?

— Nie. To niezwykle uczucie zobaczyć swój tekst po polsku (mowa o przekładach drukowanych w „Odgłosach” — M.S.). Trudno się z tym pogodzić, zwłaszcza że jest to tekst pisany inną ręką, prawdą? Zamierzam nie ingerować, dlatego że ta ingerencja byłaby w jakimś sensie niewłaściwa, może nie w sensie moralnym czy estetycznym, ale niewłaściwa w sensie językowym. Ja nie straciłem języka, ale straciłem wyuczenie brzmienia tego języka dla czytelnika.

— Jest pan jednak autorem, który niesamowicie dużo poprawia przed wydaniem.

— Bez przerwy. Zmieniam do samego końca. Ale teraz muszę być zdyscyplinowany, bo po raz pierwszy od wielu lat Kosinskiemu nie wolno dotknąć jego własnego tekstu.

— Powiedział pan na spotkaniu ze studentami w Szkole Filmowej, że pisze pan o bycie. Czy to znaczy, że „Malowany ptak” jest w jakimś sensie powieścią egzystencjalną?

— A jest byt?

— To zależy, co przez byt rozumieć. Czy mówi pan o bycie absolutnym, czy o przejawach bytu?

— Przez byt rozumiem absolutną świadomość momentu życia. Momentu zdefiniowanego jako moment dramatyczny, z którego mocodawca, w tym wypadku człowiek żyjący, zdaje sobie w pełni sprawę, i temu momentowi moc nadaje, między innymi rodzajem języka, jakim o tym momencie pisze i w jaki sposób się o tym momencie wyraża. Człowiek nie myśli o momencie życia jest dla mnie człowiekiem nieżyjącym.

— To właśnie dlatego twierdzi pan, że „Malowany ptak” jest powieścią ahisteryczną?

— Moim zdaniem każda powieść jest nleihisteryczna, bo to wynika z natury fikcji. Idealna fikcja byłaby ponadczasowa, bo dotyczy wyobraźni, momentu wyobraźni, a nie momentu czasu. Wobec tego jedyną historią, którą można przekazać w powieści, jest historia idealnego czytelnika, to wszystko, co mogę zrobić w moim momencie.

— Pan jako socjolog z wykształcenia z pewnością zdaje sobie jednak sprawę z rozlicznych uwarunkowań, dotyczących jednostki, a przecież w całości swojej prozie stara się pan jakby od tego uciec.

— To zależy, jak się na tę prozę patrzy. Nie ulega kwestii, że istnieje socjologia małych grup, istnieje także socjologia życia jednostkowego... Ale proszę nie dotykać „guzika socjologicznego” we mnie, bo nie jestem na to po polsku w wystarczającym stopniu przygotowany. Straciłem kontakt z socjologią... A poza tym istnieje taka rzecz, która mnie zawsze bardzo interesowała, zainteresowanie nią rozbudzał we mnie zawsze Józef Chalasiński. A rzecz ta nazywa się socjologią języka. Zwrócił pan uwagę, że gdybym miał wybrać jakiś typ literatury socjologicznej, literatury — proszę zwrócić uwagę, a nie metodologii — to mówiłbym o Florianie Znanieckim. A Bronisława Malinowskiego „Życie seksualne dzikich” to myśmy czytali jako książkę o socjologii, czy jako książkę o pewnym typie bycia?

— Bronisław Malinowski był funkcjonalistą.

— Bronisław Malinowski był pisarzem! Florian Znaniecki był

pisarzem. I Zygmunta Freuda również czytam jako świetną literaturę, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, aby pójść do psychoanalizy.

— Czy wyniki pańskiej twórczości, to znaczy konkretne, gotowe dzieła, zawsze są zgodne z zamiarami, jakie towarzyszyły pierwotnemu zamysłowi?

— Hm... i tak, i nie. Przychodzi taki moment, kiedy mówię sobie: Kosinski, musisz być zdyscyplinowany, trzeba kiedyś tę rzecz może nie tyle zakończyć, bo jej nigdy nie można zakończyć. A w ogóle najlepszym stanem dla mnie byłoby pisanie niekończącej się powieści, bo bardzo lubię samą czynność pisaną, to mi najbardziej odpowiada, ja się wtedy świetnie w tym stanie czuję — czyli wtedy właśnie przerywam i wracam do tekstu. Na przykład na moją ostatnią książkę poświęciłem sześć lat pisaną, czyli przepisywania, poprawiania, rozgrywania na tym akordeonie językowym, i w jakimś sensie zaciśnięciu tego akordeonu.

— A jaki jest pana stosunek do innych pisarzy amerykańskich pochodzenia żydowskiego? Mam tu na myśli na przykład Malamud, Singera, Bellowa, Hellera.

— Uważam, że jesteśmy wszyscy w tej samej księgarni.

— Czy „Malowany ptak” zawiera jakieś elementy pana biografii, czy jest tylko kwestią wyobraźni pisarskiej?

— Jest to tylko kwestia wyobraźni, bo i zawiera, jak każda książka, każdego człowieka, i jednocześnie nie zawiera. Powieść jest powieścią. Na marginesie tego pytania muszę powiedzieć, że ja w ogóle nie wierzę w autobiografię. Ja nawet nazwałbym to kiedyś, jeśli wolno mi się samemu cytować, autotokcją. W „Notatkach autora”, które wydałem równocześnie z „Malowanym”, przepraszam, z „Malowanym ptakiem”, jak mnie poprawiono w „Czytelniku”, napisałem, że antropolog nie znalazłby w historii moich bohaterów, tak jak nie znalazłby w niej czarownic z „Makbeta”. Mimo że oczywiście prototypy są. Czy Kalmucy z mojej książki na przykład... „spiratowanej” przez pana łaskawe pismo, czy raczej „spiratowanej” łaskawie, to muszę podkreślić, więc czy

ci Kalmucy są autentycznie historyczni? Nie ulega wątpliwości, że oni gdzieś tam istnieli, ale to są także prototypy ludzi, którzy nie jeżdżą na czołgach, którzy jeżdżą na koniach, którzy jeszcze jedzą nie gotowane mięso. Czyli to są jeszcze... czy po polsku mówi się archetyp??

— Tak, archetyp.

— Ja właśnie wolę mówić o archetypach, jeżeli chodzi o literaturę, a broń Boże nie o historii.

— Jaki jest pana stosunek do religii?

— Mój stosunek do religii jest moim stosunkiem do codziennego życia. To znaczy, religia dla mnie oznacza to, o czym powiedziałem przedtem — to bardzo... bardzo świadomy moment „czolobitności” w stosunku do każdego momentu świadomego życia, które we mnie płynie.

— Niezależnie od tego, czy wynika on z postawy religijnej, czy też z jakiegoś innego źródła?

— To już jest religia, ta świadomość i to poszanowanie, to jest ten ołtarz, któremu zawsze kłaniam się. Mnie absolutnie nie interesuje skąd... Nie, interesuje mnie, ale na to nie mam odpowiedzi, skąd się ten dar życia wziął. Podarunek jest tak nieprawdopodobnie bogaty, a równocześnie nie wiadomo, kiedy się kończy, i wobec tego trzeba myśleć o podarunku, a być może nie o ofiarodawcy, bo tego ofiarodawcy nawet ja, człowiek z dość dużą wyobraźnią, jak mi się wydaje, nie chciałby i nie mógłby sobie wyobrazić.

— Krytykowano pana dość często za komercjalizm pana powieści. Co sądzi pan o tych zarzutach?

— Ze wszystkich krytyk, jakie mnie dotąd spotykały, ta mi najbardziej imponuje, dlatego że tak naprawdę to bardzo bym chciał być komercyjnym pisarzem, a nie jestem nim w wystarczającym stopniu. Jestem czytany, jak to kiedyś powiedziałem, przez pewną liczbę ludzi szerokiego marginesu czytelników, ale szerokiego tylko dlatego, że kraj, w którym piszę, ujęły także historycznie, to Ameryka, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, gdzie mieszka bardzo wiele milionów ludzi, wobec tego nawet skromne procenty czytelników oznaczają pokaźne liczby absolutne w porównaniu z jakimś mniejszym krajem. W Norwegii, gdybyśmy mówili o tych samych procentach, umarłbym z głodu. Jako pisarz.

— Czy aktualnie pracuje pan nad jakąś nową powieścią?

— Skończyłem. Właśnie skończyłem jedną, czyli już nad następną pracuję.

— Tak szybko myśli pan o nowej książce?

— Sądę, że to raczej ona już sama jakoś myśli we mnie... w tej chwili. Jest to problem, o który mnie zapytano także po drodze tutaj — w jakimś sensie. W jakimś sensie mój obecny stan myślenia w tej chwili jest jak gdyby zdominowany przez fakt, że nagle mogę myśleć po polsku w rozmowie z panem.

— Powroty bywają różne. Ale czy powrót jest w ogóle możliwy?

— W tym przypadku występuje moim zdaniem w ogóle zjawisko niewyjścia. Bo jak można wyjechać z dwudziestu czterech lat własnego życia? A więc w gruncie rzeczy jest to raczej stan kontynuacji. A stan powrotu... Stan powrotu, jeśli oczywiście istnieje, jest powrót, jest stanem powrotu do rzeczywistości fizycznej, topograficznej powiedzmy, której nie znam, w której nie potrafię poruszać się swobodnie, i która jest dla mnie ponadto w jakimś sensie drugorzędna. To, co było dla mnie ważne wcześniej, podczas spotkań z moimi najbliższymi przyjaciółmi, jak podkreślałem panu konsułowi i mojej żonie. Siedzieliśmy wszyscy wokół stoika w sali „Malinowej”, w której siadywałem kiedyś przed trzydziestoma paroma laty, i nagle wydało mi się, po jakimś czasie, nie chodzi mi tutaj o konsumpcję alkoholu, broń Boże, ale o intensywną konsumpcję polskiej wyobraźni, że albo ja z tej sali „Malinowej” nigdy nie wyjechałem, albo ja w niej nigdy nie byłem przedtem. Byłem nagle i w domu, i jednocześnie byłem cudzoziemcem.

— Podobno nie należy wracać do miejsc, w których przeżyło się szczęśliwe chwile. Czy sądzi pan, że to prawda?

— O, to jakiś bardzo złośliwy aforyzm. Wydaje mi się, że takie miejsca należy kultywować, pielęgnować, szanować, bo na tym właśnie polega wielka radość życia.

— To wszystko prawda, ale tu kwestionuje się samą ideę powrotu. Czy wie pan może, kto jest autorem tego powiedzenia?

— Nie.

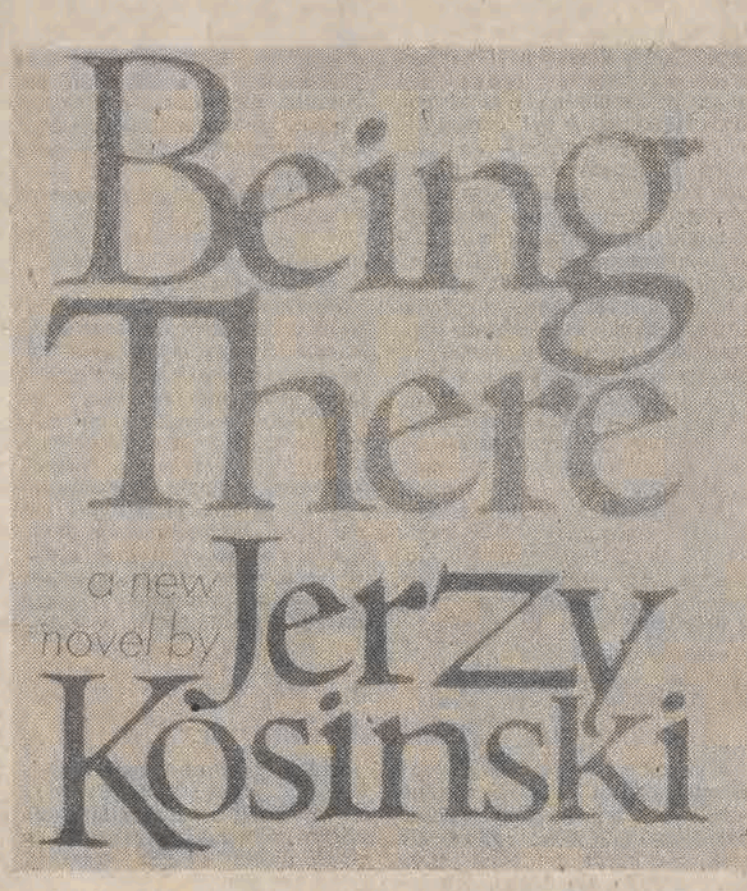
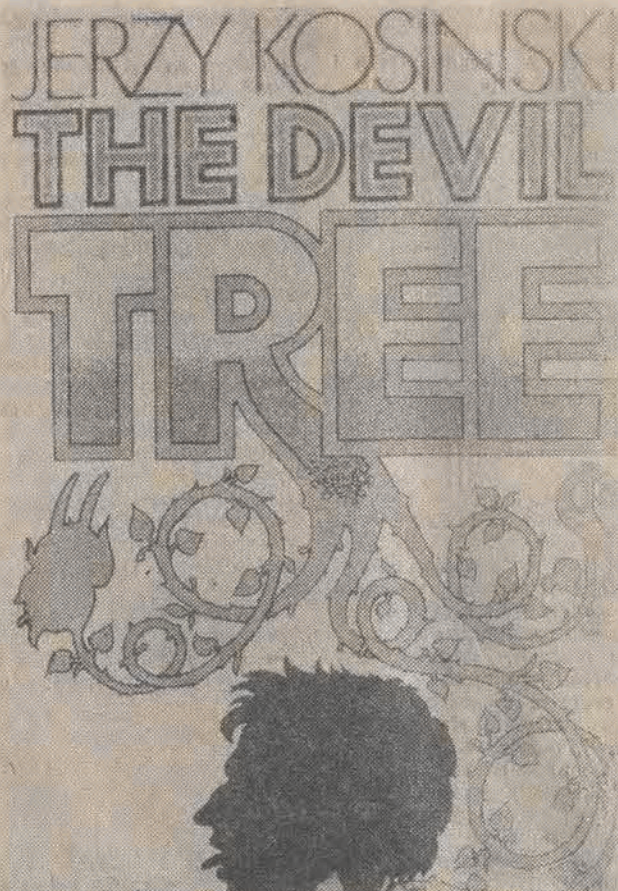
— Pisała w tym duchu na przykład w jakimś sensie pana koleżanka po piórze, Agata Christie, w swojej „Autobiografii” u kresu życia.

— Być może po piórze, ale... nie taka tam z niej znowu koleżanka.

— Dziękuję panu za rozmowę.

— Dziękuję.

Relacja i rozmowa: MACIEJ ŚWIERKOCKI



PS. Dziękuję także za życzliwość pani doc. Agnieszce Salaskiej i wszystkim pracownikom Instytutu Filologii Angielskiej Uniwersytetu Łódzkiego.

M.S.

Jest to reportaż o perfidnej kradzieży psa. Perfidna kradzież psa wydarzyła się w Łodzi.

Ale przedtem, w Warszawie, na Pradze, która, jako wszyscy wiemy, stanowi gorszą upośledzoną połowę stolicy, korespondowała z naszą historią pewna dyskusja. Otóż wystawie sobie państwo, iż w „dostojówce” przy ulicy Kaweczynskiej siedziało po obydwu stronach stołu dwóch osobników. „Dostojówka” tonęła w ciemnościach, gdyż prąd już od wielu miesięcy był wyłączony, podobnie zresztą jak gaz, za który nie uiszczono w porę opłaty. Nie znaczy to wszakże, że „dostojówka” całkowicie została pozbawiona zdobyczy cywilizacyjnych. W kuchni z zepsutego kranu ciurkała woda. Ciurkała ohydnie i dręcząco, ale dwaj panowie nie zwracali na to uwagi, mieli bowiem na stole butelkę i wpatrywali się z trwogą w poziom alkoholu, który oscylował nieuchronnie w kierunku dna.

Trzeba tu od razu powiedzieć, iż podobnie jak „dostojówka”, lokum brudne i kompletnie zrujnowane, także i dwaj dżentelmeni byli typami wyjątkimi: żywcem z powieści Fiodora Dostojewskiego. Młodszy dobił czterdziestu, ale w sumie wyglądali na sto. Pewnie dlatego, że odżywiali się nie regularnie i że już kilkakrotnie siedzieli w więzieniu. Nie było to jednak wyroki srogie — rok, dwa, a kryły się za nimi drobne kradzieże i oszustwa.

Tragedia naszych dżentelmenów polegała na tym, że nie dysponowali gotówką, aby kupić kolejną butelkę. Wszystko, co w mieszkaniu było do sprzedania, zostało już dawno sprzedane włącznie z obłuczonym sedesem i rozmontowanym piecem kaflowym, który, zapakowany do worków, wpadł w szpony jakiegoś przywacza na bazarze Różycyńskiego. Chłopa-kom naszym zostały na pociechę jeno dwa raclimskie krzesła, wzniakiowany stół, chwiejący się niebezpiecznie pod byle ciężarem, i łóżce z wybebeszoną i nie powleczoną koldrą.

Wypili prosto z butelki po ostatnim łyku, sięgnęli do paczki po ostatnie dwa papierosy i ten młodszy, chudy, zaczął nagie szlochać.

— Kiedyś — chlpał — człowiek mógł za pierwszy grosz uchlać się jak nieboskie stworzenie i życie było różowe jak bajka. A teraz, co?! Dno! Nie ma życia. Trzeba chodź przez cały dzień. Czeba z tym skończyć!

Wygłosiwszy ową tragiczną kwestię trzydziestolatek wyciągnął z kieszeni niewielki, zdecydowanie paskudny scyzoryk, postawił ostrze i przyłożył je do serca.

— Pchnij, Feluś — powiedział.

— Pomóż koledze.

— A kto mnie pomoże? — zapytał starszy. — Ty trafisz na ementarz albo do szpitala, a mnie wsadzą. Schowaj kizior i przestań odstawać kabaret.

— I co zrobim?

— Czeba coś wymyśleć.

— Na bombę pójdziem? — wzdrygnął się młodszy.

— Pójdziem! — przytaknął starszy. I dodał po chwili: — Ale nie u nas, nie w Warszawie.

— A gdzie?

— W Łodzi. Takie rzeczy lepiej załatwiać w obcym mieście.

2.

Samopoczucie chłopców z ulicy Kaweczynskiej uległo wyraźnej poprawie. Zamiało, żebrali na melinach o wódkę, przegadali całą noc planując swój nieskomplikowany skok. Otuchy dodawał im fakt, iż mieli w Łodzi przegadane kumpla, kibica jednej z łódzkich drużyn piłkarskich, który przyjechał kilka miesięcy temu do stolicy na mecz z Legią. Junak ten, chłopisko podłej konduity, urządził się z nimi po meczu, a przed wyjazdem dał im swój łódzki adres i szepnął mrużąc źróbkę oko, żeby odwiedzić go kiedyś w interesach.

Dżentelmeni dokonali rano nad ciurkającym zlewem toalety, zjedli resztki zeschniętego chleba i udali się na dworzec.

3.

W tym samym mniej więcej czasie z pewnego porządnego łódzkiego domu w śródmiejskiej, nie cieszącej się najlepszą opinią enklawie wyszedł na spacer z psem wesoły, dziesięcioletni chłopiec. Pogoda była cudowna, przygrzewało wiosenne słońce, w gałęziach drzew świergotały ptaki, a na pobliskim zazielenionym już skwerku kilku malców grało z pasją w piłkę nożną, co było widowiskiem tak zachwycającym, że chłopiec zapomniał na chwilę o psie, ten zaś, również zachwycony wiosną, zapomniał na chwilę o chłopcu i począł uwozić jakiegoś kundla.

Padł gol. Piłka tylko o centymetr minęła framugę ślepego okna, którego okiennice otworzyły się z trzaskiem i roz-

cajają. Kiedy na horyzoncie pojawił się konduktor z rewizorem i zaczęli przeczesywać przedział po przedziale, chłopcy nie stracili animuszu i dopiero w ostatniej chwili weszli do ustępu. Tu nastąpił moment przełomowy. Gdyby chłopcy, nie daj Boże, zamknęli za sobą drzwi, konduktor zapukałby do ustępu z całą pewnością. Chłopcy jednak stanowili parę doskonałych psychologów i zamiast zamknąć drzwi, zostawili je uchylone. Stali za nimi wstrzymując oddechy. Kontroler i rewizor zerknęli na nie z przyzwyczajenia i przekonani, że nikogo tam nie ma, pomaszerowali dalej, chłopcy zaś przenieśli się w przeciwny, zatłoczony koniec pociągu, gdzie niebawem także zrobiło się pusto.

W Łodzi rażnym krokiem opuszcili dworzec i zapytali pierwszego z brzegu cwaniaka,

— Sie masz.

— Jadziu — zwrócił się gospodarz do swojej narzeczonej, — To są moje kumple: Feluś i Zbychu. — I dorzucił z pychą: — Z Warszawy!

A oni poprawili go łagodnie: — Z Pragi.

Jadźka omdlała. Zawsze wierzyła, że jej chłop jest człowiekiem wysoce ustosunkowanym, żeby jednak współpracował z Warszawą i Pragą, to już wprost nie do wiary. Cała Europa zwała się nagle do jej stóp. Pokraśniała i wpatrywała się z osłupieniem w spodnie. Feliks, w rozporek spity kokietyrnie zardzewiałą agrafką, w dziurawą kolana i w rozdarte nogawki, które zszyla na okrętek czyjaś łosi-ciowa ręka. Ten młodszy tymczasem, Zbychu, uwolnił psa. Ogniste bydle, samiec w średnim wieku, dostało małego rozumu i zaczęło rozbijać miesz-

— Tak. Czeba jeszcze o tym pomyśleć — przytaknął Zbych i zapytał nagle: — Macie coś do pisania?

— Mamy — pośpieszyła Jadzia wręczając mu ogryzek ołówka i skrawek papieru.

— A pięć złotych w kawałku?

— Jest!

— To ja zaraz wrócę — zapowiedział Zbych i nim zdążyli coś powiedzieć, wyszedł, aby w chwilę później stanąć przed schłodną kamienicą z domofonem i spisać z kartki numer telefonu, który należało do rodziny oplakującej zagubioną suczkę. Fakt, że drzwi kamienicy wyposażone były w domofon, a więc zamknięte dla intruzów, uznał Zbyszek za okoliczność sprzyjającą.

Odszedł i zaczął poszukiwać automatu telefonicznego. Znalazł owo pozytywne urządzenie

by przypadkiem powiadomić organów ścigania. W ten sposób odzyskałby psa nie tracąc pięciu tysięcy, a perfidny hycel poniosłby sprawiedliwą karę. Dysputa rozwijała się w najlepsze. W trakcie tego spły jamnik ocknął się z kacem i choć nie bardzo podobała mu się jego nowa, zastępcza rodzina, powziął pewną sympatię do Jadzi, która najpierw pogłaskała go po głowę, a potem nakarmiła kaszanką.

Liznął ją w rękę i w policzek. Zbych, który właśnie wrócił z dworca, był świadkiem owej demonstracji uczuć i podjął natychmiastową decyzję.

— Ubieraj się — powiedział do Jadzi.

— Po co?

— Załatwimy drobny interes. Ale tylko pies i my dwójka. Wy, chłopcy, zostaniecie w domu.

7.

Zarówno ojciec jak i matka doszli do wniosku, że trzeba jednak wezwać milicję. Pan domu podszedł do telefonu i już miał wykręcić numer 997, kiedy czatujący w oknie chłopaczyna krzyknął wesoło:

— Są!

— Tak wcześnie? Minęło dopiero pół godziny!

— Och, daj im te pieniądze i będzie spokój — poddała się matka.

Przywiązane do aluminiowego, posiadającego tylko trzy zęby widelca pięć tysięcy padło na chodnik. Ojciec i matka widzieli, jak ktoś je podnosi. Widzieli także zakutaną w chustę kobietę trzymającą w rękach psa błądzącego z całą pewnością jamnikiem.

Chłopaczyna nacisnął guzik w mieszkaniu na drugim piętrze, co spowodowało, że drzwi wejściowe na parterze ustąpiły pod naciskiem ramienia Jadzi. Dziewczyna, której obcy były lekkie jak piórko, wrzuciła z ciężkim sercem psa w czarną, nie oświetloną otchłń sieni, zatrzasnęła drzwi i odbiegła mroczną ulicą. Zbysio dogonił ją, poszli razem na melinę i zaopatrzyli się w alkohol, który sprawił, iż wszyscy razem, cała czwórka, przeżyli w łódzkim mieszkaniu upojną, seksualną noc.

8.

Tymczasem na drugim piętrze porządnej kamienicy z domofonem malec szlochał rozpaczliwie, bladzi, zszokowani rodzice lamali sobie głowy, co robić, a krzepki, powtórnie oszukany jamnik męskiego przyrodzenia, który dosyć już miał doprawdy rodzin zastępczych, szalał z wściekłości, demolując systematycznie mieszkanie.

9.

Chłopcy z Kaweczynskiej opuszcili siedliskie łódzkie kumpla w południe. Czuli się podłe, nie mieli przy sobie ani grosza. Człapali na dworzec, skąd czekała ich gapowa podróż do stolicy. Powodowani przekorą przeszli obok skromnego sklepu spożywczego, spod którego porwali wczoraj jamnika. Ku ich zaskoczeniu na murze nie opodal sklepowych drzwi wisiała kartka.

Przeczytali wstrząsający apel właściciela, który, jeśli tylko odzyska psa, obiecywał uczciwemu złodziejowi rzetelną nagrodę. Był adres i był numer telefonu. Zbych wbił sobie jedno i drugie do głowy, po czym zwrócił się do Feliksa.

— Wracamy.

— Gdzie?

— Do Jadzi. W tego psa da się jeszcze raz obrócić i znowu będziemy mieli pieniądze. Kapujesz?

— Nie.

— Oj, Feluś, Feluś! Gdzie ty byłeś, jak Pan Bóg dawał ludzkom rozum. „Ona zadzwoni do właściciela i powie: — Za piętkę wskażę panu dom, gdzie przetrzymują pańskiego jamnika.”

Jak zdobyć pieniądze w sposób, którego nie pochwalamy.

Bomba

ANDRZEJ MAKOWIECKI

czochrana starucha zaczęła kłać piłkarską młodzież z wirtuozerią dozorcę. Mecz został przerwany, malec rozejrział się za psem, brązową, krótkowłosą, dziewczą jeszcze jamniczką, tej jednak nie było — ani na skwerze, ani na sąsiednich uliczkach.

Dziesięcioletnie serduszek malca pograżyło się w czarnej rozpacz. Plakał, nawoływał suczkę, wypyttywał o nią przechodniów, nie przyniosło to przecież żadnego rezultatu i po godzinie zdruzgotany chłopaczyna wrócił do domu, aby powiadomić o stracie rodziców.

Ojciec współczuł gorąco synkowi, z drugiej strony wszakże odczuł ulgę, bowiem młody psiak systematycznie rujnował mieszkanie — zżerał książki,

gdzie jest ulica, na której mieszkał ich kumpel. Była blisko. Podążali tam z nadzieją, że łódzki koleśka pokrzepi ich bez ochyby kielichem. Nim weszli do bramy chyłącego się ku upadkowi budynku, minęli przyjemną trzypiętrową kamienicę o drzwiach, z boku których był domofon. Widniała tam również jakaś kartka, a na niej wypisane czerwonym flamastrem obwieszczenie, że zginął jamnik-suczka, młoda, jasno-brązowa, krótkowłosa, kochana do szaleństwa przez zrozpaczone dziecko.

Starszy łachmyta nie zwrócił na to uwagi, młodszy jednak przechował informację w pamięci. Trzeba trafiać, iż nagle w bocznej uliczce, pod mizernym sklepem spożywczym, dojrzał

kanie. Rzuciło się na drzwi, walnęło z rozpędem głową w kredens, potargało zezmacony dywan na podłodze, wyjął przy tym i szczerząc z taką furją, że gospodarz przy pomocy warszawiaków musiał mu wspomóc do żołądka trochę wódek.

Pies zwyłotował w kacie i zasnął, dzięki czemu ferajna mogła zacząć naradę. Odpili dwie butelki samogonu, zakasali ogórkiem, wciągnęli z rozkoszą do płuc serdeczną dawkę nikotyny, po czym łódzianin wyłuszczył im sprawę.

Jasne! Bombę można zrobić. Osobiście jednak nie radziłby im operować na Piotrkowskiej, gdzie większość sklepów ma urządzenia alarmowe i gdzie

w okolicach dworca. Połączył się. Milczał. Z drugiej strony przewodu usłyszał zdenerwowany męski głos.

— No, kto tam?!

— Uczciwy znalazca.

— Ma pan naszą suczkę?

— Tak.

— Kiedy ją pan zwróci?

— Kiedy pan chcesz.

— Najlepiej od razu.

— Za godzinę — wychrypiął Zbyszek przekalkulowawszy sobie w głowie pewną kombinację.

— Zgoda — powiedział mężczyzna.

— W takim razie szykuj pan pieniądze.

— Ile?

— Dychę.

— Pan zwiariował! Dychę to



Foto: Grzegorz Galasiński

ja dałem za szczeniaka, jak go kupowałem.

— Sześć — powiedział Zbyszek.

— Pięć — targował się mężczyzna.

— W porządku. Ale uważaj pan! Wiem, gdzie mieszkać. Wasze okna wychodzą na ulicę?

— Wychodzą.

— To kliknijcie przez okno. Jak zobaczycie, że ktoś niesie waszego psa, to cisniecie na chodnik tę piątkę, ale musicie ją jakoś obciążyć, żeby nie odleciała z wiatrem. W tymże samym momencie, kiedy podnieśliśmy i przeliczyliśmy należność, uruchomicie dzwonek do drzwi wejściowych, a my wypuścimy suczkę, zatrzaśniemy drzwi i odjedziemy. Odpowiada panu taki plan?

— Niech będzie — westchnął męski głos.

— No to tymczasem! — beknął Zbysio i przerwał połączenie.

6.

Szalejący z radości chłopaczyna niezwłocznie ustawił się w oknie, zaś jego rodzice toczyli dysputę, czy nie należało-

panie nauczycielki, co jedna to ładniejsza, strojnieszka, a czule z panią inspektor. Dyrektor jest brzydszy, bo mężczyzna, ale pod jego przewodem dokonano wszystkiego, aby goście mogli się dowiedzieć, czemu szkoła zawdzięcza ten zaszczyt i kim był patron.

Chłopiec z Łaznowa

Urodził się 6 marca 1906 r. we wsi Łaznowa, pow. brzeziński woj. łódzkie. Zimą chodził do szkoły, w lecie pasał owce i krowy. Gdy miał osiem lat, wybuchła pierwsza wojna światowa. Wyrastał w atmosferze narastających tendencji niepodległościowych, rodzającego się pedu do oświaty, podstuchiwał i podpatrywał szkolących się POW-ów. Ojciec, który oprócz gospodarstwa zajmował się kowalstwem, podobnie jak matka był człowiekiem światłym, toteż dbał o wykształcenie jedynego męskiego potomka. **Bolesław Scibiorek** po ukończeniu celującego czternastoklaszowego powiatowego gimnazjum w Łaznowie poszedł do progimnazjum w pobliskim Bedkowie, skąd trafił do Seminarium Nauczycielskiego w Łodzi, o czym wspomina podczas dzisiejszej

uroczystości kolega z tamtych lat, dr Karol Przesmycki. Wrocił do rodzinnego Łaznowa, gdzie założył drużynę harcerską i kółko Związku Młodzieży Węjskiej. Na zjeździe delegatów pow. brzezińskiego mówił m.in.:

— Celem naszym jest Polska demokratyczna, ludowa, oparta na zasadach równości, samowystarczalności gospodarczej, w której nie będzie gniebicieli i gniebionych. Stary rektoriak, Jan Niewiadomski, wspierający się na łascie, zgarbiony, pamięta, że w 1930 r. **Bolesław Scibiorek** wydał na Retkini broszurę o roli kół młodzieży wjskiej w walce z alkoholizmem. Scibiorek twierdził, że wolny chłop musi być światły, trzeźwy, aby wznosić się na wyżyny, bo inaczej, gdy marnie stracimy odpowiednie momenty, historia wyrzuci nam, że niegodni byliśmy zwać się wolnymi obywatelami. Zaostrzyły się kryteria polityczne, od nauczycieli wymagano lojalności wobec reżimu sanacyjnego, a tych o bardziej radykalnych poglądach przemierzano. **Hilary Buze** spod Ciecuchowca, siwowłosy, szczupły mężczyzna, **Bolesław Scibiorek** i jego siostrę **Jadwigę** poznał na Uniwersytecie Łódzkim w Gliuchowie. Potem ożenił się z **Jadwigą**. Mówi, że **Bolesław** pozostał kawalerem, bo uważał, że małżeństwo nie pozwalałoby mu w pełni realizować jego misji życiowej. Buze wspomina, że swągrymano zeznać na kresy, ale ostatecznie wyjechał w Jeżowie, pow. brzeziński.

W Polsce Ludowej były takie czasy i takie tzw. określone warunki, że dziesięć lat pracy **Bolesława Scibiorka** w Konstancji mogło pójść w zapomnienie, tak jak zapomniano o szkole, w której uczył. Na szczęście do tego nie doszło.

Patron

Uroczystości kolega z tamtych lat, dr Karol Przesmycki. Wrocił do rodzinnego Łaznowa, gdzie założył drużynę harcerską i kółko Związku Młodzieży Węjskiej. Na zjeździe delegatów pow. brzezińskiego mówił m.in.:

— Celem naszym jest Polska demokratyczna, ludowa, oparta na zasadach równości, samowystarczalności gospodarczej, w której nie będzie gniebicieli i gniebionych. Stary rektoriak, Jan Niewiadomski, wspierający się na łascie, zgarbiony, pamięta, że w 1930 r. **Bolesław Scibiorek** wydał na Retkini broszurę o roli kół młodzieży wjskiej w walce z alkoholizmem. Scibiorek twierdził, że wolny chłop musi być światły, trzeźwy, aby wznosić się na wyżyny, bo inaczej, gdy marnie stracimy odpowiednie momenty, historia wyrzuci nam, że niegodni byliśmy zwać się wolnymi obywatelami. Zaostrzyły się kryteria polityczne, od nauczycieli wymagano lojalności wobec reżimu sanacyjnego, a tych o bardziej radykalnych poglądach przemierzano. **Hilary Buze** spod Ciecuchowca, siwowłosy, szczupły mężczyzna, **Bolesław Scibiorek** i jego siostrę **Jadwigę** poznał na Uniwersytecie Łódzkim w Gliuchowie. Potem ożenił się z **Jadwigą**. Mówi, że **Bolesław** pozostał kawalerem, bo uważał, że małżeństwo nie pozwalałoby mu w pełni realizować jego misji życiowej. Buze wspomina, że swągrymano zeznać na kresy, ale ostatecznie wyjechał w Jeżowie, pow. brzeziński.

W Polsce Ludowej były takie czasy i takie tzw. określone warunki, że dziesięć lat pracy **Bolesława Scibiorka** w Konstancji mogło pójść w zapomnienie, tak jak zapomniano o szkole, w której uczył. Na szczęście do tego nie doszło.

Izba Pamięci

Mgr Bronisław Zbrojewski był uczniem tej szkoły, później nauczycielem, a po paru latach wrócił tutaj, by objąć funkcję dyrektora. Zaglądając do starych dokumentów usławił sobie, że 5 grudnia 1935 r. miała równo 40 lat od śmierci przedwojennego kierownika szkoły, **Bolesława Scibiorka**. Byliśmy już na etapie odnowy, toteż dyrektor uznał, że należałoby nadać szkole imię Scibiorka. No tak, ale **Bolesław Scibiorek** nie był postacią encyklopedyczną, a poza tym przychylny i okoliczności jego śmierci budziły wątpliwości, chociaż w burzliwych latach czterdzie-

dziesiątą **Jeżów** Należem do **Kochanemu i drogiemu Panu Wychowawcy**. Stare gazety z nekrologami o śmierci **Bolesława Scibiorka**, księgi ocen, kroniki szkolne i klasowe, uratowane z pożaru „Złota Księga”, pełna zapisków i fotografii. W najbardziej eksponowanym miejscu znajduje się popiersie **Bolesława Scibiorka**, przywiezione specjalnie na tę okazję z Muzeum Rolnictwa w Ciecuchowcu. Obok popiersia leży nadany posmiertnie Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski oraz stosowna legitymacja. Znamienne, że uchwała Rady Państwa zapadła dopiero w 1959 r. Ale do tego także jeszcze wrócimy.

Nie ma wśród eksponatów starego sztandaru szkoły i cennej mapy, które wozna, „babcia” Olejniczakowa przechowywała przez okupację. Trafiły później do Muzeum i trudno będzie je odzyskać.

W styczniu 1945 r. Olejniczakowa czekała cierpliwie chwili, gdy będzie mogła wziąć do ręki dzwonek i dać sygnał do rozpoczęcia lekcji. Ale **Bolesław Scibiorek** nie miał już wejść do klasy na dźwięk tego dzwonka.

Dzisiaj wszyscy czekają cierpliwie na doniosły moment w życiu szkoły. Słusznie panie nauczycielki i najlepsi, zdyscyplinowani uczniowie. I nawet nie będzie im żal, że ich przyszła szkoła, z ładną wystawką plastyczną, a nawet i papierem toaletowym w kabinach, zostanie zdeptana butami dziesiątków gości. Żadna jednak część tej uroczystości, ani oficjalna, ani artystyczna, nie wykaże, że dzisiejsze świętowanie jest poniekąd następstwem zyciowej tragedii, której źródła należy szukać w Jeżowie. Zrobimy to więc, zanim zabrzmi orkiestra i wzniesie sztandar.

W podziemiu

Jeżów był ni to osada, ni to wieś, której mieszaną społeczność, tak pod względem narodowościowym, jak i zawodowym, żyła w izolacji, traktując z góry okoliczne „chamstwo”. **Bolesław Scibiorek** znalazł się tam 1 kwietnia 1933 r., toteż przyjęto go jako żart primaaprilisowy. Jako nowy kierownik napotykał wiele przeszkód. Nikt nie chciał mu pomóc w budowie szkoły, która znajdowała się w fatalnych warunkach. Najcięższym grzechem było to, że traktuje sprawiedliwie

i humanitarnie Żydów, a ci stanowili 50 proc. jego uczniów. Udało mu się zorganizować kursy dokształcające, otworzyć świetlicę, ogródek szkolny, wystawić widowiska teatralne. Uznikał działalności politycznej, aby jak najwięcej czasu poświęcać szkole i dziecku.

Po bombardowaniu, wejściu Niemców i bitwie nad Bzurą, **Bolesław Scibiorek** działał tak, że nawet jego przeciwnicy z jeżowskiej endecji nie mogli mieć don zastrzeżeń. Przede wszystkim udało mu się uruchomić szkołę. Pracował legalnie jako kierownik szkoły, nie zwracając niczym uwagi, a jednocześnie gromadził i zabezpieczał porzuconą broń, prowadził tajne nauczanie z zakresu gimnazjum oraz szkolenie wojskowe w podchorążówce. Utworzoną przez niego grupą konspiracyjną nazywaną „Orsy” (związana z jakas centralą podziemną. Później nawiązuje kontakty z ZWZ-AK i działa pod tym szyldem jeszcze po wyzwoleniu się Batalionów Chłopskich oraz utworzeniu w województwie kierownictwa SL-ROCH.

Z początkiem 1943 r. **Bolesław Scibiorek** usława z organizacji **Wacława Kucikiewicza**, szefa grupy, która podobno zaczęła uprawiać rabunek i to na polach chłopów. Później ma miejsce użycie zamachu na szefa miejscowego Ardeasamu i **Bolesław Scibiorek** musi uciekać z Jeżowa. Dociera do Warszawy, działa w piątce SL-ROCH na woj. łódzkie, zabezpiecza radiostację BCH w lasach skier-niewickich.

Przeżył gehenną powstania, poszedł z transportem do obozu w Pruszkowie, skąd udało mu się zbiec i przedostać do Skiermiewic, a później do Piotrkowa. Po wyzwoleniu pisał: „Wysili nasze i uczucia, nadzieje i oczekiwania zwracamy się do przodków naszych zą Wład, do ziemiom już szczęśliwie wyzwolonym. Stamtąd oczekujemy ratunku przed ostateczną zagładą”.

Scibiorek był entuzjastą nowego porządku. Nie przewidywał, że będzie musiał dokonywać trudnych wyborów, które zaostrzają o jego życiu. W czterdziestu trzech latach życia 10 kwietnia 1988 r. stanie się onem jego święta, jego pamięci.

Nadanie imienia

Sala gimnastyczna w świątecznym dekoracjach. Grzmi orkiestra wojskowa, idą puczy sztandarowe. Powitane gościnie. Lista nazwisk długa, jak w dzienniku lekcyjnym. Kurator przekazuje akt nadania szkole imienia **Bolesława Scibiorka**. Po tem dyr. **Bronisław Zbrojewski** odbiera od fundatorów sztandar, który sekretarz **Jan Nosko** dekoruje Honorową Odznaką Miasta Łodzi. Zbrojewski przekazuje sztandar swoim uczniom, którzy składają ślubowanie.

Część oficjalna ma charakter uroczysty, w wystąpieniach pobrzmiewają tony publicystyczne. To się udziela, bo nawet wspomnienia rodzinne tracą akcenty intymności. A zaraz potem występuje z okolicznościowym montażem młodzież szkolna. Pomysłane jest to tak, że fragmenty zyciorysu patrona przepatane są muzyką, pieśnią, recytacją. Silne wrażenie robi recytacja z akompaniamentem chóru. Słuchacze są wzruszeni. Ale nie mniej przejeży są wykonawcy. Jedną z dziewcząt zaskłabia, trzeba ją sprowadzić ze sceny.

Padają słowa pełne patosu i słowa gazetowe, poezja i treści polityczne. Młodzież niektórych z tych słów zapewne nie rozumie. Ale to nie wina młodzieży, bo przecież nawet dorośli nie znają naszej najnowszej historii, tej sprzed czterdziestu lat. W ramach oficjalnej uroczystości nie nauczmy się historii. I dlatego coś zostanie nie dopowiedziane. Co to jest?

Biała plama?

W dniu śmierci **Bolesława Scibiorka** trwały rozmowy między PSL i PPS, odbywał się zjazd PPR. Pan Gomulka (tak wówczas pisano) nazwał mord łódzki prowokacją.

Tak, to była prowokacja. Ale żeby uzasadnić, trzeba sobie odpowiedzieć na kilka pytań. Wpiew jednak należy wyjaśnić, że w sierpniu 1945 r. działały w Polsce formalnie już dwa stronnictwa — SL i PSL. Następował gwałtowny odpływ członków SL do PSL. **Bolesław Scibiorek**, który dążył i działał na rzecz silnego i jednolitego Stronnictwa Ludowego, przeszedł do PSL. Pojednanie nastąpiło nad grobem Wincentego Witosa, **Bolesław Scibiorek** został zastępcą sekretarza generalnego NKW PSL. Gdyby nie

dosięgała go kula mordercy, znalazłby się w tej grupie, z którą przechodził w październiku do PSL, a która tuż przed referendum utworzyła PSL Nowe Wyzwolenie i połączyła się z SL, wracając tym samym do macierzystego stronnictwa.

Człowiekiem w skórzanej kurtce, który zastrzelił **Bolesława Scibiorka**, był **Władysław Baran**. Według oficjalnych źródeł należał on do bandy dywersyjno-sabotażowej „Orsy”, czyli **Wacława Kucikiewicza**. Wyrok motywowano tym, że Scibiorek nazywa członków AK bandytami i współpracuje z Rosją Sowiecką.

Należałoby więc wyjaśnić, czy **Wacław Kucikiewicz** przewodził bandzie, czy też grupie AK. I czy **Bolesław Scibiorek** zginał za to, że współpracował z Rosją Radziecką, czy za to, że nie chciał współpracować z AK?

Podaje się w dokumentach, że grupa „Orsy” uległa samolikwidacji. W kwietniu 1951 r. zwłoki **Wacława Kucikiewicza** zostały wykopane w stanie rozkładu na chłopskim polu. Podobno zginął z rąk współtowarzysza broni. Kto nim był i w jakich okolicznościach zginął „Orsa” nie wiadomo.

Ludzie stawiają sobie pytanie, czy śmierć **Bolesława Scibiorka** ma jakiś związek z jego przejściem do PSL. Bo za bójca Scibiorka, **Władysław Baran**, był także funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej? Nie zaszła na ławie oskarżonych, bo nim doszło do procesu, zginął w styczniu 1946 r. w potyczce z milicją we wsi Białynin. Jedni twierdzą, że był wówczas w grupie „Orsy”, drudzy, że w oddziale MO.

Jak wiadomo, sprawcami białych plam, w tym dotyczących także naszych wewnętrznych spraw, powinni zajmować się historycy. Wydaje się, iż uwzględnić to także red. **Lucjusz Włodkowski**, bądź co bądź historyk z wykształcenia. Obciąża go do tego fakt, iż był on nauczycielem szkoły w Konstancji, której nadano imię **Bolesława Scibiorka**. Należy mieć nadzieję, że głos w tej sprawie zabiorą także Czytelnicy.

Ale czas kończyć świętowanie, wracać do rzeczywistości i myśleć o przyszłości.

Co dalej?

W epoce naszych kredytowych sukcesów był plan wzniesienia na Przedmieściu wspaniałej szkoły, ale nie z tego nie wyszło. Trzeba zostać na placu przy **Lutemierskiej 4**. Coś się tutaj buduje, ale na razie problemów szkoły to nie rozwiąże. Zwyczajowo, z okazji święta, przydałby się, panie kuratorze, jakiś prezentik, choćby z pół miliona. Przynajmniej w dowód uznania za to, czego tu już skromnymi siłami dokonano.

Trzy szkolne budynki wyremontowano, zaadaptowano do potrzeb dydaktycznych, połączono przejściami. Powstała sala gimnastyczna, zlikwidowano ganki i facjaty, urządzono szatnię, doprowadzono wodę. Jest kanalizacja i centralne ogrzewanie, wewnętrzne ubikacje, plac gier i zabaw.

Ale nadal jest ciasno. Z tego powodu jedna z wizytatorek omal się nie zabiła. Pchnęła energicznie drzwi do klasy, te odbiły się od ławki i trzasnęły ją w czoło.

W szkole uczy się około 300 dzieci, przy czym cztery klasy uczą się po południu i zajęcia trwają do szesnastej. Salki są małe, może w nich zasiadać maksimum 24 uczniów, bo więcej ławek nie da się wstawić. Dyr. **Bronisław Zbrojewski** mówi, że w tej sytuacji jest to jedyna szkoła, gdzie nauczyciele dobrze znają swoich uczniów i ich rodziców.

No tak, ale po tej uroczystości przydałoby się miejsce na stałą Izbę Pamięci. Nie można zgromadzić zbiorów zaparkować do pudła i wstawić na strych. A tu trzeba jeszcze myśleć o remoncie więży dachowej i wymianie stropów.

Szkola zasługuje na pomoc i troskliwe spojrzenie władz wojewódzkich. Chodzi przecież o to, aby jej uczniowie mogli w dogodnych warunkach zdobywać wiedzę i kultywować ideale, jakie proponował przed laty patron.

RYSZARD BINKOWSKI



Mówi: Zbyszko Rzeźniacki

— O tym, że fotografia jest sztuką nie trzeba już nikogo przekonywać. Należy też chyba do dziedzin sztuki najczęściej uprawianych, aparat fotograficzny ma już teraz prawie każdy, a często życie samo dostarcza tematów.

— To prawda, że fotografia jest sztuką, ale nie zgodzę się, że wystarczy jedynie nacisnąć spust migawki i czekać co wyjdzie. Do jej uprawiania potrzebne są rzetelne umiejętności techniczne, znajomość sprzętu. Ale również i to nie wystarczy, trzeba pamiętać o kompozycji, zatrzymać w kadrze to, co najważniejsze. Zdjęcie nie może być przegadane, należy syntetyzować. I wreszcie: musi istnieć zbieżność formy i treści. W fotografii często spotyka się naśladowstwo, przejęcie formy bez zrozumienia intencji. Na przykład ktoś fotografował rudery przy północznej nalożonej na obiektyw, pogłębiło to efekt szaryzny życia, który jak sądzę autor chciał osiągnąć. Zastosowanie jednak tego efektu przy fotografowaniu kwiatów na przykład nie wyraża nic, a przecież za pomocą fotografii przekazuje się pewną treść.

— Czy jest to zatem rodzaj ulepszenia rzeczywistości? — Fotografa podkreśla, wyolbrzymia niektóre zjawiska, ale rzeczywistości nie zmienia. Weźmy na przykład zdjęcie tylko twarzy. Odpowiednie oświetlenie, dobrze zakomponowane tło pozwoli stworzyć portret psychologiczny, który może wiele powiedzieć o psychice i życiu wewnętrznym modela.

— Ale istnieje również inny rodzaj fotografii, dokumentujący pewne zdarzenia, interwencje. Zdjęcia powstają „na gorąco”, a ich wartość polega właśnie na tym, że pokazują samo życie, dokładnie jakim jest. Czy ocenia ją pan negatywnie?

— Nie, ale fotografia nie ma już wtedy walorów sztuki, nie można powiedzieć o niej artystyczna, choć i ona również czegoś chce i coś wyraża.

— Oczywiście nie wystarczy przeczytać te wszystkie uwagi, aby dobrze robić zdjęcia. Potrzebna jest praktyka i jeszcze raz praktyka.

— A oprócz tego umiejętna i rzeczowa analiza własnej twórczości. Samemu często trudno spojrzeć obiektywnie na własne prace, ale można skorzystać z porady bardziej doświadczonych kolegów. Członkowie i sympatycy Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego zawsze mogą liczyć na taką pomoc.

— W perspektywie, który zachęca do zostania członkiem tego towarzystwa, użyto wielu czasowników: Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne ma (na celu rozwijanie umiejętności, wiedzy i sztuki fotografowania), zrzesza (fotografujących amatorów, zawodowców i artystów fotografików), patronuje, prowadzi (bibliotekę fotograficzną, doświadczalną pracownię, Salon Fotografiki, Małą Galerię, archiwum), organizuje (kursy i plenery), zaprasza (do udziału w odczytach, pokazach, konkursach, projekcjach) i przyjmuje (zapisy). Z tego nagromadzenia czasowników można chyba wnioskować o bardzo szerokiej działalności.

— Nasza wizytówka jest Salon Fotograficzny przy ulicy Piotrkowskiej 102, który skupia członków i działa jak pompa ssąco-flocząca. Nie tylko służy prezentacji (staramy się organizować 12 wystaw rocznie), ale mobilizuje do ciągłego nowych pomysłów. Chciałoby się, by każda następna wystawa była ciekawsza, lepsza. Oprócz tego łódzkiego własne salony fotograficzne ma jeszcze Poznań i Kraków, nasz w tym roku obchodzi trzydziestolecie.

— Wielką zasługą Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego jest, że zdołało stworzyć środowisko fotograficzne.

— Można powiedzieć, że jest kontynuatorem łódzkiego ruchu fotografii artystycznej zapoczątkowanego w 1885 roku, a zalegalizowanego 3 lipca 1918 roku statutem powstałego Klubu Miłośników Fotografii w Łodzi. Po wojnie dopiero w 1949 roku, w marcu powstał oddział łódzki Polskiego Towarzystwa Fotograficznego. Potem, w wyniku decentralizacji, aby pozostawić większą samodzielność w działaniu Polskiego Towarzystwa Fotograficznego w 1961 roku powstaje Federacja Stowarzyszeń Fotograficznych w Polsce z siedzibą w Warszawie, a Polskie Towarzystwo Fotograficzne oddział w Łodzi, będące członkiem założycielem tejże Federacji, zmienia nazwę na Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne, uzyskując osobowość prawną oraz działając w oparciu o swój własny statut.

— Wraz z nową nazwą nastąpił nowy prezes. Pierwszym prezesem był **Ignacy Płażewski**, a od 1961 roku niezmienne, co dwa lata, a więc kadencja po kadencji pan jest wybierany do pełnienia tej funkcji.

— Jestem chyba długodystansowcem. Myślę, że jedna czy dwie kadencje to za krótko, aby coś solidnie zrobić, aby zorientować się w potrzebach i problemach środowiska. Na to potrzeba nieco więcej czasu.

— Jest pan również inicjatorem, organizatorem i komisarzem jedynej ogólnopolskiej imprezy poświęconej fotografii — która odbywa się co dwa lata od 1973 roku w Uniejowie — Forum Sztuki Fotografii PFSF i przeprowadzanych tam Prezentacji i Promocji Fotograficznych PFSF. 1987 rok przyniósł duży sukces.

— W konkurencji „Fotoket Stowarzyszeń”, w których wzięło udział 18 Towarzystw — Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne zdobyło Srebrny Medal Polskiej Federacji Stowarzyszeń Fotograficznych za Twórczość Artystyczną.

— Jakże są plany towarzystwa na przyszłość?

— Podczas gdy lata czterdzieste i początek pięćdziesiątych były okresem zwalowania się, tworzenia zasad organizacyjnych i jakby szukania siebie, w latach sześćdziesiątych nasza działalność zaczęła być widoczna w mieście, a już w siedemdziesiątych można powiedzieć, że nabrała ona na tyle widoczny kształt, że staliśmy się znani w kraju. Teraz marzy nam się, aby zaistnieć w świecie. Polska Federacja jest członkiem Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotografii (FIAP), daje to nam przy okazji wystaw organizowanych w różnych zakątkach świata, możliwość konfrontacji i pokazania naszych prac. W 1987 roku na biennale w Miltenbergu wśród 37 państw wystawiających swoje prace Polska zajęła 7 miejsce. Wśród pokazywanych tam zdjęć sporo było prac łódzian.

— Jak wypadła porównanie naszej fotografii z zagraniczną?

— Trochę przegrywamy techniką. Polska fotografia nagradzana jest za treść, kompozycję, ale ma ułomności techniczne, po prostu brakuje odpowiednich materiałów i sprzętu.

— Mimo że pełni pan funkcję prezesa pozostaje panu jednak jeszcze czas na robienie zdjęć. Jaki temat najbardziej pana interesuje?

— Dzieci ulicy. Najlepiej zapamiętałem zdjęcie, które zrobiłem podczas podróży służbowej na ziemie zachodnie. Był wtedy upał, znalazłem się w starej części miasta i nagle z jednej z rudery, z ciemnej klatki schodowej wyszło małe dziecko, goliśienkie, ale za to w ogromnych butach, chyba ojca. Miałem akurap aparat w ręku, pstryknąłem, zdjęcie, jak się potem okazało było bardzo udane.

Rozmawiała: ZOFIA KĘDZIÓRA

Debiut

WANDA MAGDALENA LAMENT



Pani a której nie boją się
moje włosy

Wędrując ku mlecznym tabletkom gwiazd
mój bezsenność i dobre jest lusterko —

veraikon

z filozofii kryształów miny stroi czas
lato śni się na pocztówce ale Pani nie jest
moją matką
śmierć chodzą po Łodzi z moimi wierszami
ucieczko morze módl się za nami



Nocą w białym szpitalu zakwitają
czarne kwiaty
One żyją światłem czarnych gwiazd
Rano przychodzą ogrodnicy w białych
fartuchach
i podlewają je haloperidolem aż staną się
zupełnie szare
A wystarczy przecież zapalić jedną mleczną
gwiazdę

Majowy kiermasz książki

Co roku, kiedy Dom Książki organizuje swój doroczny kiermasz, nasuwa się pytanie: czy tym razem będą na stoiskach bestsellery? I od razu zjawia się odpowiedź również w formie pytania: a co to są bestsellery? Dla mnie książka poszukiwana będą publikacje z zakresu najnowszej historii, książki publicystyczne, biografie sławnych i słynnych ludzi, natomiast dla kogoś innego będzie to zapowiadane „Przeminęło z wiatrem” lub „Sztuka kochania”. Natomiast większość potencjalnych nabywców zjawia się licząc, że może „rzucić” encyklopedię, „Kuchnię polską” lub „Talmud”. Tak więc miłość do książki niejedno ma imię.

Tegoroczny kiermasz w ramach Dni Oświaty, Książki i Prasy odbędzie się 6 maja (od godz. 10.00 do 18.00) i 7 maja (od godz. 10.00 do 16.00) w alei Mickiewicza, przed siedzibą dyrekcji P.P. Dom Książki. Przygotowano wydawnictwa na około 20 mln złotych, zaproszono sporo autorów nie tylko z Łodzi, którzy będą podpisywać swoje książki.

Redakcja „Odgłosów”, jak co roku, zachęca swoich Czytelników do wzięcia udziału w tegorocznym kiermaszu.

(ei)

W sobotę, 23 kwietnia, odbyła się uroczystość nadania Państwowego Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi imienia Władysława Strzemińskiego. Na uroczystość przybyli m.in.: córka artysty — Nika Strzemińska, wiceminister kultury i sztuki — Kazimierz Molek, prezydent miasta Łodzi — Jarosław Pietrzyk, sekretarz KŁ PZPR — Jan Nosko, przewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi — prof. Mieczysław Serwiński, prof. Jan Szczepański, rektorzy wyższych uczelni miasta i z kraju, przedstawiciele środowisk artystycznych, pracownicy uczelni i studenci.

Otwierając uroczystości, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi,

człowiek, który ma powstać na podstawie wszystkich wysiłków dotychczasowych, lecz jej początek tam, gdzie koniec wszystkiego już stworzonego.

Przejmując te słowa Strzemińskiego wraz z Jego imieniem uczelnia wpisuje w swój program kontynuację Jego idei. Ale kontynuację twórczą, taką o jakiej sam mówił: „Stale doskonalszy i rozwijany system zbiorowego wysiłku w celu tworzenia prawdziwych wartości kulturalnych”. Przyjmujemy jednocześnie moralne zobowiązanie: bezkompromisowej postawy w walce o najważniejsze wartości — o postęp, Strzemiński, który tej walce poświęcił, tak wiele, stał się patronem

tywacji teoretycznej; wreszcie jako pedagog, zwolennik „otwartej” metody nauczania i współpracy artystów, inspirował dumę i godność pioniera.

Jednocząc te wartości, osobowość Władysława Strzemińskiego realizowała się w dziele malarstwa i teoretycznym, wzburzającym dziś w świecie wielkie zainteresowanie, w dziele tak oryginalnym, iż bez niego obraz kultury Europy XX wieku pozabawiony byłby szczególnie znaczącego ogniw. Postawa Władysława Strzemińskiego sprawdziła się też w określonym systemie wartości uniwersalnych...

Po spotkaniu wernisażowym odbyła się sesja poświęcona Władysławowi Strzemińskiemu, na

WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI PATRONEM PWSSP

Trwanie idei

doc. Ryszard Hunger powiedział: „Dzisiejsze spotkanie ma wyjątkowy charakter. Oficjalne i uroczyste wpisanie imienia Władysława Strzemińskiego w nazwę naszej uczelni łączy się bowiem z Jego różnorodną obecnością. Szeroka i reprezentatywna wystawa dorobku artystycznego, sesja przybliżająca Jego postać i twórczość, muzyka i książka poświęcona Jemu i wreszcie duże grono uczniów i przyjaciół, ludzi, którzy dobrze Go znali i

szkoly. Jego imię pojawi się w nazwie szkoły i na ścianie budynku, będzie nam towarzyszyło we wszystkich następnych latach. Zmieniacz się będzie uczelnia, przyjdą nowe pokolenia studentów i profesorów, ale imię Strzemińskiego będzie tworzyć tę swoistą ciągłość trwania, będzie zawsze zobowiązywać do przyjmowania postawy nowatorskiej, do kreślenia odważnej wizji przyszłości”.

Aktu odsłonięcia ściany (na gmachu uczelni) poświęconej patronowi dokonała córka artysty — Nika Strzemińska stwierdzając, że jest to dzień, który równocześnie ukoronował starania wielu osób — przyjaciół, uczniów i działaczy, aby nadać szkole imię Władysława Strzemińskiego.

W Galerii uczelni odbyło się z tej okazji otwarcie wystawy dzieł Władysława Strzemińskiego, o którym Ryszard Stanisławski napisał: „Twórczość Władysława Strzemińskiego ma wymiar symboliczny. Jego działalność łączy różne strefy Europy, różne płaszczyzny funkcjonowania sztuki. Uczestnik awangardowego ruchu na Wschodzie, sprawił, że znalazły się w Łodzi, w Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej, dzieła artystów awangardy Zachodu; twórca „unizmu”, radykalnego kierunku, skrajnie laboratoryjnego, zarządził odnowienie sztuki mającej funkcjonować w skali masowej, takiej jak np. drukarstwo; wyraził koncepcję kształtu kultury przyszłości, podsumował także dzieje jej mo-

jętę, którą złożyły się: wspomnienia prof. Jana Szczepańskiego o Władysławie Strzemińskim, biografia artystyczna patrona uczelni, którą przedstawił prof. Stefan Krygier i wystąpienie Ryszarda Stanisławskiego pt. „Aktualność przesłania Władysława Strzemińskiego i Katarzyny Kobro”.

Sesję uświetnił koncert. Zygmunt Krauze (fortepian) wraz ze swoim Warsztatem Muzycznym w składzie: Edward Borowiak (puzon), Witold Gajl (wiolonczela) i Czesław Palkowski (klarnet) wykonał trzy wersje własnej kompozycji „Polichromie”, powstałej w 1968 r., poświęcone Władysławowi Strzemińskiemu.

Uroczystości odbywały się pod protektorem ministra kultury i sztuki prof. Aleksandra Krawczuka i prezydenta miasta Łodzi — inż. Jarosława Pietrzyka. W skład Honorowego Komitetu Organizacyjnego, pod przewodnictwem Ryszarda Stanisławskiego — dyrektora Muzeum Sztuki, weszli: Jan Nosko, jako przewodniczący Rady Społecznej Wyższej Szkoły Artystycznej w Łodzi, Stanisław Fijałkowski, Ryszard Hunger, Lena Kowalewicz, Stefan Krygier, Jerzy Kudukis, Roman Modzelewski, Antoni Starczewski, Henryk Stachurski, Nika Strzemińska, Jan Szczepański, Bolesław Utkin i Krystyna Zielińska.

MARIAN
ZDROJEWSKI

Konkurs

Organizatorzy Konkursu Poetyckiego im. FELIKSA RAJCZAKA: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu, Wydział Kultury Urzędu Miejskiego i Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli, redakcja tygodnika „Życie Zduńskiej Woli” oraz Klub Literacki „Topola” przy Miejskim Domu Kultury.

Warunki uczestnictwa w konkursie: konkurs ma charakter otwarty. Organizowany będzie w cyklu dwuletnim. Do udziału zapraszamy członków związków i stowarzyszeń twórczych oraz autorów nie zrzeszonych z całego kraju. Warunkiem udziału jest przesłanie pod adresem organizatorów: TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ZDUŃSKIEJ WOLI, ul. Łaska 12, 98-200 Zduńska Wola, utwo-

ru poetyckiego (maksimum 5 utworów) w 5 egzemplarzach opatrzonego godłem, nigdzie nie publikowanego i nie nagradzanego w innych konkursach.

Nadesłanych prac organizatorzy nie zwracają, zastrzegając sobie pierwszeństwo w opublikowaniu nagrodzonych utworów.

Termin nadsyłania utworów, upływa z dniem 30 września 1988 r.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w IV kwartale 1988 roku.

Nagrody. Organizatorzy przeznaczają na nagrody kwotę 90 tys. zł. Jury dokona oceny nadesłanych utworów i rozdzieli nagrody: I nagroda — 40 tys. zł; II nagroda — 30 tys. zł; III nagroda — 20 tys. zł.

Jury posiada prawo innego podziału nagród.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

TRZY ŻYCIA CONRADA

Ukazała się kolejna książka o Conradzie. „Trzy życia” to monumentalne studium życia jednego z najbardziej urzekających powieściopisarzy wszystkich czasów, który zaszczepił w duszach czytelników nieodparte pragnienie wędrowania po świecie, chociażby tylko w marzeniach — tak napisał autor dzieła prof. Frederick R. Karl, który swego czasu opracował i wydał „Korespondencję” Conrada. Przedziwna egzystencja Conrada dzieli się niejako na trzy epoki: pierwsza to dzieciństwo i młodość spędzona w Polsce i powzięta w wieku 17 lat decyzja opuszczenia kraju, co Conrad wyrzucił sobie do końca życia. Druga epoka to służba w marynarce i żmudna nauka angielskiego (Conrad nie umiał ani słowa po angielsku, aby potem stać się jednym z „bogów” literatury anglosaskiej, co było ewenementem bez precedensu). Trzecia wreszcie epoka to narodziny pisarza.

„Trudno oprzeć się burzom, przy tym — podobnie jak w

które młotają bohaterami i antybohaterami conradowskimi — krajach zachodnich — wyłącznie pisze „La Libre Belgique” — kryteriami handlowymi. Mamy nadzieję — oświadczył J. Barran — że wystawa-sprzedaż wzbudzi zainteresowanie zarówno radzieckiej publiczności, jak i przedstawicieli „kół dyplomatycznych, kolekcjonerów oraz licznych gości z zagranicy. Jego zdaniem ogólna suma uzyskana ze sprzedaży powinna osiągnąć ok. 800 tys. dolarów.

AUKCJA SOTHEBY W ZSRR

Jak donoszą z Paryża na początku lipca br. w moskiewskim „Sivincen” odbędzie się zorganizowana przez Galerie Sotheby aukcja ok. 100 obrazów artystów radzieckich, zarówno współczesnych jak i z okresu awangardy lat 1920. W ramach porozumienia z radzieckim Ministerstwem Kultury dyrektor Biura Sotheby w Paryżu, ekspert w zakresie malarstwa rosyjskiej awangardy, Julian Barran dokona wyboru płócien przeznaczonych na sprzedaż, kierując się

wypadku tego typu aukcji w krajach zachodnich — wyłącznie kryteriami handlowymi. Mamy nadzieję — oświadczył J. Barran — że wystawa-sprzedaż wzbudzi zainteresowanie zarówno radzieckiej publiczności, jak i przedstawicieli „kół dyplomatycznych, kolekcjonerów oraz licznych gości z zagranicy. Jego zdaniem ogólna suma uzyskana ze sprzedaży powinna osiągnąć ok. 800 tys. dolarów.

ŻELAZNA LADY

„Dostojnie w przeciągu kilku lat zyskuje Auderska pozycję niekłamnie wybitną, uznanie krytyków i czytelników, przekładając, wywiady i co się komu śni. Sukces nie łagodzi zresztą wcale jej temperamentu, jakby nawet odwrotnie. Jako prezes oddziału czy wiceprezes Związku Literatów poraża wszystkich swoją energią w sprawach dużych i małych. O, łącząc mnie, bywało, z panią Haliną na wycieczce związkowej, w samolocie, autokarze, restauracji. I po kilku dniach byłam już tak wyniszczona, że jęger Suworowa stłukił listy — a przychodziły set-

Album o Strzemińskim

Idea opracowania albumowej publikacji o Władysławie Strzemińskim zrodziła się przed kilku laty w kręgu uczniów artysty, najbliższych przyjaciół i historyków sztuki. Pragneli oni w ten sposób uchronić od zapomnienia i przybliżyć szerszemu ogółowi wciąż fascynującą i ciągle mało spopularyzowaną twórczość wybitnego malarza i teoretyka — prekursora sztuki nowoczesnej w Polsce.

Patronat nad albumem „Władysław Strzemiński — In Memoriam” objął Oddział Łódzki P.P. „Sztuka Polska”, debiutując tą publikacją — co należy podkreślić — na niwie wydawniczej w dziedzinie propagowania sztuki współczesnej. Pieczę nad całością prac redakcyjnych powierzono kompetentnemu znawcy, dr Januszowi Zagrodzkiemu z Muzeum Narodowego w Warszawie.

I oto stała się rzecz niesłychana — w ciągu niecałych trzech lat od rozpoczęcia prac, powstała publikacja, która stała się wydarzeniem edytorskim dużej rangi.

Pokazuje ona dorobek twórcy Władysława Strzemińskiego z trzech odrębnych punktów widzenia: wspomnień pisanych przez artystów, przyjaciół i uczniów; opinii zawartych w esejach i najnowszych opracowaniach krytycznych współczesnych badaczy sztuki (w tym kilku zagranicznych), oraz jego własnej teorii (zawartej w manifestach, artykułach programowych i polemikach).

Przyjęcie takiej koncepcji redakcyjnej pozwoliło na zaprezentowanie wszechstronnego portretu artysty, ukazanie jego znaczącego miejsca w dziejach sztuki europejskiej oraz światowej.

Tak się szczęśliwie złożyło, że publikacja ta w pięknym wydaniu edytorskim (redakcja techniczna spoczywała w rękach Wiesława Piotrowskiego) — dzięki ofiarności drukarzy z Łódzkiej Zakładu Graficznych — ukazała się w przededniu uroczystości nadania PWSSP w Łodzi nobilitującego imienia Władysława Strzemińskiego.

JANUSZ KOZŁOWSKI

Półka z książkami

HOTEL SACHER

Czy opisując dzieje hotelu można opisać epokę? Można. Ernst Hagen w swojej książce „Hotel Sacher” relacjonuje ponad stuletnie dzieje najslawniejszego wiedeńskiego hotelu, który wrosł w historię cesarstwa, potem republiki, Anschlussu, wreszcie dzisiejszej Austrii. Byłami hotelu były głowy koronowane, politycy, biznesmeni, hochsztaplerzy, nazisli, wojska alianckie. W jego apartamentach zapadały często decyzje ważące na losach Europy... Polecam tę bardzo interesującą i dobrze napisaną książkę. Przekład Janiny Borowiczowej.

Ernst Hagen: Hotel Sacher. WL 1988. Str. 260. Cena 540 zł.

WOJNA Z ZAKONEM KRZYŻACKIM

To już piąte wydanie monumentalnej pracy zmarłego niedawno prof. Stefana Marii Kuczyńskiego o walce Polaków z Zakonem Krzyżackim. Autor — nie rezygnując z historycznej oceny wydarzeń — w sposób klarowny i barwny przedstawił dzieje „Zakonu Szpitala Najświętszego Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie” od roku 1190 poprzez jego ekspansję na ziemię Prus i Pomorza, aż po traktat toruński w 1411 r. Całość uzupełniają mapki obrazujące przygotowanie i przebieg bitwy pod Grunwaldem.

Stefan M. Kuczyński: Wielka wojna z Zakonem Krzyżackim w latach 1409—1411. MON 1987. Str. 684. Cena 2.200 zł.

Opracował: E. IW.



Rys. Sławomir Łuczyński

Wywodzi się z Egiptu, najprawdopodobniej z obrzędów kultowych i ofiarnych. W XVI i XVII wieku zaczęli pojawiać się jego stali bohaterowie: Pulchella we Włoszech, Poliszynel we Francji, Pietruszka w Rosji, Punch w Anglii, Pickelharz i Hanswurst w Niemczech. Znany nie tylko w Europie. Istnieje w Chinach — chińskie cienie, w Japonii — bunraku, w Indonezji — cieniowy teatr wyang — kullil.

Ostatnie dwadzieścia lat to okres ciągłych poszukiwań — pojawiają się maski, żywi aktorzy, lalki zmechanizowane, żyworekine, rzeźbione w drewnie; obok technik zbliżonych do filmu animowanego występują działania parateatralne. Teatr lalki dochodzi od konsepcji tradycyjnych w kierunku pantomimy, cyrku, komedii buffo. Często lalka staje się jedynie abstrakcyjnym znakiem. Aktor na wiazuje kontakt z widownią. W 1965 roku Leokadia Serafinowicz w Poznańskim Teatrze Lalki i Aktora podejmuje próbe wyjścia poza scenę pudełkową, przenosząc działania aktorskie na widownię. W teatrze aktora ewolucja ogranicza się przede wszystkim do przestrzeni scenicznej. Teatr lalki sięga znacznie dalej. Powstaje spektakl, w którym aktor, maski, lalki wzajemnie się dopełniają.

Jakie są nowe tendencje we współczesnym teatrze lalki? — Z tym pytaniem zwróciłam się do prezesa POLUNIMY i dyrektora „Arlekin” pana Stanisława Ochmańskiego.

— To co można zauważyć, to przede wszystkim różnorodność stosowanych technik. Są przedstawienia, w których dominuje rekwizyt — poszukiwania formalne, w innych tradycyjna technika ukazująca nowe problemy. Na festiwalu w Warszawie w latach sześćdziesiątych przedstawieniem „Małego Księcia” posługując się lalką i żywym aktorem. Zostałem wyszczególniony, bo nie była to czysta forma lalkowa. Obecnie nie ma żadnych ograniczeń. Nieporównywalnie częściej używa się żywego aktora.

— Co jest specyfiką polskiego teatru lalki?

— Do tradycji polskiego teatru lalki należy postępowanie z kukłami. Są kraje, które jej nie używają albo stosują bardzo rzadko. „Arlekin” preferuje teatr warsztatowy lalkowy — myślę nie tylko o animacji, ale i o słowie.

— W teatrze aktorskim mówi się o tzw. kryzysie. Frekwencja publiczności spada. Czy teatr lalki nie przegrywa konkurencji z telewizją, kinem, wideo?

Teatr ciągle żywy

— Możliwość powrotu do świata baśni jest chyba zawsze fascynująca. Teatr lalki jest adresowany głównie do dzieci w pewnym okresie wiekowym. Młodszy widz jest więc zawsze wierny. W repertuarze „Arlekin” znajdują się też spektakle dla dzieci starszych i publiczność nie zawsze dopisuje. Myślę, że tak było zawsze. I gdy teraz planujemy sztukę dla młodzieży licealnej, wiemy, że ona do nas nie przyjdzie, więc my pójdziemy do nich.

— Co sądzi pan o rozszerzeniu tradycyjnej formy teatru lalki? Myślę chociażby o takich zjawiskach jak „Happening dla najmłodszych”, który odbył się w Łodzi w 1979 roku.

— Teatr lalki wywodzi się z tradycji teatru jarmarcznego, spektakle uliczne sięgały więc do pierwowzoru. W Polsce obserwuje się rozwój działań parateatralnych. Czasami okazuje się jednak, że interesujący z formalnego punktu widzenia spektakl, jak na przykład wystawiany w „Arlekinie” „Zakochany obiek” nie cieszy się popularnością wśród dzieci. Jednak wciąż poszukujemy. Od kilku lat myślę o spektaklu podwórkowym.

— A dlaczego przestała działać Scena dla Dorosłych w PTL „Arlekin”?

— Jest sporo tekstów, które byłyby interesujące w konwencji teatru lalki. Ze względu na odmienną sferę wartości mogłyby to być nawet spektakle znaczące. Istnieje jednak pewien stereotyp myślenia: jak do teatru, to do teatru dramatycznego.

— Jednak w Białymstoku dorosła publiczność dopisuje.

— Oni potrafili przyciągnąć widzów dorosłych do Białostockiego Teatru Lalek. Proszę pamiętać, że w Białymstoku jest wydział lalkarski i reżyserii lalkowej. W „Arlekinie” planujemy realizację „Don Kichota”. Liczymy również na zainteresowanie dorosłych.

— Jaka jest rola Łodzi w działalności polskich teatrów lalki?

— W Łodzi działa POLUNIMA, polska sekcja UNIMY — Międzynarodowego Stowarzyszenia Lalkarzy. Tu wydawany jest biuletyn „Teatr Lalek”, a w 1981 roku powstała Pracownia Dokumentacji Teatru Lalek pod kierownictwem profesora Stanisława Kaszyńskiego. Przy Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym znajduje się Dział Wiedzy Lalkowej, eksponaty — m.in.: lalki, elementy scenografii — pochodzą ze spektakli granych w teatrach lalkowych całej Polski.

— Nieprzemijającym sukcesem „Arlekin” jest reżyserowana przez pana „Ludowa szopka polska”. Powstało już kilka wersji tego spektaklu i spotkał się on z entuzjastycznym przyjęciem w kraju, w RFN, Danii, Jugosławii. A inne sukcesy?

— Znaczące przedstawienia to również „Pietruszka” Igora Strawińskiego, w reżyserii Wojciecha Wierzbickiego, ze scenografią Jana Berdyszaka, „Pieśń o Izie” i „Car Maksymilian”, do których scenografie tworzył Zenobiusz Strzelecki. Projekty scenograficzne Leokadii Serafinowicz. Wacława Kondka, Tadeusza Holówka, Adama Kiliana również wypracowały ważne spektakle. W przedstawieniu „Śmieć się, śmieć mała Oshin” w reżyserii Waldemara Wołoskiego wprowadziłam technikę bunraku niezmiernie rzadko realizowaną na polskich scenach.

Największym sukcesem jest jednak to, że widzowie wciąż chętnie do nas przychodzą.

— Dziękuję.

Rozmawiała: JOLANTA POL

Dźwięki jednego z najpopularniejszych przebojów końca lat trzydziestych — „Lambeth Walk”, wypełniły salę Teatru Muzycznego w Łodzi. Ten efektowny „hit” estrady i dancingów po raz pierwszy zaprezentowano w naszym kraju w najwłaściwszym dla niego, bo genetycznie pierwotnym, kontekście scenicznym. „Lambeth Walk” skomponowany został przez Noela Gygę jako jeden z numerów komedii muzycznej „Me And My Girl”. Komedie ta, dotąd u nas nie wystawiana, miała swą prapremierę w Londynie w 1937 roku i przez 5 lat nie schodziła potem z afisza (1946 przedstawień). Nowa wersja utworu, sporządzona dzięki inicjatywie syna kompozytora, weszła na scenę jednego z teatrów londyńskich przed 3 lata, natomiast na Broadwayu

teru środowiskowego głównych postaci, jako że również Sally, kreowana przez i tak najlepszą w premierowym zespole aktorkę, Annę Kurylak, pozostała osobowością trochę enigmatyczną. A że realizm, wyrazistość i autentyczność są możliwe oraz potrzebne, przekonali w II akcie choćby... kuszące przechodniów ulicnicze, odtwarzane sugestywnie przez urodziwe tancerki. Marianowicz tłumaczy się w programie, dlaczego odstąpił od obecnej w rolach Billa i Sally — determinującej te postaci — gwary, ale mniej jego argumenty nie za bardzo przekonują. Sądząc po rezultacie scenicznym — reżysera (Zbigniewa Czeskiego) też chyba nie.

Inne elementy reżyserskiej realizacji — na pewno niełatwiej, bo nie nawiązującej w danym wypadku do dostępnych wzorów — mogły usatysfakcjonować. W dużym stopniu uda-

„Lambeth Walk” na scenie

pojawiała się niespełna 2 lata temu. Otrzymałmy więc towar — przynajmniej trzeba — świeży.

W książce „Przetaczając całą noc” pisze Antoni Marianowicz, że libretto komedii muzycznych opiera się na jednym z dwu schematów: „Kopciuszka” lub „Czerwonego Kapturka”. W tym wypadku wykorzystana została pierwsza możliwość — mieszkaniem podrzędnej, londyńskiej dzielnicy Lambeth, imieniem Bill, okazuje się nagle synem lorda, dziedziczącym pokątną fortunę. Mimo radykalnej zmiany sytuacji społecznej i klasowego awansu nie rezygnuje wszakże z uczucia do Sally...

Marianowicz, który przetłumaczył libretto „Me And My Girl”, opowiada w wydrukowanym programie o karierze spektaklu na scenach Londynu, a następnie Nowego Jorku. Ta kariera wiodła się m.in. z realizowaną bravurą przez znanych aktorów rolą Billa, grał w nią w stronę gwiazd farsy.

Właśnie! Kapitałnym źródłem komizmu jest w oryginale skonfrontowanie języka i konwencji arystokracji z przedmiejskim slangiem i sposobem bycia. Moja główna wątpliwość co do trafności łódzkiego wystawienia dotyczy właśnie tej kwestii. Powiem wprost: szansa na śmiech do rozpułki nie została, niestety, wykorzystana (osobiście nie śmiałem się prawie lekce) gdyż ani sylwetka i strój Billa (Tadeusz Lewandowski), ani jego powiedzonka i zachowanie nie stanowiły spodziewanej bombry humoru. Powód tkwi głównie w niedokreśleniu przez tłumacza oraz reżysera charak-

to się w „Me And My Girl” przełamać operetkowe schematy nasycając akcję ruchem, uaktywniając aktorsko i tanecznie chór itp. Spora tu zresztą zasługa choreografa, któremu jedynie w dziedzinie reklamowanego przedmiotu zespołowego stepowania nie udało się jeszcze osiągnąć pełnego sukcesu.

Nad muzyczną stroną przedsięwzięcia czuwał Rajmund Ambroziak. Powiększona o saksofony orkiestra spisywała się przyzwoicie, czasami tylko proporcje brzmieniowe pomiędzy grupami instrumentów nie były całkowicie wyważone. Natomiast jeśli idzie o stronę wokálną (na konferencji prasowej dyr. Ambroziak przekonywał dziennikarzy, by słowo „wokálny” zarezerwować wyłącznie dla technicznych zagadnień śpiewu, lecz takie wąskospecjalistyczne rozumienie terminu trudno, oczywiście, uwzględnić) to stwierdzić należy, że soliści, nie będąc na ogół skłonni do zasadniczego przedstawienia emisji głosu na styl bardziej zbliżony do piosenki, zastępującej w komedii muzycznej arie, śpiewali ładnie. Mnie najbardziej przypadł do gustu Ireneusz Jakubowski (Parchester). Pozostali, ze względu na przekroczenie akuratu limitu miejsca, nie zdolał wymienić. Zachęcam jednakowoż do wybrania się na „Me And My Girl”, już choćby dla świetnej, barwnej wieńczącej radośnie w udanej i prawie scenograficznej i kostiumowej I akt sekwencji z „Lambeth Walkiem”. Ogólnie — omawiany spektakl jest na pewno, pomimo zastrzeżeń, kolejnym krokiem



Na zdjęciu: Anna Kurylak (Sally) i Tadeusz Lewandowski (Bill)

Foto: Chwałostaw Zieliński

łódzkiej placówki w stronę nie tak odległych przecież ideałów współczesnego teatru muzycznego.

JANUSZ JANYST

Noel Gay: „Me And My Girl”. Libretto — L. Arthur Rose i Douglas Furber. Inscenizacja i reżyseria — Zbigniew Czeski, kierownictwo muzyczne — Rajmund Ambroziak, scenografia — Liliana Jankowska, choreografia — Włodzimierz Traczewski, kierownictwo chóru — Roman Paniuta. Prapremiera polska w łódzkim Teatrze Muzycznym 16 kwietnia 1988 r.

Fraszki

FELIKS RAJCZAK

ZE UMRZE...

Umarł człowiek ideowy. A nie przyszło mu do głowy.

LAMENT

Bodźce i rezerwy stargali nam nerwy.

SZCZEROŚĆ

Co pan sobą reprezentuje? Odpowiedział szczerze: — Szuję!

ELABORAT

Jak rodzi się elita? Wprost, z meteoryta.

Z LEKTURY HASEŁ

Polak potrafi... w cudzej parafii.

Kronika

W BOGATEJ ARTYSTYCZNEJ OPRAWIE odbędzie się — już po raz drugi w Łodzi — międzynarodowe targi „Interfashion '88”.

Na scenie łódzkiej opery wystąpią (14.06) polscy i zagraniczni artyści estrady w wielkim show, połączonym z prezentacją kolekcji ubiorów. Spotkanie gości targowych z prezydentem w Muzeum Historii Miasta Łodzi (15.06.) usławi koncert kameralny.

Przewidziana jest atrakcyjna ekspozycja Międzynarodowego Triennale Tkaniny w Centralnym Muzeum Włókiennictwa, gdzie swoje prace wystawiać będzie 150 artystów z 31 państw. Wzornictwo i tkanina przemysłowa ekspozowane będą w PWSSP — na wystawie przygotowywanej przez Wydział Włókienniczy PŁ. Muzeum Historii Miasta Łodzi wyda okazjonalny album, prezentujący gród nad Łodką od jego początków po dzień dzisiejszy.

Wystrój plastyczny terenów targowych przygotowuje zespół, pod kierownictwem prorektora łódzkiej PWSSP — Andrzeja Giergi.

WKRÓTCE ZAWITA DO ŁODZI, ze swym najnowszym programem „Trzeci etap reformy”, Kabaret Olgi Lipińskiej.

Występy tego renomowanego kabaretu odbędzie się w dniach 21-23 maja br. w Hali Sportowej. Ich organizatorem jest Stowarzyszenie Artystyczne w Łodzi (ul. Moniuszki 1a).

W programie udział wezmą m.in.: Piotr Fronczewski, Wojciech Pokora, Jerzy Turek, Marek Kondrat, Czesław Majewski, Krystyna Sienkiewicz, Barbara Wreszńska, Olga Lipińska. Nazwiska same mówią za siebie. Ci więc z Łodzi, którzy pragną usłyszeć się do tego, już dziś powinni pomyśleć o zaopatrzeniu się w bilety.

TEATR STUDYJNY '83 im. JULIANA TUWIMA w Łodzi zorganizował ciekawe kolokwium nt. „Teatr-Dramat-Polityka”. Wzięli w nim udział wybitni znawcy: krytycy i praktycy sztuki teatralnej (m.in. Michel Bernadot z Francji). Uczestnicy kolokwium zapoznali się z najnowszymi realizacjami Teatru Studyjnego.

Rozdzielono nagrody dla kierowców, którzy uczestniczyli w akcji Autostop '87. Główną nagrodę, w wysokości 50 tys. złotych, otrzymał Jerzy Kowalski z Wejherowa.

SENSACYJNEGO ODKRYCIA dokonała w Egipcie ekipa polskiej stacji archeologicznej, kierowana przez doc. dr Lecha Krzyżaniaka. Na skalach — w wąwozach osy Dakhla natrafili bowiem na doskonałe zachowane wizerunki bogi (związanych przypuszczalnie z kultem płodności). Pochodzą one, według wstępnych badań, z V lub IV wieku przed naszą erą.

NAKLADEM TOWARZYSTWA PEZYJACIÓŁ CZĘSTOCHOWY ukazała się interesująca publikacja dr. Witolda Mielczarka pt. „Dzieje Twierdzy Częstochowskiej na Jasnej Górze” (3.000 egz.).

W TYM ROKU, PO RAZ PIERWSZY, ODBĘDĄ SIĘ W CHINACH WYBORY MISS PIĘKNOŚCI. Będą one transmitowane przez telewizję. Jury przy ferowaniu werdyktu weźmie pod uwagę również poziom intelektualny i zalety moralne kandydatek.

W ZŁOCZEWIE, 8 maja br., odbędzie się uroczystość wręczenia sztandaru tamtejszemu Hufcowi ZHP im. 16 Dywizji Piechoty Armii „Łódź”.

STANISŁAW MIKULSKI, popularny aktor, pamiętny z roli kapitana Kłosa, w telewizyjnym serialu „Stawka większa niż życie”, został powołany na stanowisko dyrektora Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej w ZSRR.

Na EKRANY KILKUNASTU KIN PARYSKICH wszedł nowy film Romana Polańskiego, „Frantic”. Ten niezwykle sprawnie zrealizowany thriller, zbiera liczne pochwały francuskich krytyków. Obok Harrisona Forda, gra w nim obecna współtowarzyszka zwała Romana Polańskiego — piękna Emmanuelle Seigner.

INSTYTUT IM. GENERAŁA WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO w Londynie odwiedził — podczas pobytu w Wielkiej Brytanii — Jan Dobraczyński. Oprowdzał go dyrektor Instytutu — Ryszard Dembiński, Kolega pisarza z 2 Pułku Ułanów.

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

kami do jego domów w Londynie i Hertfordshire. — Na te które na to zasługiwały odpowiedział najczęściej standardową, drukowaną pocztówką, których miał ponad 30 odmian. Ci którzy prosili o pieniądze, otrzymywali zazwyczaj następującą odpowiedź: „Proszę nie zwracać się do p. Bernarda Shaw o pieniądze. Nie ma on ich tyle, by wesprzeć liczne rzesze czytelników będących w pilnej potrzebie. Może dla was pisać; nie może was finansować”. W okresie swoich urodzin pisał tak: „Pan Bernard Shaw błaga swych przyjaciół i czytelników, aby nie czuli jego urodzin ani w ogóle mu o nich nie wspominali. Łatwo jest napisać jeden list czy wystać jeden tort urodzinowy; jednak gdy dostaje się ich setki na raz, jest to prawdziwa katastrofa; choć zdarza się tylko raz w roku, napawa przerażeniem”.

W listach proszono go, aby pełnił rolę doradcy małżeństwa, adwokata, sądu najwyższej instancji, bankiera, właściciela lombardu, psychiatry, swata, spowiednika, dietetyka, specjalisty od poradnictwa zawodowego, do-

radcy w kwestii kariery literackiej, organizatora akcji charytatywnych... Mnóstwo osób prosiło go o książki, o pomoc w uzyskaniu pensji, w wydobyciu pewnego profesora z Niemiec faszystowskich, w zdobyciu odbiornika radiowego, dla ekspedycji polawiaczy wielorybów, we wprowadzeniu rosyjskich ziemniaków odpornych na mróz do uprawy w Anglii, w znalezieniu kłosa pracy, mieszkani, wydawcy, żony; zwracano się doń o poradę jak stosować dietę, co zrobić by Henry Ford został prezydentem USA, jak wyjść przed terminem z... więzienia...

Skąd my to znamy?

NOTOWANIA NA GIELDACH KSIĄŻKOWYCH

Zbigniew Nienacki „Uwodziciel” — 800 zł (cena nominalna 520 zł); Jerzy Godula „Student i dziennikarz” (1980—1981) — 500 zł (cena nominalna 400 zł); Ludwik Bazylow

„Historia Rosji” — 1100 zł; „Jan Paweł II na Filipinach i w Japonii” — 1900 zł; „Jan Paweł II w Ameryce Środkowej” — 2000 zł; Wojciech Zukrowski — „Plaża nad Styksem” — 500 zł; W. Dobrowolski — „Malarstwo etruskie” — 1100 zł; „Klechy domowe” — 1500 zł; Paweł Maria Lisiewicz — „W imieniu Polski Podziemnej” — 600 zł (cena nominalna 450 zł); K. Wiśniewski, „Samochody osobowe” (2 t.) — 1000 zł (cena nominalna 650 zł); Halina Poświatowska „Wiersze wybrane” — 1000 zł (cena nominalna 430 zł); Władysław Kopaliński „Opowieści o rzeczach powszednich” — 2500 zł; Jacob Bronowski „Potęga wyobraźni” (seria ceramiczna) — 2400 zł (cena nominalna 1650 zł); James Fenimore Cooper „Ostatni Mohikanin” — 700 zł (cena nominalna 400 zł); Jan Paweł II we Francji — 1900 zł;

Nie chce się pogodzić, nie może znieść, dlatego, że wszystkie te pojęcia — pokora, cierpliwość — zawsze były mu obce, jako oznaka słabości. A siłę, według jego dotychczasowych poglądów, mieli zupełnie inni ludzie, do nich równał, do nich sam siebie zaliczał. Tu wszystko wyszło na odwrót: ci, na których patrzył z góry, okazali się silniejsi od niego właśnie dlatego, że umieli cierpieć i być cierpliwymi. Był silny pomiędzy silnymi, wyrwany został z normalnych okoliczności, pozbawiony środowiska, w którym żył, i zaraz się wyjasniło, że nie ma na czym się oprzeć, że sam w sobie jest niczym. A ci znajdują oparcie jedynie w sobie, we własnych siłach, choćby mizernych, ale starczą ich na to, żeby bez skargi znieść wszystkie niedole, żyć nadzieją.

Do takich okrutnych dla siebie wniosków dochodził Sasza, a jednak nie mógł powstrzymać rozpacz — jeszcze jeden dowód słabości jego woli. Nie myślał o niczym, oprócz swojej rozpacz. Wiejskie nowinki, balagan w rejonowym wydziale oświaty, teści uczniowie — co go to obchodzi? Nieciekawie, obco, nudnie.

Wczesnie rano ze starą stróżką gospodarką i z jego lajką Zuczekiem szedł do lasu na jarząbki, wracał w południe, a dwie, trzy godziny przed zachodem słońca szedł znowu nawet nie dlatego, że ta pora uważana była za najlepszą na polowanie. Chciał zmęczyć się chodzeniem, żeby jakoś uciec od przekleństw myśli. Stróżka była stara, ale stróż dobry, kaliber sześć — najodpowiedniejszy. I Zuczek też był dobrym psem, podobnym do wilczurki: wydłużona mordka, skośny wykrój oczu, w ciemności poblyskiwali czerwonymi ognikami, ostre stojące uszy, mocna, muskularna szyja, puszysty ogon skrecony w pierścienek i zarzucony na grzbiet. Zmysłowy pies, szybko straszył jarząbka, ten wlatywał na drzewo, przyciskał się do pnia, robił się prawie niezauważalny, zwłaszcza jeśli siedział na świerku, porośniętym porostami. Zuczek szedł na niego, ścigał na siebie uwagę ptaka, Sasza strzelał z odległości mniej więcej dwunastu kroków, jarząbek spadał, Zuczek pędził do niego i wracał z ptakiem w zębach. Z każdego polowania Sasza przynosił Zidzie pięć — sześć jarząbków, dusiła je w śmietanie, wychodziły bardzo dobrze, i Sasza jadł ze smakiem, zwłaszcza jeżeli udało się dostać od Fiedii trochę spirytusu, a to zwykle się udawało, Sasza jemu też przynosił jarząbki.

Kiedys Fiedia powiedział do Saszy: — Dużo jarząbków przynosisz, ale daleko chodzisz, w las, uważaj, niedźwiedź cię poszarpię.

Sasza wzruszył ramionami. — Jakoś nie trafiliem na niedźwiedzia, na pewno zapomniał o waszej okolicy. — Trafił się taki, co sobie przypomniał — odpowiedział zagadkowo Fiedia. Ale Sasza nie przydał temu znaczenia: miejscowi lubią żartować z zesłańców, nie uważają ich za myślicieli.

Następnego dnia Sasza znowu wybrał się do lasu. Ale Zuczka nie było ani na podwórzu, ani na ulicy, a przecież pies przywykł chodzić z nim co dzień na polowanie, czekał, skakał z niecierpliwością, Sasza gwizdał, ale nie usłyszał w odpowiedzi szczekania. Może gospodyni wzięła go na fermę albo gospodarz? To Kieżma? Sasza zdecydował się iść bez psa, zdobyć takiej nie będzie, ale oko ma bystre, zdąży zauważyć, dokąd polecą spłoszone jarząbki.

Znajomą ścieżką wyszedł na polanę, też znajomą, tu były jarząbki... Szaleńczo listowie, żółtawe, suche, trzaskaly cienkie gałązki. Zerwał się jarząbek i usiadł na drzewie. Sasza wydało się, że niedaleko poderwał się jeszcze jeden, ale nie obejrzał się, bał się stracić z oczu pierwszego. Sasza widział go dokładnie, nawet wydawało się, że jarząbek patrzy na niego z ciekawością, patrzy, jak podnosi strzelbę, jak celuje... Sasza wystrzelił i w tej samej chwili rozległ się drugi wystrzał, kula zaswistała zupełnie blisko... Sasza rzucił się za drzewo... Strzelano do niego, to kula, a nie strzał, i to, co wziął za poderwanie się drugiego jarząbka, było krokami człowieka.

Te myśli przeleciały mu przez głowę w ułamku sekundy, stał, przycisnąwszy się do drzewa, wstrzymując oddech wsluchiwał się w odgłosy lasu... Panowała cisza. Sasza chciał wystrzelić w kierunku, z którego padł strzał, ale miał załadowaną tylko jedną łufę, jeśli wystrzeli, będzie bezbronny. Opuściwszy strzelbę ku ziemi, ostrożnie zaczął ładować drugą łufę, naboje miał w kieszeni... Ale skoro się tylko poruszył, rozległ się drugi wystrzał, kula trafiła w drzewo...

Sasza przedkro włożył drugi nabój, odwiłł spust, i znowu zastygł w oczekiwaniu. Potem usłyszał szelest, trzask gałązek i w końcu tupot nóg — ten, kto strzelał, uciekał... Wszystko ucichło.

Sasza poczekał jeszcze pewien czas, słuchając leśnych odgłosów nie decydując się wyjść ze swego schronienia. Potem, pochylając się do ziemi, poszedł w stronę przeciwną do tej, w którą pobiegł strzelający, szedł nie ścieżką, ale przez las, przedzierając się przez nisko zwisające gałęzie drzew, i doszedł do Angary. Jednak nie wyszedł na brzeg, tylko doszedł do wsi skrajem lasu.

Albo kto strzelał? Przypadkowy włóczęga, żeby zawiązać jego strzelbę? Wątpliwe. Strzelający sam miał broń. Strzelał ktoś z ich wsi, Timofiej strzelał, ot co! Nie na próżno ostrzegał go Fiedia, takiego niedźwiedzia miał na myśli. Widać, Timofiej przechrzątał się, że się zemści na Saszy, a tutaj maszyna się kulą z zasadzki, siekaczem, kawalkiem ołowiu, z którym chodzą na niedźwiedzia. A przecież mógłby Fiedia uprzedzić, powiedzieć, słuchać, Timofiej grozi, że cię zabije — nie uprzedził, nie chciał się wtrącać, bał się, że dowiedziawszy się o groźbach Timofieja, Sasza zwróci się do władz i poda go na świadka. Gdyby Timofiej zabił Saszę, wszyscy by milczeli. Co im tam Sasza? Dzisiaj jest, jutro go nie ma, a z Timofiejem i krewnymi Timofieja muszą tu żyć, i Fiedia też by milczał. I nikt by się tym nie zajmował, i napisaliby, że umarł, kto miałby ochotę prowadzić dochodzenie tu, na końcu świata.

Dopiero przyszedłszy do domu i rzuciwszy się na posłanie, Sasza zrozumiał, nad jaką przepaścią stanął przed chwilą. Życie, które wydaje się nieskończone, może się urwać w jednej sekundzie: od kuli, wyrwionej łodzi, na męczącym etapie, od przypadkowej choro-

by, i nikt nie przyjdzie mu z pomocą, jego śmierć nikogo nie poruszy, nikomu nie jest potrzebny, nikt go nie broni, nie ma się komu poskarżyć! Alfierowowi? Zapyta: dlaczego podejrzewacie akurat Timofieja? Aha, pobiliście się kiedyś? Nie należy zadzierać z miejscową ludnością, też są ludźmi, mają swoją godność, panują tu swoiste zwyczaje, trzeba się z nimi liczyć. I oprócz tego: czy macie prawo odchodzić tak daleko od miejsca swojego osiedlenia? Czy macie prawo posługiwania się bronią palną? I przez to, że jego skarga pozostała bez następstw, stanie się jeszcze bardziej bezbronny, jego wrogowie uznają się za całkowicie bezkarnych.

Ujawienie tego nie da. Powinien się bronić sam. Ale jak? Nie chodzić do lasu? Timofiej może wytopić go na brzegu Angary albo po prostu zabić w domu wystrzałem przez okno. I jak żyć w ciągłym strachu przed kulą w plecy? Na dodatek jeszcze i to! Co za nonsens! Sam jest sobie winny! Po co zbliżył się z Timofiejem? Po co pojechał z nim na sianokosy? Trzeba się trzymać od nich jak najdalej, a on okłapał, obchodził się z nimi, jak równy z równymi, i Timofiej uznał, że szuka jego opieki, boi się go, więc spróbował zakpić z niego! Dostał odprawę i nie mógł tego ścierpieć, postanowił się zemścić. Nie można być zrozumiiałym, nie można także schlebować ludziom, ludzie bywają różni.

Pod wieczór Sasza zaszedł do Fiedii do sklepu, poczekał, aż ludzie wyjdą, powiedział: — Miałeś rację, są w waszym lesie niedźwiedzie.

Fiedia odwrócił wzrok.

— No widzisz...

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



Nie wypytuje, wie, o jakiego niedźwiedzia chodzi.

Sasza wyszedł ze sklepu, przechodząc koło chaty Timofieja, zwinął kroku. Wstąpić? Spójrzeć na tego sukinyś? Nie, trzeba wziąć się w garść, żadnych pochopnych postępów.

Jednemu tylko Wsiewołodowi Siergiejewiczowi Sasza opowiedział o tej historii i uprzedził: Zida nic nie wie.

Wsiewołod Siergiejewicz spochmurniał: — To jest sprawa poważniejsza niż pan myśli.

— Wszystko świetnie rozumiem. I to, że jeśli mnie zabije, i tak pozostanie bezkarny, też rozumiem.

— Niech pan będzie ostrożny — poradził Wsiewołod Siergiejewicz — niech pan sam do lasu nie chodzi, chce pan być panu towarzyszy?

— Dobrze, zobaczymy — uchylił się od odpowiedzi Sasza.

W domu zapytał gospodarza, gdzie był rano Zuczek. Okazało się, że nigdzie go nie brali.

— A ja myślałam, że poszedł z wami do lasu — odpowiedziała gospodyni.

Jasne, że to sprawa Timofieja, swolocz, schował gdzieś Zuczka.

A Zuczek leżał na ganku, przenosił wzrok z gospodyni na Saszę, czuł, że o nim mowa. Sasza poklepał go po pysku.

— Jutro razem na niedźwiedzia pójdziemy, Zuczek, naszykuj się!

W składziku u gospodarza Sasza znalazł pret ołowiany, naciął z niego siekaczem. Jedną łutę załadował strutem, drugą ołowiem, niech Timofiej podejdzie.

Jednak nie wypadło mu iść do lasu.

Wcześniej rano, kiedy był jeszcze w łóżku, przyszedł chłop z rady wiejskiej, wręczył mu kartkę:

„Do zesłanego w trybie administracyjnym Pankratowa A. P. Po otrzymaniu niniejszego nakazuje się wam: stawiennictwo we wsi Kieżma u pełnomocnika NKWD na rejon kieżmański Alfierowa W. G.” — i podpis Alfierowa, znany mu już podówczas, bez zakreślasów, (...)

16.

Kirowowi ciążyło przebywanie w Soczi. Jego udział w pracy nad podręcznikiem był czysto formalny: czytał to, co napisali referenci, akceptował to, co zaakceptował Stalin. Widział, że Stalin przykrawa historię nie tylko w celu zwiększenia roli własnej osoby, ale też w celu usprawiedliwienia swoich przeszłych, obecnych i przyszłych okrucieństw. Jednak Kirow nie mógł się sprzeciwić, stawało do boju w kwestiach teoretycznych nie miało sensu, nie jest ani teoretykiem, ani historykiem, Stalin ma do dyspozycji legion historyków, będących w stanie udowodnić wszystko, co się im każe. W to się nie będzie pakował. Ale pisać artykułów o roli Stalina na Kaukazu też nie będzie.

Przez pięć lat Kirow stał na czele organizacji partyjnej Azerbejdżanu, dokładnie zapoznał się z jej historią, rola Stalina w Baku była mu dobrze znana, była to rola szeregowego zawodowego rewolucjonisty. Jego szczególna rola w Baku jest wymyślana teraz, po fakcie, tak samo zresztą, jak i wiele innych rzeczy. On, Kirow, też brał w tym udział, ale to były kwestie ogólne, globalne, problemy historii, twierdzenie, że Stalin jest spadkobiercą Lenina, było partii niezbędne, on, Kirow, przyjmował to twierdzenie, trzeba było zezwolić na pewne odejście od prawdy. Ale sprawa zakończona, po co Stalinowi laury kierownika drukarni „Nina”? Jego, Kirowa, reklamę chce załatwić „Porachunki z Enukidze”? W tym nie będzie brał udziału.

Zna w Baku każdą ulicę, każdy dom, (...)

(45)

Tylko jednego człowieka spotykał tu Kirow — dentystę z Moskwy. Wobec Kirowa zachowywał się z szacunkiem, ale bez schlebiania, spokojnie, przyjaźnie. Ten człowiek o miłym głosie i powściągliwym sposobie bycia świetnie pływał, i widać było, że wszystko tutaj — morze, słońce, piasek na plaży — sprawia mu rozkosz. Kirow zawsze odczuwał zadowolenie, kiedy widział, jak cieszą się ludzie. Oczywiście, ludzie umieli się cieszyć już tysiące lat temu, i będą się cieszyć, dopóki istnieje życie na ziemi. Ale jednak radości, którą widział Kirow w obywatelach ZSRR, nie mógł nie wiązać z państwem, które on, Kirow, reprezentuje, z ustrojem, który wprowadzał i wprowadza, z nowym społeczeństwem, które buduje. Uśmiech, który widział, śmiech, który słyszał, były nagrodą dla niego i dla jego partii, usprawiedliwiała twarde, czasem surowe decyzje, które trzeba było podejmować. Jako marksista rozważał problemy w skali globalnej, a jednak ze tysiącami i milionowymi masami zawsze widział jednostkę. Dla niego audytarium nie było pozbawione twarzy. Wchodząc na trybunę dążył do wzajemnego zrozumienia z każdym słuchaczem, być może w tym tkwił sekret jego sztuki oratorskiej. Nigdy też nie pogadzał bezpośrednimi kontaktami, chętnie rozmawiał na każdy temat. I dentysta także go interesował. Mówił o najzwyklejszych rzeczach, o temperaturze wody, o źródłach siarowodorowych, które biją na dnie morza, o działaniu wód macesteńskich na organizm ludzki. Kirowowi podobało się, że o wszystkim Lipman mówił nie jako lekarz, ale po prostu jako rozmówca, nawet o zębach, przedmiocie swojej specjalizacji, mówił najprostszymi rzeczami: jaka szczoteczka do zębów jest lepsza — duża czy mała, czym najlepiej pluć zęby. Ale ani razu Lipman nie powiedział, kogo leczy, nie wymieniał ani razu imienia Stalina.

— Macesta czyni cuda — mówił Lipman — nasz sąsiad był inwalidą — nie mógł chodzić, a po pobycie w Maceście biega, jak ośmiennastolatek.

— Macie przyzwoite mieszkanie?

— Jak by to powiedzieć... Przyzwoity pokój we wspólnym mieszkaniu, dziewiętnaście metrów, na Druhej Mieszczańskiej — niedaleko centrum, w pokoju własny telefon. Sąsiedzi, co prawda, są niezadowoleni, żądają przeniesienia telefonu na korytarz, ja nie mam nic przeciwko temu, niech ludzie korzystają, ale kierownictwo kremłowskiej kliniki się sprzeciwia. Oni podłączyli ten telefon, przez ten telefon wzywają mnie do pacjenta.

Kirow wiedział, że kremłowskich lekarzy się nie wzywa, tylko przywozi do wysoko postawionych pacjentów. I nie informuje się, do kogo jadą. Ordżonikidze śmiał się: „Rozumiesz, wiozę mnie do mojego lekarza, ale mojego nazwiska nie wymieniają. A lekarz wie i tak: jak przyjechał po niego Iwanow, to znaczy, że do mnie. Przyjechał Pietrow, to znaczy, że do Kujbyszewa. Takie gry sobie wymyślamy...”

Powiał wiatr, na morzu pojawiły się pieniste fale.

— Meduz jest dużo przy brzegu, to na sztorm — powiedział Kirow.

W ten sposób rzucali sobie zdanie po zdaniu, leżąc na płasku, pływając w morzu albo wycierając się po kąpieli. Lekarz widział kartki, leżące przed Kirowem, nie chciał przeszkadzać, nie narzucał się.

— Ale Kirow czytał „Uwagi”, prawie nie wnikając w ich sens. W jakim kierunku następuje rewizja historii, jest i tak jasne, szczegóły nie mają już znaczenia. Myślał o Stalinie. W ostatnich latach w ogóle dużo o nim myślał. Ale w Leningradzie te myśli zagłuszała praca. Tutaj nie miał pracy, ale tu był Stalin. Kirow spotykał go codziennie i rozmawiał o nim niustannie.

Przez wszystkie te lata popierał Stalina, jego linię, walczył z jego wrogami, podnosił jego autorytet, robił to szczerze, z przekonaniem, chociaż było mu niemiłym wiele osobistych cech Stalina. Ale trzeba umieć oddzielać walory osobiste od politycznych. Nie bardzo wierzył w obietnice Stalina uwzględnienia krytyki Lenina i poprawy. Kirow wierzył w co innego: w to, że ujemne cechy charakteru Stalina zaostriły walka wewnątrzpartyjna. Gdy się skończy, przestanie być konieczny ekstremizm. I wtedy negatywne cechy charakteru Stalina ustąpią miejsca owym cechom pozytywnym, które powinny tkwić w przywódce ogromnego państwa, jeśli chce zasłużyć na wdzięczną pamięć u potomnych. A Stalin chce tego.

Albo nadzieje Kirowa nie spełniły się. Przeciwnie, w miarę umacniania swojej pozycji Stalin stawał się coraz bardziej nietolerancyjny, kapryśny, złośliwy, knuł zakulisowe intrygi, szczał na siebie nawzajem przywódców partyjnych, głównym instrumentem władzy uczynił organa bezpieczeństwa. U Kirowa w Leningradzie komendant NKWD Filip Miedwied' jest podporządkowany komitetowi obwodowemu, ale inni sekretarze komitetów obwodowych opowiadają, że lokalne organa coraz bardziej uniezależniają się od miejscowego kierownictwa partyjnego, podporządkowują się tylko centrum, przenikają nawet do ogniw administracji państwowej, ich główną bronią jest donosicielstwo, nawet komunistów zmuszają, żeby się wzajemnie szpiegowali. O tym, że jest śledzony, nieraz mówiła mu z lekkiem Maria. No, powiedzmy, że Maria jest jego żoną, jej prawo niepokoić się o niego, ale także Sofia, siostra Marii, osoba trzeźwo myśląca i opanowana, członek partii od 1911 roku, potwierdza to. Kirow nie podzielał tych lęków, w Leningradzie jest to niedopuszczalne, widać Borisow, dowódca jego ochrony, zbyt często zmienia rozmieszczenie ludzi, i z tego powodu powstaje wrażenie, że jest śledzony.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Sylvie Kauffmann — specjalna wysłanniczka francuskiego dziennika „Le Monde” — zdążyła niemal w ostatniej chwili. Przybyła do Muzeum Józefa Wissarionowicza Dżugaszwili Stalina przed zamknięciem.

Gori — rodzinne miasto Józefa Stalina — leży w odległości około 2000 km od Moskwy, a świat tu zupełnie inny. Jakby z innej epoki. Główna ulica nosi jak dawniej nazwę alei Józefa Stalina, a w centrum miasta stoi siedemnastometrowy posąg tegoż samego Stalina. Warto przy tym podkreślić, że w innych radzieckich miastach na centralnych placach stoją posągi Włodzimierza Iljicza Lenina. W Gori znajduje się też Muzeum Józefa Stalina, które dziennie odwiedzało od 2 do 5 tysięcy osób.

W moskiewskim tygodniku „Ogoniok” — o czym pisaliśmy swego czasu w „Ogłosach” — ukazał się list czytelnika, w którym domagał się on zamknięcia tego muzeum, gdyż — jego zdaniem — w muzeum tym „z rozmysłem prezentuje się zafaszynowaną prawdę i kłamstwa zaprawione nacjonalizmem”, a poza tym muzeum to, to „obelga dla setek wspaniałych umysłów, które padły ofiarą Stalina”.

Sylvie Kauffmann zwiedziła Muzeum Józefa Stalina, obejrzała zdjęcia, dokumenty i pamiątki. Jest to obraz wspaniałej kariery syna szewca gruzińskiego z Gori, który miał być popem — prawosławnym duchownym — a został przywódcą wielkiego mocarstwa. Czy jest to obraz prawdziwy?

„Ani jedno zdjęcie — pisze Sylvie Kauffmann w „Le Monde” — ani jedna najmniejsza aluzja w tym opisie wspaniałej kariery nie wspomina o zbrodniach i terrorze, które dziś Moskwa potępia. A jednak...”

W kacie pod szkłem kopia oficjalnego dokumentu rzuca promyk światła: to uchwała Komitetu Centralnego KPZR z 30 czerwca 1956 roku w sprawie kultu jednostki”.

Tym, którzy zatrzymują się przed tym dokumentem przewodnik wyjaśnia:
— Zrobił wiele dobrego, lecz popełnił też błędy.

Pod koniec marca 1988 roku wysłanniczka agencji Reutersa — Helen Womack doniosła z Tbilisi, że muzeum w Gori zostało zamknięte... na czas remontu. Dyrektor Biura AP „Nowosti” w Gruzji — Dawid Imedaszwili poinformował ją, że „muzeum wznowi działalność, nie wiadomo jednak kiedy i w jakim zakresie”. Niektórzy Gruzini są natomiast przekonani, że to się nigdy nie stanie.

Spór o rolę i miejsce Józefa Stalina w historii

dla wielu zachodnich dziennikarzy stanowił tylko poszukiwaną sensację. Dla ludzi w ZSRR jest to również spór o teraźniejszość, która przecież zawsze wywodzi się z przeszłości. Pisaliśmy na łamach „Ogłosów” o słynnym już liście Niny Andrejewej opublikowanym 13 marca 1988 roku w „Sowieckiej Rossji”. Na list ten odpowiedziała „Prawda” artykułem redakcyjnym. Artykuł ten opublikowała 11 kwietnia 1988 roku „Trybuna Ludu”. Zwalnia to mnie z obowiązku jego omówienia, ale jednocześnie pozwala powołać się na kilka myśli w nim zawartych. Ot choćby na taką, która niewątpliwie wyraża wątpliwości wielu ludzi nie tylko w ZSRR.

„Jeżeli Stalin — pisze „Prawda”, cytując opinię powtarzane w ZSRR — winien jest zbrodni, to co z oceną naszych osiągnięć w przeszłości? Co z oceną pracy i bohaterstwa ludzi, którzy zapewnili socjalistycznemu krajowi jego historyczne zwycięstwo? Czy potępiając Stalina, odrzucając jego metody, nie negujemy także i tego?

Nie, nie negujemy — pisze dalej „Prawda” — lecz jeszcze bardziej rozstraiamy.”

Takie pytania biorą się nie tylko z braku zdolności do dialektycznej oceny przeszłości, one biorą się też ze sposobu myślenia ukształtowanego w okresie stalinizmu, którego cechą podstawową jest niezdolność odrzucania dogmatów. Jest to po prostu brak umiejętności samodzielnego myślenia. Przy takim braku mogą narodzić się pytania, które wyrażała w swoim artykule — liście do „Sowieckiej Rossji” Nina Andrejewa z Leningradu, a które „Prawda” tak określiła:

„...po co ta cała przebudowa i czy nie za daleko zaszliśmy w sprawie demokracji i jawności?”

Nikt bowiem rozsądny nie sądzi, że w ZSRR — a przecież nie tylko — są ludzie, którzy nadal uważają Józefa Stalina za wielkiego wodza i całą tę dyskusję, za atak na podstawy socjalizmu. Oleg Tieniszewski w „Sowieckiej Kulturze” tak to określił.

„Byłoby naiwnością pięknoduchów zakładać, że w naszym kraju nie ma już ludzi, którzy nadal oddają cześć swemu dawnemu bóstwu. Oczywiście mowa bynajmniej nie tylko o tych, którzy wystawiają jego portret na przednich szybach samochodów — to jest raczej śmieszne niż niebezpieczne. Niepokój budzą ci — którzy posiadając autorytet, a niekiedy władzę i wpływ, że w wszystkich sferach przetrwały się demaskowania kultu osoby Stalina, w tym także wylewając swe emocje w tej sprawie na łamy prasy. Kamouflują oni przy tym swoją postawę przy użyciu twierdzeń, że demaskując kult jednostki pomniejszamy rzekomo osiągnięcia narodu i podrywamy autorytet socjalizmu.”

Ale czyż aż tak daleko musimy szukać symptomów — mówiąc łagodnie — Józefa Stalina? Mamy ich również u siebie. Przykładem tego może być

list Tadeusza Kolaczka do „Ogłosów”

Oto najistotniejsze fragmenty tego listu:

„Można zapytać — pisze Tadeusz Kolaczek w swoim liście — czy dotychczas publicznie spotkali się z „kultem jednostki” na przedpolach Moskwy,

czy dopiero po ukończeniu wyższych studiów naukowych po XX Zjeździe KPZR? Uważam, że w tym zdaniu zawiera się istotna różnica, którą należy znać i rozumieć.

Nie mogę „mieszać z błotem” Józefa Stalina, jak to robią inni. W czasie najazdu hitlerowców na ZSRR, gdy byli blisko Moskwy, Józef Stalin nie uciekł, pozostał tam aż do zwycięstwa. Jako były wojskowy, żołnierz z 1939 roku, gdy porównuję ten fakt z postawą polskiego wodza, który uciekł za granicę, gdy naród krwawił w Warszawie i na innych polskich bitew, to nie mogę przyznać wyższości naszym wojskowym. I ci sami ludzie w 1945 roku chcieli odzyskać władzę w Polsce, wzniciłi w tym celu wojnę bratobójczą.

Czytając publikowane teksty o Józefie Stalinie rozumiem, że mogą być dla jednych istotne, dla innych kontrowersyjne. Mogę zrozumieć, że historię różnie się pojmuje i ją różnie się rozlicza. Ale mnie ciekawi, kto, kogo i za ile rozlicza?

Przecież to zrozumiałe, że każda władza: królewska, kościelna, burżuazyjna, faszystowska, z kultem jednostki lub bez będzie broniła swoich zdobyczy, będzie dążyła do tego, aby sobie zagwarantować bezpieczeństwo i nietykalskość. Dlatego Józef Stalin miał robić inaczej? Od kogo miał się uczyć tego, jak rządzić państwem chłopów i robotników, jak bronić zdobyczą rewolucji. Czy dziś jest inaczej? (...)

Uważam, że wokół „kultu jednostki” wytworzone atmosfery celowej nagonki. Kto więcej z tego napisze i kto ujawni jeszcze jedno przestępstwo Józefa Stalina, ten może czuć się gloryfikowany i uznany za wybitnego znawcę stalinizmu i historii. Ostrze krytyki zostało skiero-

Nie spełniły się nadzieje, że „pierestrojka” umrze śmiercią naturalną.

Komu zależy na obronie Józefa Stalina?

WITOLD BOROWY

wane przeciw systemowi socjalistycznemu. Niektórzy uważają, że dzięki niemu „jesteśmy w kryzysie. Jeśli tak, to dlaczego nikt nie umiera z głodu. Chleba nie brakuje. Wyrzucamy go na śmietnik, a przydałby się ludziom głodującym w Afryce. Na siłę dążymy do tego, aby żyć dobrze i bogato, a co było kiedyś, to już nie ma większego znaczenia.”

List ten, choć może w niezbyt precyzyjnej formie, oddaje istotę sporu, który zaczął się w połowie lat sześćdziesiątych i trwa do dziś. Bowiem dopiero teraz miesięcznik „Družba Narodów” opublikował:

list radzieckiego publicysty Siemiona Rostowskiego do Ilji Erenburga

List ten został napisany 30 maja 1965 roku i był adresowany do Ilji Erenburga. Miała to być rozmowa dwóch pisarzy w obecności czytelników. Stało się to po opublikowaniu kolejnych fragmentów książki Ilji Erenburga „Ludzie, lata, życie”. Fragmentów, w których autor pisał o Józefie Stalinie. I chociaż napisane to było 23 lata temu, to przecież nie straciło do dziś swej aktualności.

„Otwarcie pisać — napisał przed 23 laty do Ilji Erenburga radziecki publicysta Siemion Rostowski — że nie lubiliśmy i baliśmy się Stalina, choć dodajecie jednocześnie, że „długo w niego wierzyliśmy”. Nie ukrywanie też, ani nie pomniejszanie jego „niesprawiedliwych, złych czynów”, jego barbarzyństwa; stwierdzenie również, że za jego czasów „nie moglibyście żyć w zgodzie z własnym sumieniem”. Wyowiedz taka jest z waszej strony czymś naturalnym: mówicie prawdę i niczego innego nikt od was nie oczekiwał. W tym samym czasie jednak, kiedy teraz podsumowujecie wyniki wszystkiego tego, co przeżyliśmy, w waszych słowach dźwięczy coś bardzo dla mnie nieoczekiwanego. Prawie wszędzie i toidocześnie nie przypadkowo — z myślą o złych czynach Stalina przeplata się u was inna myśl: o jego wielkości.”

Dalej Siemion Rostowski przypomina, że Ilja Erenburg napisał:

„...nie można przekreślić ćwierć wieku naszej historii. To za czasów Stalina naród nasz przekształcił zapóźnioną w rozwoju Rosję w potęgę współczesnego państwa... Rozbił armię Hitlera, która zwyciężyła całą Europę... I stał się bohaterem XX wieku...”

Trudno nawet dziwić się, że takie pytanie ciągle powraca. Przecież w tamtych czasach wszystko było stalinowskie: stalinowskie były pięciolatki, to Józef Stalin decydował o zawracaniu rzeź i sadzeniu pasów zieleni, które miały zmienić klimat Rosji, Józef Stalin nadawał nagrody pokoju, on decydował o tym, co słuszne, miał monopol na mądrość, sam wszystkiego doglądał, o wszystkim decydował. Nazywano go „Gospodarzem”, „Ojcem”, „Wodzem narodu”, był „Obroną Pokoju”. Ulice, miasta, fabryki, instytucje nazywano jego imieniem. I oto okazuje się, że nie tylko wiedział o terrorze, masowych prześladowaniach i rozstrzelaniach „wrogów ludu”, ale sam je inspirował, kierował tym wszystkim.

W materiałach XX Zjazdu KPZR znajduje się dokument podpisany 1 grudnia 1934 roku przez sekretarza prezydium Centralnego Komitetu Wykonawczego Abela Jenukidze.

„I. Władzom śledczym poleca się prowadzić w trybie przyspieszonym sprawy oskarżonych o przygotowywanie lub dokonanie aktów terroru,

2. Organom sądowym poleca się nie wstrzymywać wykonywania wyroków śmierci w związku z prośbą przestępców tej kategorii o zastosowanie prawa łaski, ponieważ Prezydium CIK ZSRR nie uważa za możliwe przyjmowania tego rodzaju prób do rozpatrzenia.

3. Organom Komisariatu Spraw Wewnętrznych poleca się wykonywać wyroki śmierci na przestępcach wymienionej wyżej kategorii natychmiast po wydaniu wyroków.”

Rozporządzenie to zostało wydane bez wiedzy Biura Politycznego KC WKP(b), które zapoznało się jedynie z rozporządzeniem jako już z faktem, drogą obiegu dokumentów. Po prostu musieli przyjąć je do wiadomości. Rozporządzenie to każdego, komu „udowodniono” na przykład „przygotowywanie aktów terroru” znajdowało się poza prawem. Trudno sobie nawet wyobrazić, aby takie rozporządzenie ukazało się i funkcjonowało bez wiedzy Józefa Stalina.

„Prawda” w artykule polemizującym z listem Niny Andrejewej z „Sowieckiej Rossji” jeszcze raz zwraca uwagę na rolę Józefa Stalina w organizowaniu terroru w ZSRR.

„On nie tylko wiedział — pisze „Prawda” — lecz sam je organizował i dyrygował nim. Dziś jest to już udowodnione. Winy Stalina wobec partii i narodu za masowe represje i łamanie praworządności, podobnie jak winy jego najbliższego otoczenia, są ogromne i niewybaczalne.”

Niedawno tygodnik „Ogoniok” opublikował fragment nie wydany jeszcze książki Lwa Razgona „Niewymyślone”. Jej autor spędził wiele lat w obozach pracy w ZSRR i spotkał tam ludzi bliskich Józefowi Stalinowi. Pokazuje więc,

Nie spełniły się nadzieje, że „pierestrojka” umrze śmiercią naturalną.

Komu zależy na obronie Józefa Stalina?

WITOLD BOROWY

wane przeciw systemowi socjalistycznemu. Niektórzy uważają, że dzięki niemu „jesteśmy w kryzysie. Jeśli tak, to dlaczego nikt nie umiera z głodu. Chleba nie brakuje. Wyrzucamy go na śmietnik, a przydałby się ludziom głodującym w Afryce. Na siłę dążymy do tego, aby żyć dobrze i bogato, a co było kiedyś, to już nie ma większego znaczenia.”

List ten, choć może w niezbyt precyzyjnej formie, oddaje istotę sporu, który zaczął się w połowie lat sześćdziesiątych i trwa do dziś. Bowiem dopiero teraz miesięcznik „Družba Narodów” opublikował:

„Otwarcie pisać — napisał przed 23 laty do Ilji Erenburga radziecki publicysta Siemion Rostowski — że nie lubiliśmy i baliśmy się Stalina, choć dodajecie jednocześnie, że „długo w niego wierzyliśmy”. Nie ukrywanie też, ani nie pomniejszanie jego „niesprawiedliwych, złych czynów”, jego barbarzyństwa; stwierdzenie również, że za jego czasów „nie moglibyście żyć w zgodzie z własnym sumieniem”. Wyowiedz taka jest z waszej strony czymś naturalnym: mówicie prawdę i niczego innego nikt od was nie oczekiwał. W tym samym czasie jednak, kiedy teraz podsumowujecie wyniki wszystkiego tego, co przeżyliśmy, w waszych słowach dźwięczy coś bardzo dla mnie nieoczekiwanego. Prawie wszędzie i toidocześnie nie przypadkowo — z myślą o złych czynach Stalina przeplata się u was inna myśl: o jego wielkości.”

list radzieckiego publicysty Siemiona Rostowskiego do Ilji Erenburga

List ten został napisany 30 maja 1965 roku i był adresowany do Ilji Erenburga. Miała to być rozmowa dwóch pisarzy w obecności czytelników. Stało się to po opublikowaniu kolejnych fragmentów książki Ilji Erenburga „Ludzie, lata, życie”. Fragmentów, w których autor pisał o Józefie Stalinie. I chociaż napisane to było 23 lata temu, to przecież nie straciło do dziś swej aktualności.

„Otwarcie pisać — napisał przed 23 laty do Ilji Erenburga radziecki publicysta Siemion Rostowski — że nie lubiliśmy i baliśmy się Stalina, choć dodajecie jednocześnie, że „długo w niego wierzyliśmy”. Nie ukrywanie też, ani nie pomniejszanie jego „niesprawiedliwych, złych czynów”, jego barbarzyństwa; stwierdzenie również, że za jego czasów „nie moglibyście żyć w zgodzie z własnym sumieniem”. Wyowiedz taka jest z waszej strony czymś naturalnym: mówicie prawdę i niczego innego nikt od was nie oczekiwał. W tym samym czasie jednak, kiedy teraz podsumowujecie wyniki wszystkiego tego, co przeżyliśmy, w waszych słowach dźwięczy coś bardzo dla mnie nieoczekiwanego. Prawie wszędzie i toidocześnie nie przypadkowo — z myślą o złych czynach Stalina przeplata się u was inna myśl: o jego wielkości.”

Ojciec — Mołotow, a matki nie ma...

To są wszystkie fakty ujawniane dziś w ZSRR.

Powróćmy do sprawy wielkości Józefa Stalina.

Wspomniany już Siemion Rostowski idzie tak daleko w krytyce Józefa Stalina, że zarzuca mu... pomoc w zwycięstwie faszystów w Europie. W Niemczech hitlerowcy mogli dojść do władzy, bo klasa robotnicza była rozbita. Ale do rozbitcia tej klasy przyczyniła się fałszywa stalinowska teoria o „socjalfaszyzmie”. Już w 1924 roku Józef Stalin oświadczył, że socjaldemokraci są „umiarkowanym skrzydłem faszystów”. I że „potrzebna jest nie koalicja z socjaldemokracją, ale śmiertelny bój z nią, jako podstawą obecnej faszystowskiej władzy”. Zdaniem Siemiona Rostowskiego był to błąd. Rozumieli go tysiące komunistów, ale obowiązywała ich dyscyplina partyjna.

Autor listu do Ilji Erenburga wliczył tragiczne skutki stalinowskiej działalności w polityce wewnętrznej i międzynarodowej. I tak:

1. Zniszczenia dowództwa Armii Czerwonej krótko przed wybuchem wojny, zresztą Józef Stalin w wojnę z Trzecią Rzeszą nie wierzył — ale to oddzielny temat.

2. Rozbicie antyfaszystowskiej jedności klasy robotniczej w Europie.

3. Stworzenie Adolfowi Hitlerowi szansy dla rozprawy z Francją i Anglią przed napadem na ZSRR.

4. Rezygnacja z umocnienia obrony na kierunkach przewidywanego natarcia Wehrmachtu.

5. Podważenie autorytetu partii komunistycznych Europy przez nakaz powstrzymywania działań antyfaszystowskich po podpisaniu paktu z Niemcami w sierpniu 1939 roku.

6. Umożliwienie Adolfowi Hitlerowi dobrego przygotowania się do ataku na ZSRR poprzez lekceważenie licznych sygnałów o takim przygotowaniu.

Gdzie podziła się zatem wielkość Józefa Stalina? — pyta Siemion Rostowski. „Być może — pisze w liście do Ilji Erenburga — słusznie byłoby mówić nie „dzięki Stalinowi”, ale nie bacząc na niego, czy nawet wbrew Stalinowi.

Tak — pisze dalej — z taką poprawką można się już zgodzić. Nie bacząc na Stalina i mimo Stalina „nasz naród przekształcił zacofaną Rosję w potęgę współczesnego państwa”. Mimo Stalina „pokonał armię Hitlera”. Nie bacząc na Stalina on „uczył się, czytał, dojrzewał duchowo, dokonał tylu osiągnięć, że w sposób w pełni usprawiedliwiony stał się bohaterem XX wieku”. Miłośnicy zgodzą się z takim wnioskiem.

Ale gdzie w takim razie podziw się pozytywną część oceny Stalina? Gdzie jego makiaweliczna wielkość? Jego wybitny „państwowy umysł”. Takiego w ogóle nie było. Nie było wielkości. Był tylko ograniczony spryt i siła, opierająca się na absolutnej władzy nad ogromnymi zasobami ludzkimi. Była awanturnicza gra va banque, której nie można tłumaczyć odwołaniem idei komunizmu, lecz nieprawdopodobnym zarozumiałstwem, niepoahamowaną żądzą władzy kosztem idei...”

Siła, która dokonała tak wielkich czynów tkwiła w narodzie rosyjskim, w narodach ZSRR. Rewolucja stworzyła warunki, w których mimo przeszkód i trudności lud ZSRR mógł dokonać tak wiele.

„Uczciwy pracownik — pisze „Prawda” — żołnierz na polu walki, każdy radziecki obywatel, który czynem udowodnił swój patriotyzm, swoje oddanie ojczyźnie i socjalizmowi spełniał i spełnił — swój obowiązek. To ich praca, ich ofiarność i bohaterstwo wywyższyły nasz kraj na niebywałe wyżyny.”

Komu zatem dziś zależy na obronie Józefa Stalina?

Zależy tym, którzy uznali, że dość już tej „pierestrojki”, bo grozi — nie tyle socjalizmowi w ZSRR — ile ich pozycji, ich interesom. To oni krzyczą:

— Nie kołyszcie łódkę! Przewróćcie ją i zniszczcie socjalizm!

Józef Stalin stworzył określony model socjalizmu — stalinizm. Model ten charakteryzował się odejściem od leninowskich założeń ustrojowych, od demokracji, udziału mas w rządzeniu, opierał się na autokratyzmie, na terrorze, na sile policji, choć w teorii występował jako kontynuacja leninizmu. Zwolennicy tego modelu tęsknią do hierarchicznej struktury, w której każdy znał swoje miejsce w szeregu. Ci, którzy byli na górze, ustalali reguły gry i mieli monopol na rację, wiedzę, władzę, pozostali byli il tylko wykonawcami. Można to w skrócie nazwać metodami administracyjno-nakazowymi. O tych metodach „Prawda” tak pisze:

„...metody administracyjno-nakazowe wyczerpały swe możliwości. Czas najwyższy, aby ci, którzy pokładają jeszcze nadzieje w tych metodach lub ich modyfikacji, zrozumieli, że wystarczy już było, było nie raz i nie dawalo pożądanych rezultatów. Wyobrażenie o prostocie i skuteczności tych metod, to tylko złudzenie pozabawione historycznych uzasadnień.”

Myślę, że poszukując odpowiedzi na postawione powyżej pytanie, warto zwrócić uwagę na artykuł Gawriła Popowa opublikowany w „Sowieckiej Kulturze” a zatytułowany: „Nie ma drogi odwrotu”. Autor tego artykułu zwraca słuszną uwagę, że w centrum występujących konserwatywnych tendencji „stoi problem oceny J. Stalina”. Używa się różnych stwierdzeń, o „oczerntaniu”, „nagonce”, wzywa się, „żeby widzieć również dobre strony” i tak dalej. Przywołuje się opinie Winstona Churchilla o wielkości J. Stalina, która to opinia w istocie jest opinią Isaaca Deutschera — znanego brytyjskiego trockisty. Ale wszyscy wiedzą, że chodził zupełnie o co innego.

Zdaniem Gawriła Popowa stalinizm — i to jest jego istotą — wytwarza mechanizm hamowania. Jest to — jak pisze — „najbardziej logicznym wynikiem rozwoju właśnie systemu stalinowskiego”. Kult jednostki — stwierdza dalej — „jest zaledwie wstępną formą systemu administracyjnego. Jej istotę odpowiada natomiast człowiek jako trybik, bez oblicza, nie przeszkadzający temu, by cała władza znalazła się w rękach administratorów”. Mechanizm hamowania powoduje właśnie, że ludzie zamieniają się w trybiki wielkiej maszyny, którą porusza mądrość „Gospodarza”. Maszyna ta działa dzięki szeroko rozwiniętej administracji i biurokracji.

Dlaczego właśnie teraz przystąpili konserwatyści do ataku na „pierestrojkę”? Bo myśleli, że umrze śmiercią naturalną, a tak się nie stało. „Przebudowa — pisze Gawriło Popow — dochodzi do stadium, które fizycy nazywają „masą krytyczną” i którego przekroczenie spowoduje wybuch zmiatający cały aparat stworzony przez mechanizm hamowania”. No i wreszcie atmosfera jawności. „Demokracja jest niemożliwa — pisze „Prawda” — bez wolności myśli i słowa, bez otwartego i powszechnego ścierania się, bez patrzenia na nasze życie krytycznym okiem”. Taka atmosfera nie może podobać się ludziom, którzy przywykli do tego, że przychodzi nakaz z góry, góra myśli, góra wie lepiej, a on tylko wykonuje to, co do niego należy. On stoi w szeregu i zna tam swoje miejsce. Czerpie z tego korzyści. A tu nagle trzeba samemu myśleć, oceniać, mieć inicjatywę.

Ot, i wszystko!

Relację z prapremiery „Horsztynskiego” na dużej scenie Teatru Nowego*) zaczęły nietypowo — od paru uwag na marginesie programu przedstawięcia. Nie chcę być pomówiony o pedanterię, ale pod tytułem sztuki widziałbym zgodnie z zachowanym rekopisem Słowackiego: dramat w 5 aktach. Podział przedstawienia na dwie części jest autorstwa reżysera. I, to należałoby zaznaczyć.

Ale to drobniaczki! Niedostatków w opracowaniu programu dopatrywałbym się w jego oderwaniu od tradycji „Horsztynskiego” na scenie łódzkiej, zwłaszcza że dotyczy ona właśnie Teatru Nowego. Nawiązanie do pierwszej w kraju po wojnie inscenizacji tego dramatu byłoby wyrazem dbałości o kulturowanie ciągłości kulturowej w powojennych dziejach Łodzi, jak i tradycji tej właśnie placówki teatralnej. Wolałbym zatem wyczytać w programie łódzkie odniesienia omawianej premiery niż przedruk artykułu z poznańskiego „Proscenium Teatru Polskiego”, testujące drobniaczki prawdziwe historyczną i anachronizmy w dziele Słowackiego.

Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak samemu przypomnieć pierwszą premierę „Horsztynskiego”, która odbyła się 12 listopada 1951 roku, dokładnie w drugą rocznicę inicjacji Teatru Nowego wystawieniem „Brygady szlifierza Karhana” V. Kani. Zmarły

ne (dziś: Małgorzata, żonę Sforzi), Dobrosław Mater — Wyrwika (dziś: Skowicza) i Wojciech Piłarski, występujący obecnie w tytułowej roli, grał wtedy epizodyczną postać Szlachetca I.

I tak — dzięki ciągłości personalnej — zyskuje zgrabny pretekst, by przejść do omówienia najnowszej premiery Teatru Nowego. Reżyser tego przedstawienia, Włodzimierz Nurkowski, nie musiał czuć się zobligowanym żadną obowiązującą tendencją czy wymogami estetycznymi, jak to miało miejsce w początkowych latach działalności Teatru Nowego. Miał więc w wyborze środków teatralnych absolutną swobodę, limitowaną jedynie tekstem poety, doświadczenia mi człowieka współczesnego i własnym gustem.

Zaczniemy od tekstu. Słowacki nie ukończył, jak wiadomo, pracy nad sztuką. Nawet nie nadał jej tytułu. Zachował się w spuściźnie — po autorze niekompletny i — zapewne — nie dopracowany rękopis z kilkoma wariantami fakultatywnymi niektórych scen. Ten niedokończony utwór ma fragmenty znakomite obok słabszych, wręcz nieudanych. Częściowo tylko udało się Słowackiemu scalić dwa wątki: dzieje zdrady i niechętnej śmierci hetmana Kossakowskiego oraz dramat niewidomego szlachetca Horsztynskiego.

Klamrą spinającą te dwa nurty fabularne w jedno przesłanie miała być postać Szczęsnego, mającego walny udział w

trafieniu się dopatrzeć. Inscenizator jakiegokolwiek tekstu dramatycznego z reguły lokuje się jakby między jego wierszami, inkrując i dopielając media literackie środkami teatralnymi. Tak postępuje i Nurkowski.

Gdy zatem w I akcie Szczęśny wypowiada z woli autora kwestię: „Ojciec ucztuje w gronie poczęstunków — i płaci za śmiech i żarty”, reżyser otwiera głębiej sceny i ukazuje ową ucztę hetmańską, zastępując relację słowną obrazem. Patrzyłem na ten zabieg — przyznaję — z zainteresowaniem. Natomiast nie przekonały mnie niektóre inne ingerencje reżysera w dalszym biegu widowiska.

Dlaczego na przykład Szczęśny brutalnymi ruchami wprawia w bieg fotel-wózek, na którym siedzi Horsztynski? W tekście Słowackiego, daremnie szukać wyjaśnienia, a jeśli reżyser miał tu jakąś własną koncepcję, to jej nie wyeksplikował. Skąd też w dworcu szlacheckim owa służba bijąca czołem o ziemię? W zamku Kossakowskich to uzasadnione, ale tutaj?

Albo jaka funkcję spełnia w przedstawieniu orgiastyczny taniec żniwiarzy, do którego wciągnięta zostaje Salomea? Słowacki wspomina o śpiewie powracających z pola żniwiarzy, to wszystko. Ostra ingerencja inscenizatora nie tłumaczy się.

Wreszcie scena, w której szlachta zbiera się, by wyruszyć do Wilna w pomoc hetma-

nowi Kossakowskiemu. Wprowadzenie na scenę drewnianego konia z siedzącą na nim Maryną to jakby nawiązanie do fortelu, do jakiego uciekł się Odyś dla zdobycia Troi. A potem następuje nadużywany już motyw chocholego tańca. Ma on zapewne ukazać bezsilność stronników Kossakowskiego, a na jej tle może bezcelowość jakichkolwiek działań podejmowanych przez Szczęśnego.

Pomysłów reżyserów jest dużo, ale brak spójności, która uzasadniałaby sięgnięcie współczesnego teatru po nieco kaleki tekst Słowackiego. Jeżeli chodziło o jakąś aktualizację, to sprawa nie wyszła.

Surowa ocena inscenizacji nie oznacza, by przedstawienie nie dało się z zacięciem oglądać. Znakomity w rysunku i kreowaniu hetmana — infamisa jest — moim zdaniem — Aleksander Bednarz. Jak przekonująco brzmią w jego ustach słowa: „Są wysokie góry, na które człowiek może wejść i być niedoścignionym” przez pociski ludzkie...

Wojciech Piłarski zagrał Horsztynskiego z dużym skupieniem, choć chwilami w sposób zbyt pastelowy. Na podkreślenie zasługuje rzetelny warsztat aktorski Józefa Zbiroga (Ojciec Prokop), Mariana Stanisławskiego (Świętosz), Janusza Kubickiego (Ksiądz), Bohdana Mikulica (Błażen), Andrzeja Jurczaka (Sforza), Dymitra Holówki (Trombonista), i Piotra Krukowskiego (Nieznamy). Rola dziecięca są w Polsce z reguły fatalnie obsadzone. Tu też z kwestii Michaśka nie rozumiałem ani jednego słowa.

Scenografia Marka Brauna w pomysłowy sposób rozwiązuje zmiany planów scenicznych. Ważnym czynnikiem w budowaniu nastroju jest muzyka Andrzeja Żaryckiego, a wprowadzenie kameralnego zespołu orkiestrowego na scenę dobrze sprawdza się w widowisku.

Szkoda, że przedstawienie nie zostało domyslane do końca...

*) Państwowy Teatr Nowy: Juliusz Słowacki „Horsztynski”; reżyseria: Włodzimierz Nurkowski; współpraca reżysera: Aleksander Bednarz; scenografia: Marek Braun; muzyka: Andrzej Żarycki; układ ruchu: Jacek Tomasik; premiera: 26 marca 1988 r.

polemiki • listy • opinie •

DLACZEGO „ODGŁOSY” PUBLIKUJĄ OGŁOSZENIA?

EUGENIUSZ S. (nazwisko i adres do wiadomości redakcji) oraz **T. STACHOWIAK** z **Piotrkowa Trybunalskiego** są ciekawi — a jednocześnie oburzeni — dlaczego w „Odgłosach” publikujemy ogłoszenia. Ciekawi są dlaczego, a oburzeni, że publikujemy. Zostaliśmy zatem upoważnieni przez klerownictwo redakcji do wyjaśnienia tej sprawy.

Powodem tego oburzenia był numer 12 „Odgłosów” z 1988 roku, w którym ogłoszenia zajęły całą stronę 14 i częściowo weszły na stronę 15. Był to — jak do tej pory — jedyny taki wypadek. Ale nie możemy gwarantować, że to się nie powtórzy. Zależy to bowiem od naszych zleceńodawców.

W połowie 1987 roku zagrożony został byt „Odgłosów”. W Warszawie powstał plan likwidacji, łączenia i zmiany częstotliwości wydawania niektórych pism w Polsce i — niestety — na liście tej znalazły się również „Odgłosy”. Miano nas przekształcić w dwutygodnik, co przy braku odpowiedniej tradycji w Polsce — dwutygodniki na ogół u nas nie przyjmują się, a w Łodzi szczególnie — mogło grozić upadkiem pisma. Uniknielibyśmy tej groźby podnosząc nakład z poziomu 40 000 egzemplarzy do poziomu 72 000 egzemplarzy. Dzięki temu znacznie zmniejszyliśmy deficyt. Jeśli nasze pismo przynosi Łódzkiemu Wydawnictwu Prasowemu RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Pisma społeczno-kulturalne, jeśli nie osiągną pewnego poziomu nakładu, przynoszą wydawcy deficyt. „Odgłosy” od pewnego czasu gonien poziom. Jest to pogoń za stale rosnącymi kosztami wydawania. Był czas, że wystarczało nam 35 000 egzemplarzy, aby być samowystarczalnymi, ale dziś mamy — po podwyżce cen obniżyliśmy nakład prawie o 20 000 egzemplarzy — ponad 60 000 egzemplarzy i potrzeba nam osiągnąć poziom 65 000 egzemplarzy, aby przynosić zysk. Pomocne w tym są ogłoszenia. Nie ujawnię żadnej tajemnicy, jeśli napiszę, że w 1987 roku mieliśmy uzyskać 2,5 miliona złotych z publikacji ogłoszeń, ale nie osiągnęliśmy zaplanowanego dochodu. W 1988 roku powinniśmy zarobić 10 mln złotych z publikacji ogłoszeń i aby to osiągnąć potrzeba w każdym numerze połowę strony 14 zadrukować ogłoszeniami. A to nie zawsze się udaje i dlatego czasami trzeba — kiedy są — dać więcej miejsca pod ogłoszenia.

Na całym świecie ogłoszenia publikują wielce szanowne i uznane pisma i nikt się temu nie dziwi. Po wtóre — jeśli propagujemy reformę, to i sami powinniśmy postępować w myśl jej zasad. I tak też czynimy. Skoro są chętni do zamieszczania ogłoszeń w „Odgłosach” i za to płacą — wcale nie mało — to byłoby wielce łepym organizatorami, gdybyśmy z takiej możliwości nie skorzystali.

I ostatnia sprawa. Gdyby nie ogłoszenia, to Czytelnicy — aby pismo mogło przynosić zysk — musieliby płacić dużo więcej niż 50 złotych. Tak więc publikacja ogłoszeń, która poprawia sytuację finansową pisma leży również w interesie naszych Czytelników.

REDAKTOR DYŻURNY

Z RADOGOSZCZA-WSCHODU DONOSZA...

Od dwóch miesięcy jestem mieszkanką prawdopodobnie najładniejszego osiedla w Łodzi, którym jest — lub ma być — Radogoszcz-Wschód. Wraz z rozpoczęciem nowego życia w nowym, bardzo ładnym i nie najgorzej wyposażonym (!) mieszkaniu — pojawiły się obok wielkiej radości nowe kłopoty, którymi chciałabym się podzielić.

Największy problem to:

1. Brak miejsc w przedszkolach. Nie pomagają żadne argumenty, nawet typu, że mąż jest niepełnosprawny, żeśmy długoletnimi pracownikami służby zdrowia, nawet parający się dydaktyką, itd., itp. Bz „znajomości” (jeszcze tego zjawiska nie akceptuję, ale co byśmy zrobili?) dziecko nadal byłoby poza domem rodzinnym (!) rozpierzchniętą go zamieszkuje babci albo musiałabym przerwać pracę zawodową, nie w ramach urlopu wychowawczego bynajmniej. Jednak na szczęście ten wielki kłopot — kilkumiesięczne szukanie i bezskuteczne próby o litość wielu dyrektorów przedszkoli — poza nami.

To duże obszarowe osiedle ma (lub będzie mieć) kilka przedszkoli. Ciekawe, ale wszystkie usytuowane są na obrzeżach osiedla i bynajmniej nie leżą „po drodze” rodzicom pracującym z reguły w centrum miasta, bo tak się składa, że większość zakładów pracy tam się znajduje. Nawet od naby najbliższego przedszkola — jeszcze w budowie — dzieli nas co najmniej kilkanaście minut, zwanym krokiem, drogi w kierunku: Zgierz. Czyżby mieszkańcy osiedla mieli teraz tam szukać pracy, by zaoszczędzić na porannym czasie (wszak sen to zdrowie) i dojazdach w odwrotnym niż praca kierunku?

2. Następnym — i niestety jeszcze nie rozwiązany problemem — jest: błoto. Nie wiem, co byłoby lepsze dla Telimeny, patronki naszej uroczej ulicy (raczej podwórka): mroźki czy błoto-głina, otoczona głębokimi jeziorami? Już 2 miesiące codziennie pokornie pokonujemy zwały błota, brnąc w nim po kostki, niekiedy i po kolana! Ale błota nie chce zaakceptować nikt z naszych (uprzedzonych zresztą) gości, ani nasze biedne podłogi,

pokryte wykładziną, obecnie przypominającą wycieraczkę.

3. I pewnie dlatego, że doręczyciele kaloszy w przydziałach nie otrzymali — nie docierała do nas korespondencja. Jedyny raz jakaś dobra dusza porzuciła listy na schodach. Wiem że listy wracają do nadawców z adnotacją: blok nie zasiedlony. Po 2-tygodniowym odstaniu przy wejściu do klatki schodowej porzuconych skrzynek na listy, złożyłam zażalenie w urzędzie pocztowym właściwym, czyli pobliskim: raptem 10 przystanków od domu. O dziwo! Nazajutrz po mojej interwencji skrzynki powieszono, ponumerowano, tyle, że po kluczyki kazano fatygować się do wspomnianego urzędu. Do tej pory jednak brak odpowiedzi na skargę w sprawie nie docierającej korespondencji.

4. Brak zaplecza (tzw. socjalno-bytowego, to następne utrudnienie, ale cóż to jest w obliczu posiadania własnego M-ileś? Co prawda ratuje sytuację pobliski sklepik, prawie że wiejski, ale małe to, słabo zaopatrzone i często-gęsto zamknięte, bo to albo kradzieże, albo rewanże na zmianę.

Po kilkugodzinnych zakupach, w pewną wolną sobotę, kiedy zawędrowałam w poszukiwaniu sklepów do odległego, nieźle zaopatrzonego, ale wymagającego cierpliwego stania kolejno w co najmniej 5 kolejkach, postanowiłam już nigdy nie liczyć na osiedlowe sklepy, zarówno na Radogoszczu Zachodzie, jak i na Wschodzie. Wole już dźwigać zakupy „z miasta” oraz ciągnąć (bądź popychać) dziecko — wszak razem dojeżdżamy — i przepuszczać kolejnym przeładowany do granic „niewyttrzymałości” tramwaj w drodze do tej uroczej łódzkiej „sypialni”.

5. Czy jedyna miejska linia tramwajowa nr „22” (bo „45” i „46” są obsługiwane przez zgierzano-ozorkowian), to szczyt możliwości MPK? Wielekrotnie proponowano przeniesienie petle „4” i „11” z Julianowa, wraz z szynami, do zajezdni w Helenówku...

Dlaczego w dobie braku laboru i paliwa autobus 79-bis nie jeździ ul. Zgierską już od a. Sikorskiego, tylko zalicza zbytnią rundę al. Włókniarzy, by trafić na Zgierską o kilka dobrych minut i przystanków później? Czy dyrekcja MPK jest zorientowana w tym, że w razie awarii tramwajowych (częstych!) ludzie ze Zgierskiej nie mają czym się dostać na osiedle Radogoszcz-Wschód?

Czy opisany stan rzeczy nie może doprowadzić co najmniej do frustracji?

E.M.-P.

(Imię, nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

WŁOSCY JEŃCY W BREMEN-BURGU

Na początku lutego 1988 r. w tygodniku „Stolica” ukazał się artykuł omawiający wymordowanie w Deblinie przez hitlerowców kilku tysięcy włoskich jeńców wojennych. W czasie ostatniej wojny znajdował się tu Stalag 307, w którym przebywali początkowo jeńcy radzieccy, a od jesieni 1943 roku — internowani żołnierze włoscy. Wiosną 1944 roku obóz jeniecki w Deblinie został zlikwidowany. Znaczna część Włochów na skutek represji hitlerowskich i głodowego wycieńczenia straciła w nim życie, pozostających zaś wywieziono w nieznanym kierunku. Włosi, którzy zginęli lub zmarli w deblinim stłagu, pogrzebani zostali w zbiorowych mogiłach obok wcześniej tu pochowanych jeńców radzieckich.

Jesienią 1943 roku w części obozu dla przymusowych robotników polskich w Bremen-Burgu, zatrudnionych w zakładach lotniczych „Weser-Flugzeugbau”, urządzono stalag dla Włochów, ogrodzony drutem kolczastym. W obozie tym przebywało kilkuset jeńców, słowian w kilku drewnianych barakach. Hitlerowcy traktowali byłych sojuszników z niezmierzoną pogardą, nie szczedząc im różnych represji. Najdotkliwszą było chyba nieludzkie głodzenie internowanych. Niektórzy z nich słownie stali się na nogach. Podobno głodem chciano wymusić na żołnierzach włoskich ochotnicze zgłoszenie się do pracy na terenie Rzeszy. W miarę naszych jakże skromnych możliwości staraliśmy się pomóc im w ciężkiej doli, przerzucając przez druty kromki chleba, bądź kilka papierosów.

Rozmiar głodu, jaki nekali internowanych w Bremie Włochów, przedstawia najlepiej zapamiętany przeze mnie obraz. Jeńcy włoscy raz w tygodniu korzystali z łaźni położonej na terenie polskiego obozu. Droga do łaźni wiodła wzdłuż budynku gospodarczego, przed którym stały beczki zawierające zlewki kuchenne przeznaczone dla świni. Buszowały w nich szczury. Włosi idąc do kąpeli pod ochroną niemieckich żołnierzy dopadali beczek, czerpiąc z nich metną ciecz pełnymi garściami i lapczywie polykali, nie zważając na wrzaski i razy rozwścieczonych wartowników.

Po kilku miesiącach obóz dla internowanych żołnierzy włoskich został zlikwidowany. Prawdopodobnie pod presją głodu wyrzekli się oni uprawnień jenieckich i jako cywili robotnicy zatrudnieni zostali w niemieckich gospodarstwach rolnych, odczuwających dotkliwy brak rąk do pracy. Pojeńkieckie baraki zajęły polskie więźniarki, ewakuowane z obozu karnego, zagrożonego zbliżaniem się wojsk radzieckich.

WACŁAW PAWLAK

Pomysły contra Słowacki

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

krytyk teatralny i dziejopis Teatru Nowego **Maria Czarner** uznała premierę „Horsztynskiego” za stęp milowy w dziejach tej kierowanej wówczas przez **Kazimierza Dejmka** sceny. Młody i rewolucyjny w duchu tamtych czasów kolektiw TN zmierzył się tą premierą po raz pierwszy z klasą teatralną. W dorozę tekstów do poprzednich pięciu premier — zespół i jego kierownictwo ograniczało się do współczesnych sztuk socrealistycznych.

K. Dejmek stwierdził w czterech lat po premierze na łamach miesięcznika „Polonia” co następuje: „My spróbowaliśmy wtłoczyć Horsztynskiego w opanowaną przez nas formułę realizmu scenicznego; zakończyło się to katastrofą z powodu jednego drobniaczka: poezji, której nasza formuła nie uwzględniała”.

Współzałożyciel TN i najwybitniejszy jego twórca okazał w powyższych słowach niezmierną surowość dla siebie i swoich kolegów. Faktem jest, że inscenizator i reżyser „Horsztynskiego” **Janusz Warmiński** oraz wykonawcy przedstawienia zrobili wiele, by oddać sztuce Słowackiego charakter dramatu romantycznego. Na pian pierwszy usiłowali wysunąć realistyczny wątek antymagnacki, który wprawdzie zarysowany został przez autora dość wyraźnie, ale wtopiony jednocześnie w klimat mistyczny-poetycki epoki. Próba wygubienia tej poetyki tknęła wulgaryzmem i niedostatkami estetycznymi dla wielkiej tradycji narodowej i literackiej.

Nie oznacza to jednak, że tamtemu „Horsztynskiemu” sprzed 37 lat — wystawionemu z podtytułem „Kossakowskiego” — odmówić należy wartości. Na tle wysuszonej i belferskiej atmosfery teatralnej tamtych lat było przedstawienie TN żywym powiewem, zapowiadającym przełom, jaki w tymże teatrze po trzech latach miał się dokonać.

Przypomnijmy interpretatorów głównych ról wówczas: Hetmana Szymona Kossakowskiego zagrał w sposób krwisty i przekonujący niezwykły już **Stanisław Brylinski**, jego syna **Szczęsnego** grał **Tadeusz Minc**, obecnie znany reżyser, tytułową rolę **Ksawerego Horsztynskiego** — zmarły, niezapomniany **Seweryn Butrym**, zaś **Salomeę** — **Antonina Gordon-Górecka**. Scenografię (mam zachowane w pamięci piękne malowidła sceniczne) przygotował nieodżałowany **Józef Rachwański**.

Ciekawostkę stanowi zapewne fakt, że trzy role w tamtym przedstawieniu obsadzone były przez aktorów występujących także w obecnej edycji. **Halina Sobolewska** grała wówczas Mary-

obu wątkach. On też jest, wbrew tytułowi nadanemu sztuce przez wydawcę (3-tomowy „Pism posmiertnych”) Słowackiego w 1866 roku, bohaterem dramatu. On głównie decyduje o romantycznej aurze całości. Porównuje się go często do Hamleta ze względu na rozpaczliwe miotanie się w jarzmie narzuconym mu przez sytuację historyczną i rodzinną i na niemożność podjęcia sensownej decyzji.

Szczęśny jest jednak przede wszystkim bohaterem romantycznym, mającym swój pierwowzór w postaci tytułowej opowiadania „René” pła Fran- çois-René de Chateaubrianda i częściowo może w przedromantycznym młodym Werterze z głosnej powieści Goethego.

Zabawmy się w jeszcze jedno poszukiwanie genealogii literackiej na własny rachunek! W I akcie dramatu Szczęśny mówi: „...wypadki wydają mi się raz tak wielkie, że nie śmiem stanąć przy posagu obrzydliwej, bojąc się, aby mnie ludzie nie wzięli za karla; drugi raz wypadki wasze wydają się tak małe, że boję się rozgnieść ludzi chodząc nieuwadźnie”. Do jakiej ze swych lektur nawiązuje tu Słowacki? Ciepło, ciepło... Ależ tak! Do słynnych „Podróży Guliwera” **Jonathana Swifta**.

Z tej zbitki skojarzeń rodzi się pod piórem Słowackiego postać niejednoznaczna, znerwicowana, nieszcześliwa, zbuntowana przeciw sytuacji historycznej, ale i przeciw kanonom etycznym. Z pewnością o ambivalencji moralnej świadczy jego romans z żoną nieszcześnego kaleki **Salomeę**. Jak i manewrowanie nad przepaścią kazirodziej miłości do siostry **Amelii**, jak wreszcie miłość z dziewczyną wiejską **Maryną**. W sumie konglomerat zalet i wad, w których należałoby się doszukiwać syntezy.

Nie sądzę, by reżyser przedstawienia i wykonawca roli **Szczęsnego** **Jacek Pawlak** podjęli dostateczny wysiłek dla określenia odczytania tej postaci. Założenie młodemu Kossakowskiemu na nos ciemnych okularów, analogicznych do tych, jakie nosi ślepiec **Horsztynski**, jest aluzją tak czytelną, że aż nienośną. Podobnie wprowadzenie jako klamry widowiska słów **Szczęsnego**: „Nie widzę żadnej drogi przed sobą... Zdaje się, że chodzę na gzymsach zamku...” — to trochę mało jak na oś całej złotej akcji.

O ile wspomniane wyżej wystawienie „Horsztynskiego” w roku 1951 miało — słuszną czy niesłuszną — ale wyraźną tendencję, o tyle w widowisku **Włodzimierza Nurkowskiego** myśli organizującej całość przekazu scenicznego nie po-

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

„CWANIACY I MANIACY”

Pod powyższym tytułem ukazał się w 12 numerze „Odgłosów” artykuł Ryszarda Nakoniecznego, omawiający dorobek i obecną sytuację Wytwórni Filmów Oświatowych. Piórem utalentowanego reżysera młodszej generacji w WFO, a jednocześnie pisarza i globtrotera, poruszone zostały istotne problemy tej poważnej placówki filmowej, do której — niestety — stosunek władz kinematografii nie zawsze był poważny. Intencje autora artykułu są uczciwe i słuszne, a troska o utrzymanie i o przyszłość Wytwórni Łódzkiej jak najbardziej uzasadniona.

Jeżeli różni się poglądami z Ryszardem Nakoniecznym, to w zakresie oceny przeszłości WFO i różnych etapów jej rozwoju. Po słusznej pochwalie początków filmu oświatowego w Polsce po wojnie daje autor uproszczony, a zatem nieprawdziwy obraz WFO w latach 60. i początku 70. Nie znając ze względu na swój wiek tego okresu z autopsji, opiera się na zwulgaryzowanych i świadomie zafałszowanych opiniach obiegowych, którym należy wreszcie dać odpór.

Według tych opinii film oświatowy na kilkanaście co najmniej lat zaskorupał w funkcji „nauczyciela i instruktora”. „Świadczą o tym — pisze R. Nakonieczny — już same tytuły (filmów — W. O.): „Zwalczajmy gruźlicę”, „Plankton słodkowodny”, „Praca serca zarodka troci”, „Bezpieczeństwo pracy w zakładach”.

Może się mylić, ale dobór cytowanych tytułów świadczyłby o lekceważeniu, a nawet wzgardliwym stosunku do filmu dydaktycznego czy instruktażowego tymczasem były to i są filmy także potrzebne społecznie. Byli tacy, co ochrzcili je obelżywą nazwą „oświatowy”. Gruntownie nie zgadzam się z takim stosunkiem „pięknoduchów”, zwłaszcza że wiele z tych obrazów, jak choćby zacytowane „Praca serca zarodka troci” Karola Marczyka, zyskało sobie międzynarodowe uznanie, wyrażające się złotym deszczem nagród na festiwalach co najmniej na trzech kontynentach.

A obok filmów ściśle nauczających powstawało w WFO w latach sześćdziesiątych wiele filmów prestiżowych, o wysokich wartościach artystycznych. Powołam tylko dla przykładu niektóre z nich: „Archeologia” Andrzeja Brzozowskiego (nagrody w Krakowie, Padwie, Wenecji i Este), „Bronisław Wojciech Linke” Konstantego Gordona (Wenecja), „Interpretacje” (Kraków, Bergamo) i „W zatoce białych niedźwiedzi” (nagroda im. Kalinga w Paryżu) — oba Jarosława Brzozowskiego, „Pussacaglia na kaplicę Zygmuntowską” Zbigniewa Bochenka, „Frasobiliwy” Witolda Zukowskiego, „Śladami Byrcymowych wspomnień” Jana Rießera, „Modliszka” Karola Marczyka, „Puszcza Białowieska” Włodzimierza Puchalskiego, „Życie trupa” Józefa Arkusza, „Laser-światło XX wieku” Jerzego Popiela-Popiołka, „Melowanie palcami” Jadwigi Zukowskiej, „Maria Skłodowska-Curie” Stanisława Grabowskiego, „Pałace Ziemi Obiecanej” Leszka Skrzydły itd., itd. Zdać sobie sprawę, ilu znakomitym filmom i ich autorom robię krzywdę, przerywając wyliczanie, ale wymagają tego zamierzone rozmiary tej publikacji.

O dużym autorytecie WFO świadczy fakt, że w tym czasie konsultantami jej filmów była czołówka uczonych polskich, że wspomnę profesorów: Alicję Dorabalską, Karola Estreichera, Aleksandra Gleysztora, Bogdanę Kostrzewską, Gerarda Labudę, Bohdanę Marconiego, Kazimierza Michałowskiego, Andrzeja Nadolskiego, Jerzego Szablowskiego, Kazimierza Wykę, Zdzisława Zygluskiego.

A czy dowodem troski o poziom artystyczny filmów WFO w tym okresie nie są chociażby nazwiska kompozytorów, którzy pisali do nich muzykę, jak Władysława Kabalewskiego, Zygmunta Koniecznego, Jerzego Maksymiuka, Krzysztofa Pendereckiego, Bogusława Schäffera, Tadeusza Paciorekiewicza, Kazimierza Serockiego?

Tak więc sprawa poziomu artystycznego produkcji WFO nie „stała na porządku dziennym dopiero, gdy — około roku 1975 — dzięki polityce programowej nowego naczelnego redaktora Macieja Łukowskiego do WFO szeroka fala przyszli młodzi absolwenci Łódzkiej Szkoły Filmowej”, (jak twierdzi R. Nakonieczny). Wytwórnia przysparzała chętnie i przysposobiła do wysokich lotów młodych reżyserów i operatorów także w latach poprzedzających „czurow” roku 1975. Właśnie w okresie, który autor artykułu zbyt lekceważąco, debiutowali w WFO: Krzysztof Szmagier, Andrzej Trzós-Rastawiecki, Andrzej Paszyski, Grzegorz Królikiewicz, Krzysztof Zanussi (sic!), Antoni Krauze, Edward Zebrowski, Marek Wortman, Roman Petrycki, Piotr Studziński, Jerzy Surdel, Jacek Mierosławski i inni.

Tak więc nie lekceważmy dorobku WFO w przeszłości i nie przedłużajmy mitu o „mezu przeznaczania”. Doceniając rolę jednostki w historii, ale na dobre imię wytwórni złożył się z składa trud wielu utalentowanych, rzetelnych, uczciwych i pełnych entuzjazmu ludzi — realizatorów, redaktorów, pracowników produkcji, techniki i administracji. Część im za to!

Nie podoba mi się również dokonany przez autora artykułu mechaniczny podział na „cwaniaków” (realizatorów filmów zleconych, „łatwiejszych”) i „maniaków” (autorów obrazów ambitnych, wymagających większego nakładu pracy). To nie całkiem tak. Linia podziału jest bardziej złożona, choć obowiązujący system honoracyjny stwarza nieraz niewłaściwe proporcje w zarobkach. Ale odpowiedź pełna na poruszoną sprawę wymagałaby osobnego potraktowania.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„PRZESZEDŁ TĘDY HURAGAN WANDALIZMU”

W nr 6 „Odgłosów” z 6 lutego 1988 r. w liście pt. „Kto może rozwiązać zagadkę?” Aleksander Pytkie opisuje biografie kapłana Róży Deweltow. Polega ona w walkach nad Narwią w roku 1944. Po wojnie jej rodzina, sprowadzila zwłoki do Łodzi i pochowała ją na cmentarzu żydowskim. I w tym tkwi cała zagadka. Takie było życzenie matki i brata i z nim musieli się pogodzić jej towarzysze broni.

Częściowa dewastacja cmentarza nastąpiła już w okresie powojennym, kiedy to ręce barbarzyńców i ludzi ze społecznego marginesu sięgnęły po czarne granity i marmurowe płyty nagrobkowe. Dewastacji nie uległ wówczas tylko cmentarz żydowski. Podobne akty wandalizmu zdarzały się na cmentarzach katolickich, prawosławnych czy ewangelickich.

Gospodarzem cmentarza żydowskiego w Łodzi jest Zarząd Kongregacji Wyznania Mojżeszowego przy ul. Zachodniej 79 w Łodzi. Opiekę nad cmentarzem sprawuje także „społeczny Komitet Opieki nad Cmentarzem Żydowskim”. Pierwsi czynią to z uczuć religijnych, drudzy zaś związani są chęcią niesienia pomocy niszczącemu obiektowi noszącemu rangę zabytku pozostającego pod ochroną konserwatora. Jest ich wszystkich niewiele, zaledwie kilku starszych wiekiem, przekraczających 70 lat ludzi. Starają się oni uczynić co tylko się da, aby uratować dla przyszłych pokoleń stary cmentarz, na którym są złożone prochy tysięcy łódzkich Żydów, w tym wielu znanych i powszechnie szanowanych łódzkich przemysłowców — pionierów przemysłu tekstylnego, kupców, naukowców, lekarzy i robotników.

Wobec braku wykonawcy, na prośbę Społecznego Komitetu z pomocą w ratowaniu obiektów cmentarnych pospieszyli łódzcy harcerze i poszczególne grupy łódzkiej młodzieży. Mimo braku czasu i dość poważnych zajęć szkolnych zajęli się oni oczy-

szczaniem nagrobków i wykarczowaniem dzikich kemp krzewów, chwastów i krzaków. Pracę taką wykonano już na obszarze jednego hektara. Około pół ha nasyciono chemikaliami i soją, aby nie dopuścić do ponownego zarastania chwastów.

Tylko dzięki wzajemnemu porozumieniu i zrozumieniu Kongregacji Wyznania Mojżeszowego z opiekującymi się miejscami Pamięci Narodowej harcerzami można było przystąpić do porządkowania tego miejsca. Duszą powyższej działalności jest dh. phm. Bolesław Zajackowski — członek łódzkiego środowiska b. członków łódzkich „Szarych Szeregów” i Komisji Historycznej Chorągwi Łódzkiej ZHP im. Bohaterskich Dzieci Polskich. Obydwa te zespoły sprawują pieczę nad harcerskimi pracami porządkowymi w rejonie cmentarza żydowskiego.

Także i w Komendzie Chorągwi ZHP gromadzone są dokumenty i relacje dotyczące hitlerowskich zbrodni na tym cmentarzu. Będą one wykorzystywane przy udokumentowaniu tych wydarzeń. Ta praca w poważnym stopniu sementuje współpracę obydwu narodów — polskiego i żydowskiego w zakresie ich wspólnych wojennych dzieł.

Warto dodać że dh. Bolesław Zajackowski napisał pracę pt. „Cmentarz żydowski w Łodzi — miejsce pamięci narodowej”. Praca ta stanowi poważny dokument historyczny dla naukowców i osób interesujących się powyższymi sprawami.

MIECYSŁAW KOZAK

„ŚMIERDZĄCA SPRAWA”

„Odgłosy” z 20 lutego 1988 roku zamieściły artykuł Pawła Tomaszewskiego pt. „Śmierdząca sprawa”, która jest tak bolesna dla naszych Pracowniczych Ogrodów Działkowych w Nowosolnej, gdzie co najmniej od 3 lat wypoczynek po pracy stał się tutaj wprost niemożliwy.

Artykuł ten wiernie opisał tę sprawę w sposób szczegółowy i prawdziwy. Już dziś pragniemy serdecznie podziękować Redakcji, a szczególnie P. Tomaszewskiemu, który oświadczył, że przed całą tę „piekielną” drogę do naszych ogrodów, i mógł nawiedzać się tych okropnych smrodów.

Działkowicze zaczynają się coraz bardziej niepokoić i zapytują nasz Zarząd Ogrodu, co będzie z naszymi ogrodami i dlaczego brak jest do chwili obecnej konkretnej odpowiedzi od władz miasta Łodzi w tej drażliwej sprawie?

Zamieszczony artykuł w części ujawnił sprawę końca prac przy uruchomieniu wieży ciśnienia, gdzie istnieje duże zagrożenie, że woda z tego ujęcia rzeczywiście nie będzie się nadawała ani do spożycia, jak również i do podlewania roślin. Grozi to zatrućciem całego tutaj środowiska!

Redaktorowi Pawłowi Tomaszewskiemu pokazano, że śmieci były wysypywane i syple się je nadal na dno wysypiska bez jego zabezpieczenia folią.

Przy okazji tegoż listu pragniemy również zapytać kompetentne władze m. Łodzi, czy w sposób wiarygodny już dziś odpowiedź, dział Pracowniczym Ogrodów Działkowych w Nowosolnej, co zamierzają zrobić z czynną jeszcze kopalnią piasku — żwiru, przy ul. Łódzkiej, gdzie wyrobisko po piasku jest 3-krotnie większe, od tej przy ul. Zgierskiej? Omawiany artykuł wzmiankował o tym tylko jednym zdaniem.

A zatem oczekujemy od Was upragnionej pomocy, gdyż dołychczas nikt nas tak poważnie nie potraktował, jak Redakcja „Odgłosów”.

Za Zarząd:

STANISŁAW PISAREK

(Przewodniczący Komisji Rozjemczej
POD „Zacisze”)

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem wyjaśnienie Wydziału Gospodarki Komunalnej i Infrastruktury Technicznej UML, dotyczące problemów związanych z eksploatacją wysypiska odpadów komunalnych w Nowosolnej, a będące reakcją na mój reportaż pt. „Śmierdząca sprawa” („Odgłosy” nr 8 z 20 lutego 1988 r.) Usatysfakcjonowany jednak nim nie jestem, podobnie chyba jak mieszkańcy domów w Nowosolnej, położonych w bezpośrednim sąsiedztwie wysypiska oraz działkowicze, którym pod samym nosem składuje się nieczystości z prawie milionowego miasta.

Wyjaśnienie, co prawda, zawiera konkretne działania, jakie były lub będą podejmowane, aby „w jak największym stopniu zniwelować uciążliwość, jakie niewątpliwie występują...”, ale trudno oprzeć się wrażeniu, iż działania te są jedynie drobna część tego, co władze miasta powinny zrobić w zainstalowanej sytuacji. Oświetlenie ulicy, ułożenie chodnika, podwyższenie ogrodzenia wysypiska, itp., to przecież niejako warunki sine qua non istnienia i prawidłowego od strony technicznej funkcjonowania wysypiska. Rozumiem zatem, że tak, czy inaczej trzeba by to zrobić — obojętnie, gdzie wysypisko się znajduje: na terenie nie zamieszkanym, czy też niemal w samym środku wsi. Ale co robić, aby mieszkańcy Nowosolnej nie musieli wdychać wycieków z odpadów? Aby na ich podwórkach nie grasowały szerszy? O tym w wyjaśnieniu ani słowa!

Nie mi też nie wiadomo, aby ktoś z władz miasta wybrał się do Nowosolnej i porozmawiał tam, na miejscu z ludźmi o problemach, z którymi muszą się borykać. Aby powiedział im choćby „przepraszamy”, że już nie wspomnę o jakiejś konkretnej pomocy, która — moim zdaniem — ludziom tym chyba się należy.

A co z działkowcami? Im także należałoby się co najmniej przeprosiny za to, że na pień obiecano im spokój i czyste powietrze, a później i jedno i drugie odebrano. Może niektórym z nich powinno się przydzielić nowe działki w innym miejscu, jeśli będą sobie tego życzyć? Może?... Myślę, że rozwiązań możliwych do przyjęcia jest wiele. Warto by o nich pomyśleć.

A swoją drogą, wyjaśnienie delikatnie pomija kwestię zgodności lokalizacji wysypiska z obowiązującymi przepisami. Czyżby w Łodzi przepisy te nie obowiązywały?

PAWEŁ TOMASZEWSKI

SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

Zainteresowanych historią XIX i XX wieku ucieszył fakt ukazania się, drugiego tomu „Słownika biograficznego działaczy polskiego ruchu robotniczego”. Warszawa 1987 KIW, litery E-J. Drugie uzupełnione wydanie tomu pierwszego (A-D) ukazało się w 1985 roku. W słowniku znajdują się biografie zarówno działaczy sprzed ponad stu lat jak i działających po 1944 roku, którzy zmarli przed 1982 rokiem.

W słowniku jest sporo biografów ludzi związanych z Łodzią. Ziemia Łódzka, czynnych w różnych okresach historycznych. W swoich uwagach pragnę zatrzymać się przy działaczach pełniających wysokie funkcje po drugiej wojnie światowej.

I tak Jan Stefan Haneman był przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Łodzi w okresie 1945—1946, a Edward Andrzejak w latach 1946 maj 1950. Henryk Domagalski ps. Socha był przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi do 26 maja 1950. Słownik błędnie podaje, iż do 25 kwietnia 1950.

Władysław Dworakowski był ostatnim I sekretarzem KL PPR (wrzesień — grudzień 1948) a następnie I sekretarzem KL PZPR do kwietnia 1950. Równocześnie krótko był też I sekretarzem KW w Łodzi (1949—1950). Działacz ten do X.1958. zrobił błyskawiczną karierę — był kierownikiem wydziału KC, członkiem Biura Politycznego KC, sekretarzem, wicepremierem, przewodniczącym Państwowego Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego, a pracę zawodową zakończył jako robotnik warszaw-

skich fabryk. W. Dworakowski spośród członków kierownictwa PZPR najgwałtowniej atakował W. Gomułkę w początkach lat 50.

Karol Bąkowski był I sekretarzem KW PZPR w okresie 1952—1953.

Stefan Jędryszczak był I sekretarzem od lutego 1960 do 28 grudnia 1968, kiedy wybrano Jerzego Muszyńskiego I sekretarzem. W słowniku podano, iż S. Jędryszczak był I sekretarzem 1960—1969. Prezesem Centralnego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych został S. Jędryszczak 18 grudnia 1968, w słowniku podano, iż 1 lutego 1969 r.

Także działacze łódzkiej spółdzielczości mieszkaniowej Eugeniusz Ajnenkiel i Franciszek Helinski oraz znani dziennikarze Jacek Groszkiewicz (b. redaktor naczelnny „Głosu Robotniczego” w latach 1950—1952) i Stanisław Januszewski-Stajan (b. redaktor naczelnny „Dziennika Łódzkiego” w latach 1964 — 1971) posiadają biografie w słowniku.

Załowac należy, iż na kolejny tom trzeba czekać dwa lata, a na całość do końca XX wieku.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

KTO WYCIĄŁ ŻYWOPIŁOT?

Mieszkam w Ksawerowie przy ul. Łódzkiej nr 5 naprzeciw przystanku Mały Skręt.

16 marca 1988 r. wracając z miasta wysiadłem z tramwaju „41” i nie mogłem rozpoznać swojej działki i swego domu, w którym zamieszkuję od 25 lat. Rano bowiem tegoż dnia, w czasie mojej nieobecności, jacyś bezmyślni pracownicy z polecenia władzy administracyjnej (prawdopodobnie służba drogowa z województwa sieradzkiego) wycieli przed moim domem drzewa i piękny żywopłot z krzewów ozdobnego berberysu, który 25 lat temu posadziłem wzdłuż mego plotu siatkowego na długości 26 m. Dla zobrazowania bezmyślności czynu informuję, że odległość żywopłotu od krawężnika jezdni Łódź — Pabianice wynosiła aż 8 m. Tuż przy krawężniku jezdni jest chodnik szer. 1,5 m, potem następuje pas trawnika szer. 1,5 m, dalej bieżnia row szer. 2,5 m, potem jest znów pas trawnika szer. 2 m, a w końcu przy samym płocie z siatki jest ów nieszczęśliwy, przeszkadzający bezmyślnemu wandalowi, mój żywopłot.

Posadziłem go, by był ozdobą terenu, by chronił i osłaniał dom od pyłu, kurzu, wydzielin samochodowych i hałasu ulicznego. Posadzone krzewy w liczbie około 60 szt. rodziły także i owoce. Przez 25 lat nikomu żywopłot nie przeszkadzał, wielu go podziwiali, aż tu nagle, w czyjeś bezmyślnie głowie z administracji zrodziła się myśl, aby zniszczyć bez wiedzy właściciela.

Kogo winić po szkodzi? Ubolewając nad takim czynem należy zadać pod adresem władzy administracji terenowej pytanie. Dlaczego pracownicy wysłani do przesiewiania i wycinania drzew i krzewów przy drogach nie zostali przeszkoleni i pouczeni do ilu metrów od krawężnika jezdni mają prawo wycinać wszystko co popadnie?

ALEKSANDER ARKUSZYŃSKI

REDAKCJA — CZYTELNICZY

ANDRZEJ PORĘBSKI, Łódź. Przykro nam, że pana tak fatalnie potraktowała milicja w CSRS. Skoro jednak zwrócił się pan z interwencją do Ambasady CSRS w Warszawie i do polskiego MSZ, to znajdzie pan tam pomoc i zadośćuczynienie. Współczujemy i życzymy powodzenia.

JOZEF GRUCHAŁA, Łódź. Zgadza się z panem, że „nie wszędzie zdołano zlikwidować zaskorupałe biurokratyczne i nakazowo-rozdzielcze poczwy, z których już nie się wykluje”. Z przykrością musimy jednak zrezygnować z publikacji pana listu, w którym w sposób bezpardony, aczkolwiek aluzyjny, krytykuje pan kierownictwo Operetki w Warszawie. Pilniejsze sprawy zabrały miejsce przeznaczone na pana list.

MARIAN SKROBISZ, Łódź. Nie możemy stale zajmować się sprawą pana telefonu, tym bardziej, że UT Łódź-Północ powiadomiło pana, iż otrzyma pan telefon pod koniec półrocza 1988 roku. Gratulujemy!

Do spraw zasad, według których przydziela się telefony powróćmy w najbliższym czasie.

FAN-CLUB KRYSZYNY GIŹOWSKIEJ „BRAVO”, Witkowo. List i zdjęcie Krystyny Giżowskiej otrzymaliśmy. Nie tak dawno pisaliśmy o tej piosenkarce. Życzymy powodzenia!

MIECYSŁAW KOZAK, Łódź. Istotnie działalność „RUCHU” budzi różne zastrzeżenia. Kłóski są często zamknięte, a ich obsługa nie zawsze najuprzejmiej. Takie zastrzeżenia ma pan do obsługi kiosku przy rogu ulicy Zachodniej i Ogrodowej. Mam nadzieję, że dyrekcja odpowiedniego oddziału „RUCHU” wpłynie na swego pracownika, aby nie zmuszał klientów do kupowania starych egzemplarzy „Za wolność i lud” uzależniając od tego kupno nowego.

HENRYK JÓZWIĄK, Łódź. Pana pieniądze, pana wola. My dalej robimy swoje i nawet nam to nieźle idzie.

TADEUSZ TRĘBACZ, Łódź. List pana krytykujący Jerzego Wilmańskiego nie ukazuje się w druku nie dlatego — jak pan pisze — że cenzura nam tego zabroni, ale z tego powodu, że narusza pan w tym liście „Prawo prasowe”. Nakazuje ono bowiem dziennikarzowi w Art. 12 „chronić dobra osobiste” osób trzecich. Art. 40 tego prawa stanowi, że w razie „umyślnego naruszenia dóbr osobistych osoby fizycznej przez publikację materiałów prasowych” sprawa może znaleźć się przed sądem.

Rzecz bowiem w tym, że pan nie krytykuje twórczości Jerzego Wilmańskiego przy pomocy argumentów odnoszących się do tej twórczości — do czego każdy ma prawo — ale pańskie uwagi odnoszą się do osoby. A to już jest naruszeniem dóbr osobistych. Wolno panu mieć takie czy inne zdanie o tym, czy innym piszącym, ale jeśli chce pan publicznie takim zdaniem się podzielić, to musi się to w sposób udokumentowany odnosić do jego twórczości. I wyłącznie.

REDAKTOR DYŻURNY

SPROSTOWANIE

W tekście „Egzotyka w parku Źródlika zagrożona” zamieszczonym w „Odgłosach” nr 15, w niewytłumaczalny sposób zakradły się dwa błędy. Jolanta Stanisławska była specjalistką do spraw zieleni w Łódzkim Parku Kultury i Wypoczynku a nie w Łódzkim Przedsiębiorstwie Kanalizacji i Wodociągów. Błędnie także podano nazwisko zastępcy kierownika Ogrodu Botanicznego i Palmiarni — zamiast Groszkowski powinno być Gorzowski. Wszystkich zainteresowanych bardzo przepraszam.

B. A. MAKOWSKI



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

28 kwietnia — RYSZARD BINKOWSKI —
godz. 10—16.

5 maja — BOGDA MADEJ — godz. 10—16.

Zadzwoń do dwóch ludzi znanych: redaktor Adam Ochocki i zastępca dyrektora łódzkich telefonów, pan Romanowski. Adamowi Ochockiemu zepsuł się zlew. PGM oświadczył autorowi, że zlew zostanie odfiltrowany pod warunkiem, iż zapłaci on przedtem siedemdziesiąt procent należności za robociznę. W pralniach już nie płaci się przed wykonaniem usługi. Ochocki wszelako jest człowiekiem zgodnym i zapłacił w ciemno, i wtedy właśnie, przy kasie, trafił go szlag, bowiem urzędniczka ścigała z niego całe sto procent honorarium za pracę hydrauliczną, która miała być dopiero wykonana. Na tym nie kończą się pretensje Ochockiego. Mieszka on w domu przy ulicy Spornej 83. Jedną ze ścian budynku przemazała i uległa zagrzybieniu. Ludzie przeklinali, ale kompetentny urząd balucki oświadczył Ochockiemu, że nie obchodzi go żaden grzyb. Autor naciskał w imieniu własnym i pozostałych mieszkańców. Wówczas dyrektor urzędu złożył Ochockiemu solenne przyrzeczenie, że jeśli tylko utrzyma się na stanowisku, ściana zostanie ocieplona a grzyb zlikwidowany w roku 1986. Minęły od tego momentu dwa lata. Dyrektor, który w dalszym ciągu jest dyrektorem, słowa nie dotrzymał. Ociepia się wprawdzie ściany, ale w innym domu, co Ochocki i jego sąsiedzi uznali za jawną niesprawiedliwość.

Dyrektor Romanowski grozi „Odgłosom” za publikację drukowane w kolumnie listów. Publikacje te dotyczyły prawidłowości i nieprawidłowości w przyznawaniu telefonów. Były to, zdaniem dyrektora Romanowskiego, bzdury i oszczerstwa, które dotknęły szczególnie dyrektora Dziegielewskiego (Urząd Łódź-Północ), człowieka nieposzlakowanej opinii i wielkiej uczciwości. Dyrektor Dziegielewski zna prawo prasowe i był o krok, aby skierować sprawę do sądu. Tam, gdzie na jeden numer czeka latami dziesięć osób, zawsze ktoś musi być pokrzywdzony. Na Retkini i Dąbrowie nie ma takich problemów i niebawem wszyscy chętni doczekają się telefonów.

Dwóch innych ludzi wystąpiło z ostrą krytyką pisma. Pan An-

drzej Kaczorowski twierdził, że zamieszczamy kiepskie zdjęcia i że fotoreportaż z pogrzebu Witkacego w Zakopanem wolał o pomstę do nieba. Pan Sławomir Wiśniewski powiada, że lubił czytać Andrzeja Makowieckiego, kiedy facet ten drukował „Rapier Napoleona” i korespondencje z Meksyku, natomiast jego reportaż o „Dywilanie” jest nudny. Skrytykował także trzech innych autorów pisma (nazwisk nie przytaczam, aby nie osłabiać uderzenia skierowanego przede wszystkim w moje serce). Podobna się natomiast Sławomirowi Wiśniewskiemu piórko, które opisało Violetę Villas, co z kolei doprowadziło do furi redaktora Edwarda Kolbusa.

Jan Nowak (Ciołkowskiego 3) zaczął pracować jako dziecko i ma już za sobą bez mała pięćdziesiąt lat ciężkiej harówki, w związku z czym chciałby przejść na emeryturę w chwili ukończenia sześćdziesiątki, ale aktualne przepisy na to nie pozwalają. Co w tej sytuacji zrobić? Nie wiem. Może należy zwrócić się do adwokata? Ale z adwokatami też bywa różnie, o czym świadczy przykład pani Sabiny Bartos.

Sabina Bartos zaczęła pracę jako młoda, dwunastoletnia dziewczyna w Zakładach Przemysłu Welnianego im. „Gwardii Ludowej”. Przeprowadziła tam nienagannie trzydzieści lat, po czym, dobijając pięćdziesiątki, rozchorowała się — nogi, złyki, egzema. Często przebywała wbrew swojej woli na zwolnieniach; lekarze orzekli, że nie wolno jej pracować na stojąco, wreszcie została odprawiona z zakładów z rentą wysokości trzynastu tysięcy złotych. Magaby nabyła otrzymać z macierzyńskiego, jednego w jej życiu zakładu rentę z tytułu choroby zawodowej, tu jednakże potrzebne było odpowiednie zaświadczenie ZUS. ZUS odesłał ją po owo zaświadczenie do SANEPIDU. SANEPID zaświadczenia nie wydał. Wzięła adwokata. Skierowano ją na testy wórnio do lekarza, który nie rozpoznał choroby. Adwokat kosztuje i rozkłada bezradnie ręce. A w domu mąż rencista i troje dzieci — jedno w szkole podstawowej, drugie w liceum, trzecie na studiach. „Odgłosy” mają nadzieję, że „Gwardia Ludowa” zrewiduje swój stosunek do byłej pracownicy i rozprawi się z bezduszną maszyniarą urzędników.

Pan Marek Marczak kupił sobie w 1980 roku poloneza za dewizy i po trzech miesiącach auto zaczęło się sypać. Korozja była tak wielka, że w dziurach mieściła się bez trudu najpierw pięść, a później głowa. Krótko mówiąc: rozpadło się suchoty. W dodatku polonez miał trzycentymetrowy przechyl w prawą stronę. W trakcie okresu gwarancyjnego dokonano w owym gracie dwustu dwóch napraw, zrotowano wszystkie części wymienne. FSO nie uznało reklamacji, w związku z czym pan Marczak zaczął chadzać się z producentem sądowo przed trybunałem rejonowym i przed trybunałem wojewódzkim. Wygrał. Ale FSO wniosła o rewizję wyroku, który nakazywał wymienić cały samochód. Rewizja odbyła się przed sądem warszawskim. Ten przekazał sprawę z powrotem do Łodzi. W Łodzi osiągnięto kompromis: FSO dostarczy na swój koszt karoserię z osprzętem, a Marczak zapłaci 240 tysięcy złotych za remont i przekładkę. Miało to być

załatwione do końca marca osiemnastego siódmego roku. Marczak odepchnął, lecz wkrótce znowu zaczął wzdychać. Karoserię i osprzęt dostarczono do stacji obsługi w Skierniewicach dopiero w końcu października. Marczak pojechał do Skierniewic w nastroju umiarkowanego pogodnym. I od razu dostał obuchem między oczy, gdyż poprzedniego wieczoru do skierniewickiego Motozbytu wlały się jakieś bandziory i spłądowały wszystko, co było do spłądowania rozbijając przy okazji przynany mu osprzęt i karoserię. Od tej pory pan Marczak pisze ponagląjące listy do FSO i wydzwaniał raz po raz do Skierniewic, jednakże kierownik Motozbytu powtarza ze smutkiem, że karoserii jak nie było, tak nie ma. Wyrok sądowy wciąż obowiązuje. Powiedzmy, że karoseria w końcu przyjdzie. Ale gdzie tu jest praworządność? Gdzie tu jest sprawiedliwość? Rok temu za remont Marczak zapłacił 240 tysięcy, teraz zapłaci pół miliona.

Zamiast telefonować, złożył mi w trakcie dyżuru wizytę pan Władysław Kaźmierczak. Powiedział bez wstępu:

— Proszę napisać o mnie autobiograficzną książkę.
Odpaliłem krótko:
— Nie napiszę.
— Napiszemy ją razem. Rezygnuję z honorarium. Ja mam dość swoich kłopotów wydawniczych — odpaliłem.
Długo nalegał. Bez skutku. Jest starym człowiekiem. Ma osiemdziesiąt jeden lat. Spiesz się. Bardzo się spieszy!
— Zostawię panu do przeczytania dwa moje reportaże — oświadczył i położył je na biurku.
— Ja nie kwalifikuję materiałów do druku — rzekłem.
— Proszę je przeczytać.

Byłem wściekły. Dzwonił telefon. A gość każe sobie w dodatku pokwitować na kopiach, że reportaże przyjąłem. Był to jawny i oczywisty gwałt. Próbowałem wytłumaczyć człowiekowi, że od przyjmowania materiałów jest sekretariat, a od czytania i zsyłania do druku — kierownictwo.

Ustąpiłem dla świętego spokoju. Gość wyszedł zostawiając swój domowy telefon. Przeczytałem obydwie teksty. Pierwszy dotyczył hitlerowskiej masakry w Brzeżynach, drugi opiewał losy konspiratora o pseudonimie „Sep”, który krążył między Łodzią a Warszawą. Aresztowania, tortury, ucieczki. Wstrząsające. Filmowe. Gdyby młody pisarz, reporter czy reżyser zainteresował się tym, mógłby zrobić z panem Kaźmierczakiem znaczące dzieło. Napisalem na marginesie jednego z reportaży: drukować! A potem zatelefonowałem do osiemdziesięcioletniego autora i powiedziałem:

— Jutro na kolegium zarekomenduję pańskie materiały Włodkowskiemu. Niech się pan modli, żeby mu się spodobały, bo druk zależy od niego, nie ode mnie.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

„A na rynku Geyera szuka panna frajera”

W czasie regulacji osady tkackiej Łódki na południowym krańcu ulicy Piotrkowskiej, u jej zbiegu z drogami wodzącymi do Zarzawa, Chojen i Rudy, wytyczono niewielki plac. Z uwagi na to, że leżał on na wyniosłej krawędzi doliny rzeki Jasieli, nazwano go Górnym Ryńkiem (obecnie plac Władysława Reymonta).

W 1826 roku przedsiębiorca z Saksonii Jan Krystian Rundzieher otrzymał tytułem dzierżawy kilka placów tworzących zachodnią pierzeję Górnego Rynku. Tereny leżące po północnej stronie rynku stały się własnością fabrykanta Ludwika Geyera, przybyłego do Łodzi w 1828 roku. W dwanaście lat później przemysłowiec ten nabył także place przy Górnym Rynku pozostawione przez zbankrutowanego Rundziehera.

Ludwik Geyer posiadający liczną rodzinę wystawił w 1843 roku duży murowany dom mieszkalny o charakterze pałacowym, usytuowany w narożniku ulicy Piotrkowskiej i Górnego Rynku, do którego przeniósł się w następnym roku. Odkąd fabrykant tu zamieszkał Górny Rynek zwano potocznie rynkiem Geyera.

Górny Rynek stał się bramą wlotową do miasta od jego południowej strony, stąd też chętnie otwierano przy nim karczmy i zajazdy. Do najstarszych w Łodzi zaliczał się zajazd Józefa Langer, założony w 1829 roku, mieszczący się w rynku, w drewnianym domku położonym „przy samym trakcie piotrkowskim”. Nieco później powstały tu dwa dalsze zajazdy Adama Fiszera i Wacława Bartosza. Ten ostatni mieścił się w dotąd zachowanym parterowym budynku, sto-

jącym u wylotu ulicy Rzgowskiej.

W 1845 roku Górny Rynek był już zabudowany drewnianymi i murowanymi domkami, ale nie posiadał jeszcze bruków. Na placu piętrzyły się stopy belek i desek, gromadzonych przez właścicieli na budowę domów.

Po roku 1854 Ludwik Geyer sprzedał place przylegające do zachodniej strony Górnego Rynku. Wreszcie w 1860 roku, zagrożony bankructwem, odstąpił swoją siedzibę Bankowi Polskiemu, który urządził tu swoją filię i magazyn (w oficynie) na przechowywanie zastawów, otrzymywanych od miejscowych przemysłowców w zamian za pożyczki.

W czasie powstania styczniowego gmach Banku Polskiego stał się miejscem pamiętnego wydarzenia, związanego właśnie z powstaniem. W nocy z 31 stycznia na 1 lutego 1863 roku do budynku tego wkroczyli powstańcy pod wodzą Teodora Rybickiego. Zbudowano kasjerę i w jego obecności przeliczono gotówkę w kasie. Było 18775 rubli. Całą sumę zabrano za pokwitowaniem na potrzeby sił powstańczych.

Na początku bieżącego stulecia Górny Rynek stał się ruchliwym punktem handlowym południowej części miasta. Tutaj znajdowała się krańcowa stacja kilku linii tramwajowych. Z tego też miejsca wybiegała elektryczna kolej dojazdowa do Pabianic. Wobec niewielkich rozmiarów placu jak i jego usytuowania u zbiegu kilku ulic, zaszła konieczność likwidacji istniejącego tu dotąd targowiska. Nie pomniejszono go do znaczenia Górnego Rynku jako ośrodka handlu. W

przyjętych do niego domach znalazły pomieszczenia sklepy różnych branż, wśród nich piekarnia, wędliniarnia i skład towarów „kolonialnych”.

Swoistym ośrodkiem zdrowia tej części miasta stał się dom Karola Obermana (ulica Piotrkowska 307). W budynku tym zamieszkiwali lekarz, felczer i dentysta. Felczer Ignacy Burzyński był postacią niezmiernie popularną wśród robotniczej ludności tej dzielnicy. Zwanego go „lekarzem ubogich”. Nieco później w tym samym domu znalazła również pomieszczenie pierwsza apteka w południowej części Łodzi, prowadzona przez wiceprezesa Stowarzyszenia Aptekarzy — Franciszka Winnickiego. Apteka, zmieniając właścicieli, przetrwała na starym miejscu do dnia dzisiejszego.

W domu Obermana mieściła się również cukiernia należąca do Ferdynanda Ulricha. Po wschodniej stronie rynku, w budynku Adolfa Bartosza (nr 5) znajdował się skład apteczny, a w podwórzu posesji — wynajem karet i powozów.

Górny Rynek był ulubionym miejscem przedwieczornych spacerów okolicznych mieszkańców. Niemalą zachętą dla odbycia przechadzki na „Górniak” stanowiły wystawy licznych tutaj sklepów. Odbywały się tu także koleżeńskie spotkania młodzieży, robotniczej jak również zawiązywanie nowych znajomości. Wspomina o tym popularna niegdyś w Łodzi piosenka:

Na rynku Geyera
Szuka panna frajera.
Kiedy go znalazła,
Na majówkę z nim polazła.

Należy tu wyjaśnić, że słowo „frajer”, zapożyczone z języka niemieckiego, znaczyło tyle co człowiek wolny, czyli kawaler.

Po śmierci autora „Ziemi obiecanej” w 1925 roku, dla uczczenia jego pamięci uchwałą Rady Miejskiej Górny Rynek nazwano placem Władysława Reymonta. Przy tej okazji zabrano nieco o wygląd rynku. Tory tramwajowe poprowadzono wokół placu, a pośrodku jego urządzono zieleniec. Władze miejskie zamierzały w tym miejscu wystawić w przyszłości pomnik Władysława Reymonta. Plan ów zrealizowany został dopiero w 1978 roku. Pomnik wielkiego pisarza ufundowali łódzcy rzemieślnicy. Plac Władysława Reymonta pod względem wystroju ar-

chitektonicznego przedstawia się ubogo. Jedyny budynek, który byłby godny uwagi, a mianowicie dawny gmach Banku Polskiego, niestety, zatracił swoje pierwotne cechy. W połowie lat siedemdziesiątych XIX wieku łódzka filia Banku Polskiego przeniesiona została na inne miejsce, a dotychczasowa jej siedziba nabył w 1877 roku kupiec Ferdynand Fischer, który stary gmach gruntownie przebudował dla potrzeb mieszkalnych, dodając mu przy tym drugie piętro i poszerzając okna. Na parterze budynku urządzono pomieszczenia na sklepy. Obecnie dawna siedziba Ludwika Geyera w niczym nie przypomina jej pierwotnego wyglądu. Natomiast budynek magazynu bankowego w podwórzu zachował się prawie w niezmienionej postaci. Zniekształceniu uległy również dwa domy parterowe przylegające do ulicy Piotrkowskiej. Jedynie nie stracił z dawnego charakteru niepokojny domek, położony po wschodniej stronie placu Władysława Reymonta u wylotu ulicy Rzgowskiej. W połowie XIX wieku takimi właśnie domkami obudowany był Górny Rynek.

WACŁAW
PAWLAK

Komu nagrodę „Odgłosów”?

Od czterech już lat, zawsze w maju, przyznajemy nagrodę „Odgłosów” za upowszechnienie kultury w poprzednim roku. Tak więc w 1988 roku przyznajemy nagrodę za upowszechnienie kultury w 1987 roku. Do redakcji — zgodnie z „Regulaminem nagrody” — napłynęły zgłoszenia.

Decyzją dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego powołane zostało jury czwartej edycji nagrody „Odgłosów” w następującym składzie:

— Lucjusz Włodkowski — przewodniczący
— Zofia Kędziora — sekretarz
Członkowie:
— Jacek Jędrys — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe
— Zdzisław Szymor — Wydział Kultury i Sztuki UML
— Andrzej Kempa — Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Oddział w Łodzi.
— Marian Zdrojewski — Oddział Łódzki SD PRL
— Edward Szuster — Oddział Łódzki ZLP
— Zenon Płoszaj — Akademia Muzyczna w Łodzi.
— Hanna Łabęcka-Dunajska — PWSSP w Łodzi

Jury zbierze się w najbliższym czasie. Członków jury powiadomimy o terminie spotkania pisemnie. Wręczenie nagrody odbędzie się w drugiej połowie maja 1988 roku. Uroczystość tę połączymy z jubileuszem trzydziestolecia pisma.

WOJEWÓDZKA KOLUMNA TRANSPORTU SANITARNEGO w Łodzi

ogłasza

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż n. wymienionych pojazdów:

Lp.	Marka	Nr rej.	Rok prod.	Nr silnika	Nr podwozia	Proc. zużycia	Cena wywoławcza
1.	P. Fiat 125p	LDB 631E	1984	844239	1018494	70	538.000,—
2.	P. Fiat 125p	LDB 671E	1984	968560	1018151	70	538.000,—
3.	P. Fiat 125p	LDB 306P	1984	843101	1021395	75	448.000,—
4.	P. Fiat 125p	LDB 617E	1984	949196	1017492	75	448.000,—
5.	P. Fiat 125p	LDB 311P	1984	964002	1023132	75	448.000,—
6.	UAZ	LDA 888N	1978	01105305	286349	75	292.000,—
7.	UAZ	LDP 644B	1980	81004258	408026	75	292.000,—
8.	Żuk A 11 B	LDA 179S	1982	377704	371006	70	409.000,—
9.	Nysa towos	LDB 968E	1984	829133	296329	65	601.000,—
10.	Nysa towos	LDB 966E	1984	774856	296327	70	515.000,—
11.	Nysa towos	LDB 964E	1984	811897	296206	70	515.000,—
12.	Fiat pick-up	LDB 151B	1983	521788	1010238	70	445.000,—

Wymienione pojazdy można oglądać w dniu 11.05.1988 r. na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2 w godz. 8—10.

Przetarg odbędzie się w dniu 11.05.1988 r. na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2 o godz. 11.

Zainteresowani winni wpłacić wadium w dniu oględzin do kasy przedsiębiorstwa w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej.

W przypadku niedojścia do skutku przetargu pierwszego drugi przetarg odbędzie się w dniu 25.05.1988 r. o godz. 11 na terenie WKTS w Łodzi. Zastrzega się prawo odwołania przetargu lub wycofania niektórych samochodów bez podania przyczyny oraz zmianę cen wywoławczych.

Za występowanie wady ukryte w pojazdach zakład nie ponosi odpowiedzialności oraz nie uzupełnia braków.

1188/K



Górny Rynek (plac Reymonta) na początku XX wieku.

Wydawać by się mogło, że w czasach rozpowszechnionej indolencji każdy przejaw aktywności, zaradności, każda inicjatywa mogąca uwolnić nas z oków beznamiętności, by mogła owoć. Niestety. Tak dalece oświadczyliśmy się z ową indolencją, tak przygnębia do nas — niczym przysłowiowa koszuła do ciała — że w przeciwnych zachowaniach dopatrujemy się natychmiast czegoś podejrzanego. Dzięki temu, na drugim biegunie indolencji, rozsiadła się i zadowoliła podejrliwość.

Podejrliwość towarzyszy nam na co dzień — w życiu prywatnym, społecznym, w pracy, na ulicy. Wszędzie i na każdym niemal kroku Podejrzanym staje się ten w pracy, kto bez szemrania i głośniego utyskiwania pozostanie po godzinach i gdy trzeba wykonać pilną pracę. Ten, kto w godzinach pracy pracuje, nie wychodzi z swoich sprawach, do sklepu po zakupy i nie korzysta z telefonu służbowego do prywatnych rozmów. Podejrzanym jest urzędnik, który zawierzy petentowi i nie żądając zaświadczeń załatwi sprawę. Petent, który zażąda od urzędnika załatwienia czegoś, co do niego należy. Każdy kto podejmuje się jakichś społecznych obowiązków i, nie licząc na profit, solidnie się sprawuje. Ten jest podejrzanym, kto bezinteresownie pomoże, przyjdzie z pomocą potrzebującemu. Podejrzanym jest człowiek, którego dawniej nazywaliśmy „dobrze wychowanym” i który do dziś pierwszy mówi komuś „dzień dobry”, ustępuje miejsca, przepuści kogoś przed sobą, a już nie daje panie poprobuje pomóc, wyręczyć w niesieniu ciężkiej torby z zakupami — oho! Takiego natychmiast oszczęca pytania pełne podejrliwości: głupiec to, słabeusz, lizus, czy też inny niedziśnisi dziwoląg?!

Tak dalece oświadczyliśmy się z podejrliwością, tak się ona w nas zagnieżdżyła, że to my w najdziwniejszych sytuacjach udowadniając naszą niewinność, potwierdzamy przed urzędnikami nasze racje albo, że coś się nam należy itd. itp. Podejrliwość tak nas oszczęca w codzienności, że w różnych sytuacjach na zapas czujemy się winni. Wtedy np., gdy pan milicjant, bez słowa przeprasza, rutynowo nas legitymuje (no bo ktoż to widział, aby podejrzanego przeproszał). Na zapas czujemy się winne kierownikowi sklepu i sprzedawcy, gdy przychodzi społeczny bądź zawodowy kontroler (a jest ich bez liku!) i nie przeprosiwszy — nie mówiąc już o przeproszeniu kupujących, tych powszednich sklepowych natrętów! — zabiera się bez słowa do udowadniania winy. Jakiejś tam winy. Im więcej bowiem kontroli tym więcej podejrliwości, im więcej podejrliwości tym więcej winy, im więcej winy, tym więcej... niewiary. W ludzi!

Proporcjonalnie do rozpowszechnionej podejrliwości panoszą się niewiara. Na wszystkich szczeblach i płaszczyznach. Przejawia się ona pod różnymi postaciami. Oto mamy drugi etap reformy, z którą większość co rozsądniejszych obywateli wiąże wielkie nadzieje. Tyle że nawet ci najrozsądniejsi, nie doczekawszy się

Nic nie robić, to... normalne

Te podejrzone typy!

wiary we własne siły, dobre chęci, intencje i możliwości, stają się niedowiarzami, słusznie utrzymując, że to „wszak na tych piętach, gdzie powstały piękne koncepcje nie uwolniono się od głęboko zakodowanej podejrliwości.

Wzemy pierwszy z brzegu przykład. Z dziedziny kultury, jako że na jej obszarach krępią się przepisy, przepisów, czy czołówek bez gorsetu utkanego z przepisów będzie się właściwie poruszać!

Dla nikogo nie stanowi już dziś tajemnicę społeczne skutki niepomaganego wzrostu cen książek — spadek zakupów, czytelnictwa itd. A zatem i konsekwencje — jakże dalekosiężne, odnoszące się do podstawowej i niezastąpionej potrzeby do intelektualnego rozwoju narodu. Wydawać by się więc mogło, że — skoro już powstała taka bariera w dostępności do książki — zgodnie z podstawowymi zasadami ustrojowymi w dwójnasób zagwarantujemy dostępność do książek z bibliotek publicznych, że te placówki zwiększą zakup książek a skromne środki jakie posiadają wykorzystane będą na zabezpieczanie posiadanych zbiorów i na takie poczynania, które poszerzą krag czytelników. W jaki sposób? A no bodaj w taki — np. znany w wielu regionach kraju — że skoro nas nie stać na budowę nowych placówek stworzymy całą sieć punktów bibliotecznych w prywatnych mieszkaniach, np. emerytów, dla których książka jakże często jest jedynym przyjacielem. Rzecz tylko w tym, aby ktoś zechciał taką formę zaakceptować, spopularyzować, zagwarantować systematyczne dostawy i wymianę książek. I, rzecz zrozumiała, jakąś godziwą zapłatę.

Ten sposób przybliżenia książki czytelnikom jest dość rozpowszechniony np. na koszański i słupskiej wsi, gdzie sieć punktów bibliotecznych sięga kilkuset (w pierwszym przypadku — 443 punkty, w drugim zaś 289). W takim punkcie znajduje się jednorazową około 200 książek, a korzysta z nich średnio około 60 czytelników. Niestety, liczba punktów maleje ponieważ ci zapaleny otrzymują zaledwie raz na kwartał skromne „nagrody” miast normalnej zapłaty. W obecnych warunkach, prócz tego, że ktoś jest miłośnikiem, musi jeszcze... jeść.

Albo inny przykład: Czy środki jakie posiadają w swojej dyspozycji biblioteki mogą być i są racjonalnie wykorzystane? Pozornie oczywiście odpowiedź wcale nie jest taka oczywista. No bo to, że kierownik biblioteki ma w budżecie ileś tam tysięcy złotych wcale nie oznacza, że zdolny jest postanowić, jak te środki zagospodarować — wydać na zakup nowych książek, czy na ratowanie bądź zabezpieczenie posiadanej księgozbioru? Ile i na co może wydać decyduje za niego... wojewoda. Tęto wymaga przepisów!

„Ubezpieśnienie” oznacza pozbawienie kogoś całkowicie lub częściowo zdolności do czynności prawnych, zwykle z powodu jego choroby psychicznej, alkoholizmu lub narkomanii. Ludzie, którzy pracują w placówkach kultury (mamy w kraju ponad 16 tys. domów kultury, klubów i świetlic, a w nich blisko 33 tys. zatrudnionych), nie tylko są w znakomitej większości zdrowi na umyśle, wolni od nalogów, lecz mądrzy i pracowici, pełni inicjatywy i ofiarności. Może dlatego, że tacy właśnie są, rozlicznymi przepisami i zarządzeniami traktuje się ich jak umysłowo niepełnosprawnych. Kierownik placówki, który zaprzagnąłby miast 10 zatrudnić 2 pracowników — i robić jeszcze więcej i lepiej na użytek środowiska — aby tylko mógł z posiadanych funduszy dobrze wynagrodzić kogoś należy, uczynić tego nie może, gdyż nie pozwalają na to przepisy. Nie pozwalają też przedsiębiorczemu kierownikowi rozwijać działalności np. zarobkowej, bo kto to widział, żeby zarabiał? Może najwyżej nie robić nic! Wtedy będzie dobrze i... normalnie! Tam bowiem gdzie coś nienormalnego staje się normalnym, tam normalne staje się nienormalnym, a więc... podejrzanym.

MARIAN ZDROJEWSKI

Przerwa śniadaniowa

Kto powiesi Janosika!

— Pan słyszał, panie Heniu że kultura ma też zostać zreformowana w ramach drugiego etapu?

— Panie Darczku, co pan tu opowiadasz, przecież kultura ma być nadal, prawda, dotowana i chodzi o to, żeby nadal służyła najszerzszemu warstwowi — pan Zenek, jak zwykle pryncypialny i odpowiedzialny za słowo.

— A bilety do kina jak zdrożały! Jeju! jeju! — pani Lala aż się złapała za głowę, nie bacząc, że deformuje sobie kunsztowną koafiturę.

— Jeśli pani chodź na jakieś „wielkie żarcie” dajmy na to, to musisz pani zapłacić. Pani sobie wyobrażasz, ile za takie żarcie trzeba zapłacić w restauracji? A popatrzyć też nie ma za darmo...

Wreszcie odezwał się pan Henio: — dajmy wreszcie dość do słowa panu Darkowi. O co chodzi w tej reformie? Jak kultura ma być zreformowana?

— Kultura, jak kultura, tu zdrożeje, tam się coś innego zmieni i już. Ale sztuka, prozę państwa, sztuka ma być zreformowana! Żeby treści różnych dzieł odpowiadały potrzebom zreformowanej ekonomicznie społeczności! Na początek pójdą bajki dla dzieci.

— Jak to? Nic nie rozumiem... — samokrytycznie zaczęła się panna Kalinka.

— Zaraz wytłumaczę. Weźmy, dajmy na to, takich siedmiu krasnoludków i te... no, królewne. Gdzie pracowały krasnoludki? No gdzie?

— One śpiewały: „hej ho, hej ho, do pracy...”

— Nie chodzi o to co śpiewały. Ale gdzie one tak do tej pracy maszerowały?

— One jakieś kilofy niosły... — zastanawiał się pan Zenek — do kopalni może?

— Słusznie! A pan wiesz, dajmy na to, jakie to jest niebezpieczeństwo ekonomiczne wszelkie kopalnictwo i inne prace kopalnicze w ziemi? Wszystkie kopalnie są deficytowe! Krasnoludki, jeśli mają dzieciom dać dobry przykład gospodarności, muszą pracować w spółce polonijnej! A królowna? Czy ona w ogóle gdzieś pracowała dajmy na to? Nigdzie! Pasożyt społeczny. Natomiast w naszych warunkach królowna może zostać miss Polonia i dostać nagrodę od siedmiu krasnoludków z firmy polonijnej! Proste? Proste!

— No a co z Czerwonym Kapturkiem? — zaniepokoiła się panna Kalinka.

— Też się reformuje. Kapturek niósł do babci jakieś smakołyki i butelkę wina. To się rozmija z rzeczywistością! Działaj nikt do babci nie chodzi z butelką tylko po butelkę! Babcia prowadzi melinę czyli metę i Kapturek idzie do niej po napoje wysokowe przez trzy-nasta! Jest obserwowany przez obywatela Wilka, miejscowego dzielnego, który chytrze indaguje Kaptureka i dokonuje przeszkukania w miejscu babci meliny. Babcia i, dajmy na to, Kapturek, jako klientka stają przed Kolegium i bu! —

— No a leśniczy?

— Nie ma nic do roboty, las dawno wycięty. Przy okazji — Kapturekowi zmienić się kolor na wszelki wypadek.

— Już się domyślam, jakie będą życzenia rybaka, który złowi złotą rybke! — uśmiechnął się pan Henio.

— Nie się pan nie domyślasz. Jeśli on złapie tę rybke, to życzenia będzie miał do niego Polski Związek Wędkarski. On mianowicie, ten wędkarz, ma tę rybke zmierzyć, zważyć, ustalić płeć, określić czas polowu i temperaturę wody, następnie to wszystko opisać w trzech egzemplarzach i przekazać najbliższej jednostce PZW. Czy w takiej sytuacji on będzie miał jakieś życzenia? On tę rybke, dajmy na to, złotą, natychmiast wypuści i jeszcze się rozzejrzy uważnie czy ktoś tego nie widział, bo może zakablować...

— No a nasze legendy lu-

dowe? Na przykład o Wandzie co nie chciała Niemca albo góralska o Janosiku — tu znów zaniepokoiła się pani Lala.

— O Wandzie w ogóle odpada. Jeśli Niemiec jest z RFN, to go zechce każda Wanda! Z Janosikiem, to jest dajmy na to trudniejsza sprawa. Będzie rozstrzygnięta wspólnie przez ministra finansów i ministra zdrowia i opieki społecznej. Trzeba będzie dokładnie ustalić, komu ma odbierać, a komu rozdać...

— Ale Janosika powiesili!

— W następnym etapie reformy, po zniesieniu dotacji i zwiększeniu podatku od darowizn znów się go powiesi!

KAROL K.

2

Lewym okiem

Tysiące białych plamek

Białe plamy, to słowa, które robia dzisiaj bajeczną karierę. Dowiadujemy się o sprawach świadomie przemilczanych i starannie, pieczołowicie załączanych. Widnieć robi się wokół nas, lżej oddychać. Ale oprócz wielkich ksiąg, pełnych niezapamiętanych stron, które teraz chcemy uzupełnić, mnóstwo także, na każdym kroku, małych książeczek i notesików strasznych również niezapamiętanych kartkami. Chcę tu mówić o sprawach doskwierających jak kamyk w butcie, jak dzwaga za paznokciem, o sprawach, których nikt nam od kilkadziesiąt lat wyjaśnić nie potrafi, czy nie chce.

Jan Pietrzak w swym kabarecie mówił, że tych spraw wyjaśnić się nie da, że trzeba przyjąć po prostu ich nieuniknioną, absolutną konieczność, że tak musi być i koniec. Ale to jest wyjaśnienie kabaretowe. A ja bym chciała usłyszeć chociaż raz uczciwą, rozsądną odpowiedź na przynajmniej niektóre z następujących pytań.

Dlaczego przez czterdzieści lat nie ma na rynku dostatecznej ilości papieru higienicznego? Miałem ochotę to pytanie rozszerzyć — dlaczego nie ma papieru w ogóle — skoro przez kilkanaście lat pisało i mówiono o budowie ogromnych papierni, które miały rozwiązać problem absolutnie i do końca. Ale pozostawmy przy tym małym kawałeczku sprawy, przy papierze toaletowym. To przecież najgorszy gatunek papieru, wymagający najmniejszych zabiegów produkcyjnych, najmniejszego wkładu surowcowego. Co się dzieje, niechże to ktoś raz wyjaśni, na czym polega dowcip że tak prostego produktu nie możemy pozyskać w dostatecznej ilości?

Drugie pytanie: dlaczego od kilkadziesiąt lat numeracja czyli tzw. rozmiarowzrosty naszej odzieży, lekkiej, ciężkiej i nijakiej, naszego obuwia jest ciągle tak chaotyczna i nieprostu nie oznacza? Nie można pójść do sklepu i powiedzieć: poproszę koszulę 41, rekawy podłużone, wzrost taki i owaki. Nie można, bo to co jest wydrukowane na wywieszce, wypełnionej dziesiątkami różnych liczb, jest prostą nieprawdą. Same sprzedawcy nie mówią: ten płaszcz na metce ma rozmiar 52, ale niech go pani przymierz, bo to bardzo różnie bywa. To nie jest wcale zjawisko powszechne. Te wszystkie metki są przypięte w zakładach produkcyjnych byle jak, niech ktoś raz powie dlaczego to jest taki straszny problem?

Trzecia sprawa: Dlaczego remont mieszkania, dosyć gruntowny, trwa 3 do 8 dni — przy czym przy odrobinie dobrej woli i smykałki organizacyjnej ten czas także można

by skrócić o połowę — a jednocześnie remont lokalu sklepowego, mniejszego i z mieszkaniami, trwać musi cztery lata? Niech ktoś raz wytłumaczy dlaczego nie przystępuje się do remontu mając najpierw przeniesioną drabinę i wiaderka z cementem i wapnem? Dlaczego przedsiębiorstwo remontujące przyjmuje zamówienia od czterdziestu sklepów naraz a potem nie remontuje żadnego? W czym tkwi tutaj jakiś postępowy paraliż, jaka jest prawdziwa przyczyna tego horrendalnego zjawiska?

Dalej: przeczytałem niedawno, że w pewnym wielkim mieście nie ma szaleństw publicznych, bo ogromny koszt ich budowy nie mieścił się w skromnym budżecie miejscowej rady narodowej. Ktoś wyliczył, że budowa jednego szaleństwa kosztowała około piętnastu milionów złotych. I znów chciałbym koniecznie zapisać na tej małej, a dręczącej swą białością, karteczce, dlaczego to budowa tak prymitywnego urzędu, ma kosztować 15 milionów, kiedy budowa dobrze wyposażonej willi kosztuje około 10, no 12 milionów? A może wystarczyłoby ograniczyć trochę reprezentacyjne ambicje rady narodowej i zamiast podziemnego pałacu, pełnego wygód, oczywiście nieuczciwych, zbudować przybytek skromniejszy, a równie użyteczny?

No cóż, takich pytań miałbym jeszcze wiele tysięcy. Te małe, białe plamki zlewają się w jedną wielką, ponurą szarość, tym bardziej że jestem prawie pewien, że wyczerpujących, uczciwych odpowiedzi na żadne z tych pytań nie otrzymam. Już pewnie przedziwiałem się dlaczego archiwum ONZ, dotyczące zbrodniarzy wojennych, hitlerowskich uchylono dopiero teraz, czterdzieści lat po wojnie, kiedy przecież już w czasie wojny wielkie mocarstwa zarwały fundamentalne postanowienie o ściganiu zbrodni wojennych...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Wyścig na niby i ratunek dla ŁKS

Usłyszałam rano w radiu, że Marek Szerszyński i Andrzej Mierzejewski zlekceważyli rywali w wyścigu Szlakiem Grodów Piastowskich i stracili do lidera 14 minut. A następnego dnia znów usłyszałam, że obaj wycofali się z wyścigu. Przypomniało mi się, jak to niedługo tuż polskiego kolarstwa Ryszard Szurkowski i Stanisław Szozda lekceważyli kolegów i wlekli się w ogonie różnych krajowych wyścigów, w których brali udział z obowiązku, a nie dla prawdziwej walki.

— „Nie jedziemy po wynik” — powiedział Tomaszowi Jaroniowskiemu z „Przeglądu Sportowego” Ryszard Szurkowski. — „Starty traktujemy w zależności od potrzeb zawodników. Dalsze miejsca kadrowców nie będą zatem zaskoczeniem. Kolarze nie muszą się eliminować, gdyż wiem, na co stać każdego z nich”.

To po co jadą w tym wyścigu? Ryszard Szurkowski wie — i mówi o tym publicznie — że obaj kolarze mają „zaklepane” miejsca w drużynie, która ma wziąć udział w 41 Wyścigu Pokoju, który rozpocznie się 9 maja. Więc po co ta zabawa? Dla kogo? Co to ma wspólnego ze sportową walką? Przecież to po prostu demoralizacja i lekceważenie tych, dla których jest to rzeczywista rywalizacja, a którzy niejako już z góry muszą czuć się jako kolarze gorszej jakości, biorący

udział w wyścigu rozgrywanym „na niby”. Albo się o coś walczy, albo to w ogóle nie ma sensu.

Cóż jednak robić, skoro Mistrz też brał udział w takich „na niby” rozgrywkach wyścigach i dla niego to „normalka”. A dla kibica? Przecież kibic ma prawo czuć się oszukany. Dowiaduje się bowiem, że cała ta walka, to żadna walka, tylko taka zabawa. Dla kogo? I kto się bawi? Kolarze sami ze sobą?

Ale poczekajmy jeszcze kilka dni. Ruszy 41 Wyścig Pokoju i zobaczmy, jak to się nam wspaniali kolarze naprawdę do tej walki przygotowali. Tu nikt nie będzie nic udawał. Tu nie będzie ulgowej taryfy i walki „na niby”.

„Łódzianom współczujemy i życzymy szybkiego powrotu do grupy najlepszych, tak by hokej w centralnej Polsce nie zaginął!” — napisał „Przegląd Sportowy” i trudno się z tymi „kondolencjami” nie zgodzić. A „kondolencje” złożono ŁKS z powodu odejścia hokeistów z ligi. Byłoby chyba szkoda, gdyby w Łodzi hokej zaginął, bo już cierpi na uwiad. A od uwiadu do śmierci jeden tylko krok.

Łódzki Klub Sportowy — jak to wiadomo — przeżywał poważny kryzys finansowy i groziło mu bankructwo. Sport wymaga pieniędzy. Kiedyś te pieniądze na kluby były fabrykanci, później finansowaliśmy je z państwowego budżetu, potem pomagały związki zawodowe i fabryki, a teraz mamy reformę i nikt nie chce dawać pieniędzy. Kluby muszą się same finansować, a to nie jest łatwe.

Do ŁKS przyszedł człowiek, o którym dziś pisze się z uznaniem, choć jeszcze nie tak dawno ten i ów dziwił się i prorokował, że Andrzej Grzelek przyczyni się do dalszego upadku. Ale, nie przyczynił się. Przeciwnie, wyciągnął ŁKS z długów. I to nie dotacjami, a działalnością gospodarczą i oszczędnościami.

Dziś ŁKS ma Zakład Budowlano-Remontowy i Projektowania, Biuro Zleceń, Gabinet Odnowy Biologicznej pracujący na zasadach spółdzielni pracy, na stadionie odbywają się giełdy i ma powstać kino non stop z filmami sportowymi i filmami z wyjazdowych meczów ŁKS. Szeroko rozpisali się o tym Zbigniew Wojciechowski w krakowskim „Temple” i Michał Strzelecki w tygodniku „Piłka Nożna”. Obaj też wyrazili wątpliwości, czy taka działalność ŁKS „przystoi” klubowi bądź co bądź sportowemu. Zbigniew Wojciechowski stwierdził, że najpierw był „Fiat” — fabryka samochodów, a później „Juventus” — klub sportowy. W Łodzi dzieje się jakby odwrotnie. Osiemdziesięcioletni „stary” ŁKS zabrał się za budowanie fabryk. No, może nie fabryk w pełnym tego słowa znaczeniu, ale przedsiębiorstw. Co to ma wspólnego ze sportem?

Może bym i podzieliła te wątpliwości, gdybym nie wiedziała, że nie może być rozwoju sportu bez pieniędzy. Sport wymaga pieniędzy i to dużych. Jeśli hokeiści rzeczywiście mają wrócić do grona najlepszych, to ŁKS musi „zaangażować” w rozwój tej sekcji. A pieniądze nikt mu na to nie da. Zatem — tak sobie myślę — czas skończyć z odzucianiem pięknotuchów, którzy uznają „czystą” działalność społeczną lub gospodarczą. Jeśli ktoś robi krawaty, to już mu nie innego robić nie wolno. Ale zapanowała moda na chodzenie bez krawatów i fabryce grozi krach. Czyż nie ma prawa przenieść się na coś innego? A te! — wykrzykną niektórzy — to nie uchodzi. Lepiej więc niech fabryka zbankrutuje, a ludzie pójdą na bruk.

Podobnie jest w sporcie. Jeśli ŁKS znajduje sposoby na zarabianie pieniędzy, które mają sportowi służyć — a to jest warunek niepodważalny — to niech zarabia, jeśli na dodatek jest to zgodne z przepisami. Taki jest bowiem duch i sens reformy. Nie czekać na mannę z nieba, ale samemu się finansować. Życzę powodzenia!

BOGDA MADEJ

Gino wypożyczył swój prywatny samochód swemu kumpelowi;

Kumpel oddał mu wóz z przestrzeloną karoserią i pokrwawioną tapicerką wraz z gotówką na zakup nowego;

Uszkodzony wóz zaczął natychmiast dać do sprasowania na złom i sprasowania dopłnować;

Bojąc się trzymać przy sobie tyle pieniędzy, sprasowanie Gino zostawił właścicielowi cmentarzysty samochodów, sam zaś taksówką pojechał do auto-dealera po nowy wóz.

Właściciel cmentarzysty samochodów, niejaki Harry Pigeon, miał na składowisku ten sam model chevroleta, w tym samym kolorze, poturbowanego w kraksie. Pod prasę poszedł ten wóz, wóz Massiniego, po wymianie tapicerki i zaklajstrowaniu przestrzału, sprzedał hodowcy bydła z niedalekiego Riverville.

Do Jacht Klubu Braddocks przybył tym właśnie wozem.

Jeden z dwóch strzałów oddanych przez Skale okazał się celny. Ugodził siedzącego w tyle wozu brata strzelca wyborowego, kolegi Massiniego z Wietnamu, z zawodu tresera psów...

Pasażer chevroleta, Billie Jearn był notowany w kartotekach policyjnych za różne nie udowodnione przestępstwa.

Według oświadczenia jego kochanki, w przeddzień wypadku opuścił Seattle i udał się w nieznanym kierunku, może na wschód, może na południe kraju. Billie — policja chyba wie o tym — lubi ruch, jak wróci to się zgłosi. — W przeddzień jakiego wypadku? — spytał Braddocks. Kobieta wzruszyła ramionami. — Jakiego? A skąd mam to wiedzieć, tyle wypadków zdarza się każdego dnia.

Można by stawiać dalsze punkty, jak na przykład dającego poręcznik Charger nie podjął tropu z psem, dającego...

W przesłoniętych dymem z cygara oczach właściciela luksusowego, za półtora miliona dolarów, jachtu, Braddocks uchwycił sceptycyzm.

— Zdać się, że jestem zbyt drobniogłowy — powiedział. — Przepraszam.

— Bynajmniej. Zrobiłeś dobrą robotę detektywistyczną. Gratuluje, Jim.

Duncan słyszeć z wpływów, pieniądze i z dobrych manier. Braddocks podziękował.

— A teraz spójrz na te niewątpliwie rewelacje oczami obrońców oskarżonych — usłyszał. Jak oni zakwalifikują je w sądzie?

— Jako odwet za zabójstwo brata.

— I tym samym z problemu politycznego zrobią zabójstwo w afektie, czyli pospolite. Zgadzasz się ze mną?

— Tak. W tym ujęciu to nie jest rzecz na rangę twojego pisma. Przykro mi, że cię facygowalem, Cliff.

Przed roztaniem się na parking Duncan powiedział:

— Śmierć Skali wydaje mi się całkowicie daremna. Siłoch z piast i tak nie oczyszcimy, ale ludzka rzecz jest próbować. Pozwól mi to przemysleć.

Już siedząc w wozie spytał:

— Czy Massini potwierdził swoje zeznanie przed sądem?

— Dysponuję przeciwko niemu tak zwanym argumentem nie do odrzucenia.

— Trzeba więc zadbać, aby przedtem nie wydarzył się mu jakiś wypadek... Dobranoc, Jim.

Misza żalobna, koncelebrowana przez katolickich biskupów Seattle, Nowego Jorku, Chicago, Detroit, Cleveland odbyła się w kościele Świętej Trójcy.

Trumnie nakrytej sztandarem Stanów Zjednoczonych złożyli część przedstawicieli sił zbrojnych, władz miasta i stanu. Wśród licznych delegacji zauważono attache wojskowego ambasady brytyjskiej.

Zwyczajem amerykańskim oddanie zwłok zmarłego odbyło się w wąskim gronie rodziny. Samotnej Helen towarzyszyły panie Sue Madison, eks-kapitan policji Jimmy Braddocks, Cindy, przedstawiciel Boeinga dyrektor Barry Hart wiceburmistrz miasta Stanley Ward wraz z małżonkami. W niewielkiej odległości od grupki żalobników stali na czarno ubrani Maynard Jackson i All Connolly, bez żon.

Przy dźwiękach „Ostatniego pożegnania”, odegranego przez trębaczów i salwach honorowych plutonu kadetów Akademii Lotniczej z Colorado Springs, trumna ruszyła w swoją ostatnią drogę.

Chmury, wiszące nad miastem od wczesnego rana, ustąpiły na tę chwilę miejsca słońcu. Helen nie płakała. Stała nad grobem już pogodzona ze światem. Może płakała, ale pod czernią welonu nie było widać. Gdy trumna spoczęła w ziemi, podniosła umęczoną twarz ku słońcu i trwała tak, dopóki z odrętwienia nie wyrwał jej głos księdza proboszcza Franka Kowalskiego.

And do not wonder, Lord,
That the world is as cruel
As it is.
For it is the way —
We, mankind, have done it.*

(I nie dziw się, Panie
Ze świat jest taki okrutny
Jak jest.
Bo jest taki,
Jakim ludzkość go uczyniła.)

Stary proboszcz odwrócił się ku Helen i uczynił nad nią znak krzyża. — Boże — do-
dał po polsku — pomóż temu biednemu dzie-
cku.

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

21

LEONARD

Trzy godziny później na lotnisku Seattle-Tacoma International wyładowała pani Catherine Skala.

IN MEMORY OF...

Powietrzało Podwieńcać okna, włączyć wentylatory!

A Africa-Aid śmierdzi szczytami odchodami. Gdy się ściemni, wystarczy zgasić światło, które w mrocznych pomieszczeniach pali się nieprzerwanie, a wylaża ze swoich nor w dawnych stajniach i rynnami, rurami kanalizacyjnymi wciągają swoje bure cielska na piętra, aby zza listew podłóg, pewne swej bezkarności, przyglądać się swoim nowym współmieszkańcom. Wozy konne wiktoriańskie straży ogniowej dawno poszły do pieców hutniczych, wsa-
dci strażacy w paradyżnych hełmach przeniesli się do krajów ojcow. Akt dzierżawy opisujący z angielską skrupulatnością stan posesji przy Cliff Street 16 w chwili zawierania umowy, nie o jej stałych właścicieli nie wspomina. Gryzoniom to nie przeszkadza. Po ich obecnych sublokatorach w białych koszulach z rozluźnionymi kołnierzykami, odzywających się do siebie przyjaźnie, po imieniu, niedługo ostanie się tylko szyl, one pozostaną tu nadal, nie zagrożone w swym stanie posiadania. Bo szczyry, w przeciwieństwie do dwunożnych stworów w białych koszulach, jakie się tu za dnia kręca i wdzierać fałszywie jeden do drugiego, są wobec siebie lojalne.

Zdrada. Słowo duże, małe, treść zawsze ta sama.

Ostatnie wątpliwości Davida Attentowna roz-
wiał się, pozostały nagie fakty: wszyscy wokół niego są zdradźcami. Ron z tą dziwną Nan-
cy, w której on dopatrywał się świętości. Ted Cullinan, Alex Zagora, do tego towarzysza dołączył teraz Andy. Wypróbowany przyjaciel. Gdyby się zajął klejeniem romansów, odniósłby sukces — ten gatunek pisarstwa zawsze znajdował nabywców. Ale temu, jak to z idea-
listami bywa, zaświtała we łbie naprawa świa-
ła. Część ich niewiernej pamięci!

Gra mi na nerwach ta jego zabawa z nała-
dowaną słuwa, gdy przemawia do nas. Albo niewyżyte ciagoty wodzostwa go rozpiekają, albo to jeszcze petak.

Mógłby się skraćcać. Znamy to na pamięć, ale niech mu tam Słuchalem z nogami na o-
parciu fotela Alexa Zagory.

Trasa podzielona na trzy etapy. Te i inne związane z marszrutą szczegółów walcowaliśmy przez pół jednej nocy i pół drugiej, klóściliśmy się z powodu jej wyboru, zdołała na nią opiliśmy kartonami Ballantine'a w trzecia noc, aby po nieprawdopodobnych harcach z dziwkami, trwającymi do białego rana, powrócić do sprawy siedząc już na spakowanych kłopotach. Ta gnołowa w burdelu to wstęp. Kwa-
rantanna. Czeka nas długa kąpiel w gównach, a nie można tak od razu w szambo bez wste-
pnego poćwiczenia w mniej śmierdzących dol-
kach. Bilety w garści: Paryż — Nairobi, Nai-
robi — Johannesburg, stamtąd prywatnym sa-
motem do Gaberones w Botswanie. GABE-
RONES. Długo szukałem tej dziury na szcze-
gółowej mapie RPA. W Nairobi przeimie nas wysłannik pracodawcy, podobno facet — pla-
ster miodu. Zresztą sami zobaczymy.

Ron Humber rzucił na stół pięć kopert.

— Wasze paszporty i zaliczka. Aż do upły-
wu kontraktu ty, Andy, jesteś Szwajcarem w Zurichu, wszędzie po drodze porozumiewasz się po niemiecku, jako urodzonemu w niemie-
ckojęzycznej Szwajcarii nie sprawi ci to kło-
potu. Rezerwacja miejsc w samolocie oraz po-
koj w New Stanley Hotel w Nairobi potwier-
dzona. Reszta, jak omówiliśmy. Odlot z lotni-
ska de Gaulle'a. Za godzinę przyjeżdżała po nas samochody. Macie jakieś pytania?

Małpowany ton swego szefa, ale stylizyka własnego chowu. No i ta słuwa. Nie chiał-
bym być jego podwładnym.

New Stanley — najlepszy hotel w Afryce Wschodniej. Pięć pobrzekulających prawdziwym złotem gwiazdek w największym burdelu świata, powiada Ron, który nie bez podstaw uważa się za globtrotera. Noc w New Stanley dobrze nam zrobi. Tamtejsze dziewczyny wy-
brane z najlepszych i przed użyciem spraw-
dzone pod mikroskopem, bo syf tam na każ-
dym kroku, dobrze nam zrobi. Trzeba opróż-
nić ją, powiada Ron, adw. później dup dużo wachać nie będziemy.

Pytań nie ma. Jak znam Davida Attentowna, z momentem przyklepania umowy pytań nie przyjmuję do wiadomości. Moi towarzysze ledwie krwią znużenie. Noc w Lido i w Alca-
zarze jeszcze z nich nie wyparowała. Tylko podkrecony prochami Dustin uśmiecha się glu-
pawo.

Jemu kobiety do szczęścia niepotrzebne. Ani one, ani alkohol. Jego luba ma na imię He-
roina, on na pewno dotrzyma jej dożgonnej
wierności. Dzienna dawka podniósł do... Kto
go wie: przyznał się do czterech-pięciu strza-
łów. Warunkiem angażu było zerwanie z na-
logiem. Solennie to przysięgi. Jak tylko odlo-
ży nieco dołców, wróci do kraju i zerwie.

Najpierw wróci, potem zerwie, czy odwrot-
nie — tego przed złożeniem podpisu na umo-
wie nie ustalono. Ale to bez znaczenia. Nie
wiem, do czego nam taki Dustin. Jego wpad-
ka w Wietnamie nie była potknięciem nowi-
cusa. Strach przed walką jest w nim zapro-
gramowany, jak kogoś takiego można wciągać
do tej roboty Według Rona — można. W Wie-
tnamie strzelano do Dustina „tam” broń no-
sić będzie tylko jedna strona a to różnica.

Mówi jedna, niech będzie jedna. Oby tylko
jak najprędzej uciec z tej nieprznocej Euro-
py.

Konspiracja naszej wyprawy nikogo nie
dziwi. Podział trasy zmiana koni po drodze,
gdy można jednym skokiem, lewe paszporty —
w tej profesji inaczej być nie może. Murzyni
robą w ONZ wielki rwetes wokół białych na-
jemników. Boja się ich bardziej niż byłych ko-
lonizatorów. Uważają za gorszych od SS. Nie
bez powodu trzęsa przed nimi portkami. Czarni
obchodzą oenzetowskich białych tyle co
zeszłoroczn śnieg Savoir-vivre. Dzisiaj wszy-
stko robi się na oczach widowni, a dżentelme-
ni dbają o czystość rąk.

Nazywam się Andreas Klaus Tegern — od
Jeziora Tegern na granicy z Niemcami, la-
twe do zapamiętania. Każdy z nas rozstał się
ze swoją tożsamością. Jestem doktor Tegern,
biznesmen, adw. kto pytał, udaje się do RPA
w interesach krowka. Paszporty zrobione na
medal. Dopóki Europa nie zafunduje sobie
skomputeryzowanego centrum rejestracji lu-
dności, jak u nas, nie do rozszyfrowania. Je-
stem gotów iść o zakład, że autentyczność po-
łowy paszportów pasażerów jumbo-lata, uda-
jących się naszą kombinowaną trasą do Re-
publiki Południowej Afryki, nie wytrzymałaby
pierwszej próby ognia. Państwo-dziwolak.
Stworzone kiedyś przez niewątpliwie dzielnych
ludzi, dziś wstrząsane konwulsjami sprzecz-
ności nie do pogodzenia. Utrzymujące się na
wodzie dzięki gangsterskiej solidarności naj-
możliwszych tego świata. Wszystkie w nim, z
wyjątkiem diamentów, złota i rudy uranu, jest
podrobione pod kolor interesu. Astronomiczne-
go. Półki czas, niech i ja z tego Eldorado coś
dla siebie uszczknę.

Za dwie godziny moje sprawy osobiste. mój
dom rodzinny, co roztrząsał się na dupie je-
go pierwszej damy, zawisła na rok na kołku.
Wyprowadzam się z tego mieszkanka, proszę
państwa. Moje nowe miejsce pobytu niezna-
ne. The receiver — unknown. Sorry.

Przepraszam za ten niezbyt salonowy, jak na
dżentelmana ze stopniem doktora język.

Słowo: kontrast.

Rozkładał księgę pamięci. Czytam:
„Kontrast równa się jaskrawo występującym
przeciwieństwom między porównywalnymi
rzeczami”. Są w tej księdze jeszcze inne wy-
kładnie dla tego słowa, ale ta mi wystarczy.

Jeśli tak ma się rzecz z tym słówkiem, to
różnica między światem ludzi białych a czar-
nych w rogu Afryki którego gliniasta, na po-
piół spalona, spługawiona ziemia depcze, jest
zaprzeczeniem porównywalności rzeczy w ogó-
le.

Małowiczko to. Położone tylko o godzinie lotu
awionetka z pachnacego, kapiącego złotem Jo-
hannesburga. Nie zjadłam się z teza, że zna-
mionami niedzy są głód smród i brud; niedza
ma swoje kolory. Niedza jest małowiczka. Na
swoją sposob. Europejczy. Amerykanie, przy-
bywając do Gaberones zobaczyć małowiczkość
niedzy! Zapierającej dech.

W tumanach cęglastego pyłu wlokę się sen-
ny wśród gestywny niesamowicie śmierdzących
bud skleconych z odpadków zbranych w śmie-
tnikach białych. Pytań nowemu, od Nairobi,
pilotowi naszej ospalej grupki nie stawiam.
To nie sprawa alkoholu którego Baxter Ford
na każdym postoju nam nie żaluje. W czymś
takim jak Gaberones, stolica „niezależnego
państwa Botswana”, pytania nie mają prawa
bytu. Nie dziw się Anglikom, że porozumie-
wali się z napierającymi na nas stworami przy
pomocy pejsa. Ale dziw się Bogu. Dziwie się
ja, Andy Skala vel doktor Andreas Klaus Te-
gern, który naogładał się ludzkiej niedzy. Ty,
miłościwie nam panuicy Boże — ciskam w
jego dobroliwie uśmiechnięta sebe — patrzysz
z wyżyn na ten swój zaspany produkt i nie
nie mówisz? Przyglądasz się temu spokojnie i
nie grzmiesz?

To przed tymi śmierdzącymi stworami be-
dzimy bronić umiłowanych przez Boga bia-
łych właścicieli kopali diamentów.

Baxter i jego kompan z zająca wargą (Pet,
wolała go, przypaletał się do nas na lotnisku
w Johannesburgu) nie zdejmują palców ze spu-
stów trzymanyh w gotowości do strzału thom-
psonów.

Cullinan mi zawsze imponował. Nie spuszcza-
jąc swoich gniewnych oczu z Peta zadzwilił:
— Paradajcie po ulicach z tymi szczekot-
kami dla fraidy czy taka tu moda?

— Konieczność — odparł zającący tutejsze
sprawy Pet — Sześć młodzików sióstr za-
konnych, co przyjechały tu niedawno z Nowej
Zelandii i spieszyły do tych bydłaków ze sło-
wem bożym, znalazłono parę mil stąd zwal-
conych, z poobcinanymi głowami i cwcami, z
powyżeranymi dupami. Kłami tych bydłaków
powyżeranymi. Biała dupa dla tych skurwieli
to cymes.

Delektuje się anatomią czy taki dokładny?
Nabrałem wyrozumienia dla ich naładowa-
nych szczekotek.

Gdzie ja te zająca wargę już widziałem? —
zastanawiam się. Gdzieś widziałem. Nie pitem
z nią, nie byłem na dziwkach nie łączyło nas
nie osobistego, ale gdzieś otarliśmy się o sie-
bie. Tylko gdzie? Nie w Europie, nie w Azji
— tam na pewno nie, a jeśli nie tam, to po-
zostawała Ameryka Południowa. I nie były to
sielankowe okoliczności. Ted Cullinan zdawał
się też zadreżać tym pytaniem.

— Dosyć turystyki — zarządził Baxter. —
Musimy nacisnąć na gaz. Doba tutaj dzieli się
na połowe: nasz jest dzień, tych bydłaków —
noc. A do kopalni mamy spory kawałek przez
busz i pustynie.

Śmiać mi się chciało z niewydarzonej miny
Dustina.

Usadowiliśmy się w dużym landroverze,
przystosowanym, jak z nazwy wynika, do jaz-
dy po bezdrożach, szczelnie okutanym bre-
zentem przed zamiecią piaskową. Gurtowych
siedzeń w tyle wozu wystarczyło dla naszej
piątki. Baxter i Pet zajęli miejsca w szoferce
z kuloodpornego szkła. Po tak wysoko płat-
nych i jeszcze wyżej ubezpieczonych na życie
przez Davida Attentowna pasażerów wynajmu-
jący nas diamentiarze mogli wysłać coś bar-
dziej wygodnego. A na dodatek te kanistry z
benzyną wypełniające każdy skrawek wolnego
miejsca, objające się nam o nogi, o czymś do
picia na te mitrige natomiast nie pomyślano.
Wioza tego, jak gdybyśmy wybierali się na
kraniec Afryki! Rycho z kolebania na udepta-
nej ziemi wóz przeszedł do podskakiwania na
wentpach; posuwaliśmy się nie uczęszczanymi
drogami.

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glane